

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**ANTONI FERDYNAND  
OSSENDOWSKI**

**ORLICA**

*Powieść z życia górali  
Wysokiego Atlasu*

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### Na starej drodze karawanowej

Pomiędzy Tarudantem a hiszpańską kolonią Sidi Ifni istnieje stara droga karawanowa. Przechodzi ona wąskimi dolinami, przecinającymi ostatnie uskoki dwóch grzbietów: od południa Anty-Atlasu, od północy – Wysokiego Atlasu. Droga ta niegdyś była bardzo uczęszczana przez kupców, ponieważ tymi dolinami przedzierali się oni ze swoimi wielbłędami z Mahrebu<sup>1</sup> na brzeg Atlantyku i dążyli dalej na południe, do Senegal, po kość słoniową, po towary podzwrotnikowe i po czarne, niby z hebanu rzeźbione, rosłe i płomienne niewolnice o spiżowych piersiach, białych zębach i oczach o złocistym, namiętym połysku. Od pięciu lat karawany nie suną już tą drogą, gdyż wytknięto inne szlaki, krótsze i dogodniejsze.

Pewnej nocy starą drogą karawanową posuwał się mały oddział konny. Byli to jeźdźcy ze szczepu Szleu. Można było ich poznać od razu z orlich nosów, szlachetnych, rycerskich rysów twarzy i postaw, a także z długich włosów, zwisających kosmykami z pod białych zawojów.

Jeźdźcy mieli piękne konie górskie o cudnych, kościstych głowach i cienkich, śmigłych nogach, a byli dobrze uzbrojeni w długie skałkowe karabiny, ozdobione srebrem i perłową masą, prochownice z cyzelowanej miedzi, haftowane, skórzane sakwy, „czakras”, z pełnym ładunkiem kul, i za pasami krzywe „kumia”, obosieczne, do sierpów podobne handzary.

Oddział posuwał się szybko naprzód, i białe lekkie burnusy, jak skrzydła drapieżnych ptaków, miały się nad pochylonymi do końskich karków jeźdźcami.

Gdy droga wcisnęła się w głęboki wąwóz wcinający się w spadki Dżebel Orak, jeźdźcy wstrzymali konie, zeskoczyli z siodła i zwróciwszy rumaki pyskami ku wyjściu z wąwozu wydali krótki, chrapliwy krzyk. Wierzchowce nawykłe do głosów swych panów wspięły się na zadnie nogi i jak strzały wypuszczone z łuku pomknęły przebytą już drogą do domu.

Jeźdźcy tymczasem obejrzeni miejscowość i ukryli się za kupami zwałów skalnych i w wyrwach z obydwóch stron drogi.

W wąwozie zaległa i zaczęła się cisza. Najbardziej czujny człowiek nie zauważyłby obecności ośmiu uzbrojonych ludzi czyhających za skałami.

- Ras ben Hoggar! – rozległo się ciche wołanie z poza kamieni.
- Co powiesz, Achmedzie! – odpowiedział jeden z zaczajonych Szleu.
- Czy dobre wybraliśmy miejsce na zasadzkę?
- Lepszego nie znajdziemy na całej drodze! – odparł Ras i zapytał: – Czy wygodne macie do strzału kryjówki, towarzysze?
- Zupełnie dobre! – odpowiedzieli inni. – Widzimy z nich drogę aż do zakrętu nad potokiem.
- Niebezpieczne nasze przedsięwzięcie... – rozległ się niepewny głos Achmeda.

---

<sup>1</sup> Mahreb – arabska nazwa Maroka.

– Nie mówiłem tobie, Achmedzie, że jest ono bezpieczniejsze od odwiedzenia kawiarni lub strzału do zająca – odparł Ras. – Jeżeli jednak boisz się, to lepiej zmykaj póki czas!

– Nie boję się – zaprotestował Achmed – ale nie chcę popaść w ręce wielkiego „kaida”<sup>2</sup> Glai, który z ramienia sultana i Francuzów rządzi górami i przysięgał, że nawet kobieta i dziecko mogą bezpiecznie przechodzić drogami górskimi. W zeszłym roku, gdy około Amizmis górale Suss napadli na jakiegoś kupca, kaid schwytał ich, kazał ściąć i głowy ich wywiesić na murach swej stolicy w Tarudant.

– To inna rzecz! – zaśmiał się któryś ze Szleu. – Tu napadniemy na karawanę hiszpańską. Dąży ona bez przepustki wielkiego kaida i bez eskorty jego spahisów. Nikt się o losie tej karawany nie dowie, chyba po roku, albo po dwu, gdy szakale i hieny zatrą resztki śladów. Bądź dobrej myśli, Achmedzie!

Znowu zapanowała cisza i przez wąwóz przemykał się tylko lekki wietrzyk, szeleszcząc w zaroślach suchych tamaryndów i aloesów.

Ras ben Hoggar, trzydziestoletni silny i zwinny człowiek, siedział w pierwszej kryjówce kierując całą wyprawą. On to miał podać sygnał do napadu wypuszczając pierwszą kulę. Ras wyciągnął się wygodnie pośród kamieni, swój karabin, oparty na skale, skierował na drogę, czekał i myślał.

Dusza jego błąkała się w tej chwili w rodzimych górach około „kasby”, wielkiego warownego gmachu z grubymi murami, wieżycami i potężną bramą; w kasbie mieściła się cała wieś, gdzie dom stał przy domu, gdzie przez wszystkie mury przechodziło szerokie, ciemne przejście, łącząc wszystkie budynki w jedną całość, przypominającą ul z labiryntem woskowych komórek. Góral widział swój dom, a w nim Czar Azizę, najpiękniejszą z kobiet w całej okolicy. Pojął ją za żonę dopiero dwa lata temu, a był szczęśliwy, jak tylko może być szczęśliwy człowiek, którego kocha góralka Szleu.

Ras uśmiechał się do żony, gdyż widział ją wiotką i zgrabną jak sarna, szybko idącą z dzbanem na ramieniu do źródła po wodę. Szła prawie nie dotykając sprężystymi nogami różowej ziemi, lekko się kołysząc w wąskich, silnych biodrach. Dumnie niosła wysoką, wybujałą pierś i piękną głowę o oczach jak gwiazdy i ustach podobnych do płatków czerwonego oleandru.

Ras kochał i był kochany. Gdy myślał o pieszczotach Czar Azizy, dreszcz biegł mu po grzbiecie i po stawach. Zaczął nadśłuchiwać, gdyż wydało mu się, że dolatuje go głos żony śpiewającej starą piosenkę góralską.

– Czy uda się nam dziś? – zapytał cichym głosem siedzący obok niego Achmed.

Ras drgnął i odpowiedział:

– *In Cza Allah!* Jak zechce Allah!

Tymczasem do mroku nocy wlewać się zaczęły niewidzialne potoki szarych cieniów, później białawych, spływających z gór. Zachichotała gdzieś zupełnie blisko błąkająca się w górach hiena, zaszlochała para szakali, gwizdnęły budzące się ptaszki, a z ich ostatnim piskiem wierzchołki gór różowiec zaczęły.

Świtało...

Upłynęła jeszcze godzina i wąwozem przemknął szakal trwożnie się oglądając. Wtedy Ras podniósł się, obejrzał karabin, podsypał prochu na panewkę, umocował się na kolanach i cicho zakwilił jak jastrząb. Głucho szcęknęły w wąwozie odwiedzone kurki karabinów.

W pół godziny później w końcu wąwozu zaczęły się jakieś postacie.

Bystre oczy Rasa dostrzegły obładowane wielbłądy. Szły po dwa i po trzy w rząd, wyciągając się powoli na wąskiej drodze w długi sznur. Z tyłu jechało kilku jeźdźców.

---

<sup>2</sup> Kaid – książę, wezyr, gubernator.

Ras przepuścił wielbłądy, a gdy przed skałą, gdzie się czaił, zjawiała się gromadka jeźdźców, wystrzelił. Zawtórowały mu karabiny towarzyszy. Dwóch jeźdźców spadło z koni, reszta zawróciła i zaczęła umykać.

Karawana dostała się w ręce Szleu.

Wybiegli więc wszyscy ze swych kryjówek na drogę i zaczęli łapać wielbłądy, rozwiązywać wory i paki, przeglądając zdobycz. Byli tak pochłonięci pracą, że nie od razu mogli zrozumieć, co się stało, gdy rozległy się nowe strzały, po których Achmed i dwóch innych górali upadło i zaczęło kopać ziemię nogami.

Ras obejrzał się i ujrzał kilkunastu jeźdźców, szybko mknących drogą i wymachujących karabinami.

Nie namyślając się ani chwili góral porwał swoją strzelbę i jął jak żbik wspinać się na skały, kryjąc się wśród nich i czając, obsypywany kulami eskorty broniącej karawany. Widział, jak jeden po drugim padali jego towarzysze, rozpraszający się w różne strony niby stadko spłoszonych myszy.

Ras dotarł nareszcie do szczytu góry i tu się zaczął. Słuchał długo i bacznie, lecz pościgu nie było. Wytknąwszy głowę z poza skał zobaczył ogon karawany wychodzącej już na obszerną płaszczynę za wąwozem. Na drodze zaś Ras nie dojrzał ciał zabitych towarzyszy.

Zabrali ich ze sobą... – domyślił się góral. – Żle! Teraz dowiedzą się, która kasba dokonała napadu. Nie mogę powracać do domu, bo utnie mi wielki kaid głowę. Nie chciał Allah dopomóc przedsięwzięciu Rasa!

Jakieś złe i ciężkie przeczucia ścisnęły serce górala.

Ześliznął się z gór na drogę, gdzie padli jego towarzysze. Znalazł tu kałuże krwi i ślad ciał wleczonych po piasku.

– Zabrali zabitych czy rannych ze sobą, przekłęci kupcy! – zamruczał Ras ben Hoggar i głęboko się zamyślił.

Cały dzień spędził wśród skał przy małym źródelku, które z trudnością odnalazł.

Ras był doświadczonym myśliwym, od dawna wałęsającym się po górach Atlasu o głodzie i chłodzie, więc umiał sobie radzić. Wynałazł kilka sterczących z ziemi gołych łodyg „kemji” i zaczął je wyciągać. Roślina ta posiadała długie i grube korzenie, którymi szukała dla siebie wody na wielkiej głębokości pod ziemią, jak prawdziwa mieszkanka pustyni.

W ten sposób Ras zaopatrzył się w paliwo, po czym przygotował sobie stawę, miał bowiem w swojej sakwie kawę, kociołek i duży placek „keseras”, upieczony rękoma Czar Azizy. Przespał się do wieczora, a po modlitwie, o zachodzie słońca, ruszył ku domowi. Szedł lekkim, sprężystym krokiem, nawykłym do szybkiego chodzenia; szedł aż do wschodu słońca. Po modlitwie porannej przebrnął rzekę Suss i zapadł w góry. Tu się zaczął około źródła, płynącego w pobliżu jakiejś wioski. Narwał sobie dojrzałych oliwek i parę granatowych owoców, nappełnił kociołek wodą i wlaźł w gęste zarośla fig berberyjskich. Musiał przeczekać dzień, aby po nocy przekraść się do swojej kasby. Wiedział, że w nocy, gdy bramę zamknie wiejski „kadi”<sup>3</sup> stary Achmed el Azuin, do kasby nikt się już nie dostanie, gdyż podług prawa do wschodu słońca wejście i wyjście było surowo zakazane.

Ras postanowił więc wysledzić i rozmówić się z żoną, gdy ona pójdzie rano do studni po wodę.

Tak też uczynił. Dzień cały przespał, całą noc znowu szedł i gdy ujrzał nareszcie na jasnym niebie ciemne kontury wieżyc i murów kasby, prześliznął się przez gaje oliwne ku małemu białemu budynkowi o półokrągłej kopule i zębatych ścianach. Była to „kubba” – grobowiec świętego człowieka Sidi Ali el Slimana, który żył niegdyś w kasbie i był kadim

---

<sup>3</sup> Kadi – wójt i sędzia.

przed wiekami. Obok kubby mieściła się głęboka studnia z czystą i cudotwórczą wodą, którą codzień nabierała w dwa wielkie dzbany gospodarna Czar Aziza dla domu.

Wkrótce potem, jak zamilkły nawoływania starego muezzina do modlitwy porannej, z kasby wyszedł tłum kobiet i skierował się ku studni. Z daleka już Ras rozpoznał swoją żonę. Była najzgrabniejsza, szła najlżejszym krokiem i była najpiękniejsza.

– Czar Aziza! Umiłowana na całe życie! – szepnął Ras, czując jak serce mu zaczęło gwałtownie kołatać w piersi.

Wkrótce kobiety przeszły blisko od zaczajonego Rasa, a wtedy on dojrzał pochmurne, strwożone oczy Azizy i jej piękną, bladą twarz. Niosła tylko jeden dzban.

– Drugi pewno stłukła – domyślił się Szleu.

Gdy kobiety nagadawszy się do syta przy studni szły z powrotem, Ras zauważył, że Aziza szła na ostatku i bacznie rozglądała się dokoła, trzymając dzban na lewym ramieniu.

Ras gwizdnął z cicha. Kobieta drgnęła i obejrzała się w jego stronę, po chwili, założywszy wolną rękę za siebie, uczyniła jakiś znak.

Ras uśmiechnął się radośnie.

– Mądra i przebiegła jak orlica – szepnął namiętnie; wiedział teraz, że zobaczy się z żoną.

Istotnie, w porze obiadowej, gdy wszyscy siedzieli w swoich domach w otoczeniu rodziny, Aziza, klucząc po gajach i ogrodach, przyszła do niego.

– Bądź pozdrowiony, panie mój i mężu! – zawołała z wybuchem, rzucając mu się w objęcia i mrużąc swoje promienne oczy pod jego namiętnymi pocałunkami. – Już wiem o wszystkim! Dziś po spytkach umarł ostatni z twoich towarzyszy Hadż ben Abmar wyznawszy wszystko przed wielkim kaidem. Wiedziałam, że ty nie zginiesz, bo jesteś śmiały jak „sid”<sup>4</sup> i chytry jak lis. Wiedziałam, że przyjdiesz i czekałam na ciebie, Ras! Nie możesz jednak powracać do kasby! Kadi dostał rozkaz schwytać ciebie i odstawić na sąd do Tarudantu. Uciekaj! Przyniosłam ci kilka keseras, kawał mięsa i cebuli. Uciekaj jak najprędzej i pamiętaj, że będę czekała na ciebie, chociażby do starości! Bywaj zdrów, niech Allah prowadzi ciebie szczęśliwie! Gdy zapomną ludzie o wypadku, a ty znajdziesz bezpieczne schronisko dla nas obojga, przybędziesz tu i zabierzesz stąd swoją Azizę, swoją żonę i niewolnicę, cień twego ciała i cień twojej duszy. Idź już w imię Allacha!

Nastąpiło krótkie pożegnanie. Rasowi łyzy ścisnęły gardło, gdy odchodząca Aziza rzuciła nań ostatnie spojrzenie. Smutek niezgłębiony i rozpacz dojrzał mężczyzna w pięknych oczach ukochanej. Jednak nie było czasu do namysłu. Czając się w krzakach, przypadając za kamieniami dążył w góry, jeszcze nie wiedząc dokąd pójdzie i jakie będą ich losy.

Wkrótce już góral drapał się na strome spadki porośłe gęstym lasem „adzar” i krzakami oleandrów. Gdy podniósł głowę, ujrzał szczyty Atlasu. Połyskiwały i lśniły się bielą śniegów i wołały go do siebie głosem niezmaconej ciszy i wielkiego spokoju.

---

<sup>4</sup> Sid – lew.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### Włóczęga

Ras dopiero przed wieczorem zatrzymał się w głębokiej kotlinie górskiej. Zbiegały się tu zewsząd zbocza głównego grzbietu Atlasu, od dołu porośnięte krzakami i drzewami, wyżej – wysoką i soczystą trawą, a jeszcze wyżej połyskujące barwnymi skałami, uwiecznionymi turbanem ze skrzających się lodowców.

Ras spędził noc przy małym ognisku, rozpalonym między skałami. Słyszał nieraz, budząc się co chwila, jakieś głosy niewyraźne i chrapliwe.

Muflony! – domyślił się Szleu. – Jutro zapoluję na nie...

Gdy tak myślał, czujnym uchem zaczął łowić jeszcze inne dalekie odgłosy.

Dolatywały one z rzadka, lecz stawały się coraz wyraźniejsze.

Było to głuche, ponure miauczenie, przerywane niby głośnymi westchnieniami.

Ras podniósł głowę i nadśluchiwał czujnie, zrozumiał bowiem, że niebezpieczny sąsiad krąży dokoła jego kryjówki.

Miauczenie i coraz głośniejsze westchnienia zbliżały się szybko, lecz wkrótce umilkły. Wtedy Ras wyraźnie poczuł, że ktoś groźny i gotowy do napadu przygląda się mu, nie spuszczając z niego źrenic.

Szleu porwał za karabin, a potem cisnął do ognia kupkę suchej trawy i gałęzi. Ogień z trzaskiem i sykiem buchnął wyżej, a jego czerwone cienie pobiegły daleko i drgać poczęły na pogrążonych w ciemnościach skałach. Ras usłyszał wtedy miękki bieg zwierza, szmer toczących się z gór kamyków i – wkrótce zapanowała cisza.

Czyżby pantera miała tu swe legowisko, a jam tu włożył nieproszony niby do zajazdu w sąsiedniej wiosce? – pomyślał człowiek, zawijając się w swój burnus i kładąc się przy ognisku.

Tak spędził swoją pierwszą noc włóczęgi Ras ben Hoggar, mieszkaniec kasby z Ued Tafdif i najlepszy strzelec z całej okolicy.

Przed świtem Ras zalał wodą ognisko i wyruszył na polowanie. Pamiętał kierunek, skąd dochodziły go głosy muflonów i skierował się w góry, idąc łożyskiem małego potoku płynącego z pod śniegu bielejącego na szczytach grzbietu. Minął pasmo lasów i krzaków i wyszedł na spadki pokryte wysoką trawą i drobnymi krzaczkami kwitnących różaneczników. Góral szybko przecinał piękne łąki szmaragdowej trawy z bukietami barwnych kwiatów i szemrzącymi strumykami i ostrożnie się rozglądał. Nareszcie dojrzał stadko muflonów. Potężny, stary samiec o wspaniałych rogach niby wykutych z ciemnego kamienia stał na czatach, samki i młódź pasły się dokoła, spokojnie skubiąc trawę.

Ras zaczął się skradać przypadając do ziemi i czołgając się od kamienia do kamienia, od łągu do łągu.

Muflon zwęszył jednak zbliżającego się myśliwego, a może jakiś kamyk obsuwając się z pod kolan Rasa zdradził jego obecność. Baran wydał krótki, trwoźny ryk i po chwili całe stado pędziło już w szalonym biegu w góry, przesadzając wysokie zwały kamieni i szerokie szczeliny.



Ras ścigał muflony i znowu podszedł je. Udało mu się podkraść o jakie pięćdziesiąt kroków do najbliższych zwierząt. Wymierzył starannie i chciał już strzelić, gdy stado w największym popłochu zaczęło uciekać, mknąc wprost na Rasa.

Myśliwy strzelił i jeden z młodych samców potoczył się na dół, porywając ze sobą większe kamienie i zsuwające się lawiny drobnych odłamków i piasku. Nagle pomiędzy skałami mignęło coś żółtą skórą w czarne plamy.

Była to pantera. Ras, nie namyślając się, śpieszył się z nabiciem swojej strzelby, aby być przygotowanym do możliwego ataku drapieżnika.

Pantera tymczasem znikła Rasowi z oczu. Rozglądał się, napróżno szukając jej dokoła. Myśliwy sądził, że drapieżnik uciekł, spostrzegłszy człowieka, poszedł więc w tę stronę, gdzie stoczył się na dno wąwozu postrzelony przez niego muflon; ślizgał się stromym spadkiem góry, skakał przez szczeliny jak kozioł skalny i zbiegał coraz niżej i niżej.

Nagle zatrzymał się jak wryty, bo usłyszał tuż przed sobą glucho mruczenie, a w chwilę później ryk. Ras ledwie zdążył podnieść do ramienia karabin i strzelić, gdy pantera, zaczajona za odłamkiem szarozółtej skały, zrobiła szalony skok. Kula ugodziła bestię już w locie. Upadła i jęła potwornymi pazurami szarpać darninę rozrzucając dokoła ziemię, trawę i drobne kamienie. Ras jednak nie zdążył jeszcze na nowo nabić swej strzelby, gdy pantera oprzytomniała, zebrała pod siebie łapy i płaszcząc się na ziemi, przygotowała się do skoku. Szleu odrzucił nie nabity karabin i porwał za swój krzywy nóż. W tej chwili pantera runęła na człowieka. Rozpoczęła się walka na śmierć i życie. Zwinny Ras wymykał się panterze, rażąc ją nożem. Drapieżnik obficie broczył krwią, lecz ataku nie przerywał, usiłując wskoczyć na piersi lub na grzbiet myśliwemu.

Widząc, że pantera słabnie, Ras przyjął wreszcie atak; gdy łapy drapieżnika dotknęły jego ciała, schylił się i wbiwszy krzywe ostrze kumii wyprostował się pociągając nóż do góry. Pantera z rozwalonym brzuchem i wypadającymi wnętrznościami runęła jak rażona piorunem, lecz zdążyła zadać ostatni cios wrogowi. Od tego ciosu wszystko zakolowało przed oczami Rasa, wszystko się pokryło czarną mgłą. Myśliwemu zapadła się pod nogami ziemia i potoczył się na dół nieprzytomny, zlany krwią.

Widocznie Allah gniewnym okiem spoglądał na Rasa, gdyż spotykał go zawód po zawodzie...

Słońce zakończyło swój obieg dzienny i znikło za górskimi szczytami na zachodzie, długie cienie zaczęły się ciągnąć przez łąki ku wąwozom i wylewać się do nich ciemnymi potokami, napełniając je mrokiem i wilgocią. Leżący na dnem głębokiego jaru Ras dopiero wtedy po raz pierwszy dźwignął się z zalanej krwią trawy. Dźwignął się i znowu upadł na wznak, blady i wyczerpany. Wkrótce jednak uczynił nowy wysiłek, jęknął cicho i usiadł. Jął macać drżącymi dłońmi głowę, boki, nogi i pierś. Drgnął ujrawszy straszliwą ranę na piersi. Skóra i mięśnie były zerwane potężnym uderzeniem pazurów i wisiały jak czerwone strzępy łachmanów, zupełnie podobne do przesiąkniętych krwią skrawków poszarpanego burnusa.

Rana piekła i dotkliwie bolała, przy najmniejszym ruchu powodując omdlenie. Silny Ras walcząc ze słabością czołgał się dnem wąwozu szukając wody. Już nocna mgła pełzła z gór na dno wąwozów, przepaści i jarów, gdy ranny doczołgał się do potoku wartko biegnącego wśród kamieni. Ras, omdlewając z bólu i gorączki, obmył rany, zanurzył rozpaloną głowę do wody, napił się i znowu padł na wznak, ciężko oddychając.

Zemdlał, lecz omdlenie wkrótce przeszło w sen, niespokojny, gorączkowy sen. Gorączka zmieniała się w dreszcze, wstrząsające całym ciałem rannego. Straszne sny i widziadła dręczyły górala. Ras miotał się, krzyczał i jęczał. Coraz częściej widział przed sobą piękną, bladą twarz Czar Azizy. Schylała się nad nim i skarżyła się, że ktoś krzywdzi ją, nastaje na jej życie, prześladowuje i gnębi. Widzenia te były tak żywe, że Ras zerwał się i pobiegł, krzycząc:

– Idę, idę, Azizo, obronię cię, zemszczę się!...

Próżno szukał dokoła siebie karabinu i noża.

Klął i szukał, aż nagle błysnęło mu wspomnienie o walce z panterą, gdy to odrzucił od siebie karabin, a swoją wierną kumia zostawił w ciele zabitego zwierza.

– Czekaj Azizo, czekaj, piękna, umiłowana Czar! Obronię cię gołymi rękoma, zębami przegryzę gardziele tym, co krzywdzą cię, moją żonę!

Nic nie widząc i nic nie zaznając, biegł, padał, lecz znowu się podnosił i biegł dalej. Narazie potknął się o kamień i zaczął się staczać coraz niżej i niżej, uderzając się głową o kamienie i drapiąc sobie twarz i ręce o gałęzie krzaków.

Zemdlał...

Noc minęła, wyjrzało słońce i stało już wysoko, lecz Ras wciąż leżał nieruchomo, do trupa podobny, bielejąc w trawie poplamionym krwią burnusem.

Gdy słońce zaczęło przypiekać straszliwie, Ras poruszył się kilka razy i usiadł, podtrzymując rękoma pękającą z bólu głowę.

– Umrę... – jęknął – umrę i nigdy już nie nasycę oczu swoich pięknnością Azizy! Nigdy nie wyjdę z tego wąwozu.

Ranny zaczął się oglądać i nie mógł zrozumieć, w jaki sposób dostał się tu na drogę, ponieważ nie pamiętał, że biegł dnem wąwozu, aż upadł i stoczył się z pochyłych spadków do podnóża gór, gdzie przechodziła droga, którą wożono zwykle drzewo i węgiel z Atlasu.

Podnieść się jednak Ras nie mógł; słaby był i przed oczami latały mu zielone i czerwone płatki. Zaczął więc czołgać się na brzuchu i kolanach od strumyka, gdzie trochę oprzytomniał. Siły zwolna mu powracały.

– Odpocznę i ruszę do domu... Niech mnie sądzą i stracą, lecz muszę ujrzeć żonę i być pogrzebany, jak prawdziwy „mumen”...<sup>5</sup>

Nie miał jednak siły, aby się podnieść i iść, mógł tylko czołgać się, pełznąć, jęcząc i omdlewając z bólu i zmęczenia.

Pełznął więc w stronę szczytu Sahridż, od którego zaczynała się właściwa droga do jego wsi. Przeczolągawszy się około stu kroków zemdlał z wyczerpania.

Obudził się od przyjemnego zimna i nagle ustającego bólu. Ujrzał nad sobą jakiegoś starszego człowieka w białym zawoju na głowie. Człowiek ten przemywał mu rany na głowie i piersi i przykładał jakieś ziółka, które wyjmował ze skórzanego woreczka wiszącego na pasie. Obok stał osiołek z dwiema torbami, przerzuconymi mu przez grzbiet.

– Kim jesteś? – spytał Ras słabym głosem, usiłując podnieść głowę.

– Leż! – rzekł rozkazującym głosem starzec. – Jestem Abd er Ferhut, „kahin” i „hakim”.<sup>6</sup> Mieszkam tu w górach, jeździłem na poszukiwanie ziół magicznych i leczniczych i znalazłem cię omdlałego. Rany twoje są niebezpieczne, gdyż pazury „namera”<sup>7</sup> o tej porze roku są pełne jadu. Zawiozę cię do swego domu, gdzie musisz długo leżeć, aż się wyleczysz, inaczej – śmierć!

Stary czarownik napoił rannego zimną wodą źródlaną, owiązał mu szmatami oderwanymi od burnusa rany i z wielkim trudem wsadziwszy go na osiołka, ruszył z Rasem w drogę.

Osiołek zszedł niebawem z drogi i zaczął się wspinać spadkami gór.

– Gdzie mieszkasz, sidi?<sup>8</sup> – zapytał Ras.

– W grotcie szakali – odpowiedział starzec. – Francuzi ścigają lekarzy berberyjskich, a wielcy kaidowie dopomagają im w tym. Muszę się kryć, mieszkać na odludziu, lecz wierni znają siłę leków moich i znajdują moją kryjówkę.

<sup>5</sup> Mumen – prawdziwy muzułmanin.

<sup>6</sup> Kahin – czarownik; hakim – lekarz.

<sup>7</sup> Namer – pantera.

<sup>8</sup> Sidi – pan; tytuł ludzi znakomitych.

– Słyszałem o tobie nieraz, sisi Abd er Ferhut – szepnął Ras słabym głosem. – Jesteś dobroczyńcą ludzi cierpiących i moim teraz. Jakżeż ci się odwdzięczę?

Stary hakim zamyślił się. Milczał długo, aż rzekł:

– Opowiedz mi, co ci się przydarzyło?

Ras opowiedział o zajściach ostatnich dni, a więc o nieszczęśliwym napadzie na karawanę, o śmierci towarzyszy, o grożącej mu zemście wielkiego kaida Glaiu, o porzuconej żonie i o wypadku na polowaniu.

– Zabiłeś, młodzieńcze, panterę! – wykrzyknął stary. – Możesz mi się od razu odwdzięczyć za pomoc i leki. Czy jesteś dość przytomny i silny, aby przypomnieć sobie miejsce, gdzie leży zabity przez ciebie zwierz?

– Jeżeli znajdziesz czerwone skały Dżurf, wskażę ci to miejsce, sisi – odparł Ras.

– Czy czujesz w sobie dość siły, aby dojechać tam? – pytał niespokojnie hakim.

– Myślę, że tak! Czuję się silniejszym teraz i ból mi nie dolega – rzekł ranny.

– No, to jedziemy, bo gdy drugie słońce zjrzy zabitej panterze w oczy, straci ona siłę magiczną – objaśnił starzec. – Musimy się spieszyć.

Ras dopomógł czarownikowi wyszukać zabitego zwierza. Starzec był uszczęśliwiony i od razu wziął się do roboty. Wydłubał panterze oczy, wyrwał jej niektóre kły i pazury, wyciął serce i worek żółciowy i w końcu zdarł z grzbietu duży kawał skóry.

– Co będziesz, sisi, robił z tym wszystkim? – pytał zdziwiony Ras.

Abd er Ferhut usiadł przy nim i starannie zawijając w szmaty swoje skarby, objaśnił:

– Potrzebne mi to było od dawna na talizmany, na najbardziej potężne „herz” przeciwko ranom i śmierci od kul i noża, na podniecenie odwagi, a żółć – na lekarstwo dla synów sułtana. Żaden z hakimów i kahinów w Mahrebie nie posiada takiego skarbu, jaki trafił dziś w moje ręce! Niech Allah wynagrodzi cię, synu!

– To ja musiałbym wyrzec te słowa przed tobą, sisi! – odparł Ras, całując podług zwyczaju starca w rękę i w poję jego burnusa.

Późno w nocy dowiózł stary czarownik rannego do swej jaskini. Zanim weszli do wnętrza, hakim wyjął ze skrytki w skałach butelkę z olejem, nalał z niej do małej lampki kilka kropel, zapalił knot, a później oderwał od burnusa Rasa pasemko, przesiąknięte krwią.

– Gdy wejdziemy do groty, gdzie, jak wiesz, zawsze mają swą siedzibę dżinny<sup>9</sup>, postaw na ziemi lampkę i spal na niej ofiarę z własnej krwi, mówiąc dziewięć razy te słowa: *Dem-rat-i-afrit, Mudib, El-Ahmer, Borkan...*<sup>10</sup> To powinno przebłagać duchy, będą one miłosierne dla ciebie, synu!

Ras uczynił tak, jak radził starzec, i wkrótce leżał już na miękkim pościeliu w zimnej jaskini, gdzie cicho dzwonił strumyk wytryskujący z piersi górskiej i potrzaskiwał ogień rozpalony przez czarownika gotującego strawę.

Ras spędził dwa tygodnie w kryjówce Abd er Ferhuta, czając się w głębi jaskini, gdy do lekarza przychodzili chorzy i potrzebujący jego rady nie tylko górale Szleu, Suss i Draa, lecz nawet Berberowie z północy, z ziemi Dukkala, – Cziadma i Ben-Ahmer. Wkrótce ranny mógł już chodzić, więc pomagał swemu dobroczyńcy w poszukiwaniu i zbiorach drogocennych i magicznych roślin, używanych w lekach, talizmanach i amuletach, a więc henna, harmel, udn-ed-far, takandin, kerbiuna, aloes, korzeni dzikiego szafranu, kory drzewa adrar i setek innych traw, ziół, drzew i owoców; łapał w sidła czubate dudki i so-wy, polował na hieny i szakale, bo z mózgu, żółci, oczu i serca tych ptaków i zwierząt Abd er Ferhut sporządzał czarowne, tajemnicze nufra, hedżab, herz, dżeduel i inne talizmany, których nazwy góral nie mógł zapamiętać.

---

<sup>9</sup> Dżinn – duch, demon.

<sup>10</sup> Niezrozumiałe słowa używane w zaklęciach. Prawdopodobnie są to zaklęcia, pozostałe po Kartagińczykach.

Tymczasem tęsknota za żoną nie opuszczała go. Ciągle widział ją przed sobą, trwożył się jej losem, rwał się duszą i ciałem do swej orlicy, szeptał bezdźwięcznymi ustami tysiączne słowa miłosne a pieszczotliwe; po nocach rozmawiał z nią, miotał się, budził się, myśląc, iż przyszła do niego, a później, ściskając zęby, łkał i syczał z bólu i rozpacz.

– Daj mi, sidi, amulet, aby zabić tęsknotę za Czar Azizą – wołał w rozpacz, całując po rękach starca.

Ten smutnie kiwał głową i odpowiadał:

– Tęsknota za kobietą jest siostrą miłości, synu mój! Wielka miłość – to dar Allacha. Jakżeż mogę odbierać ci dar Allacha? Mogę dać ci amulet, który odda miłość twoją w ręce złego ducha, a ten zabije tę miłość na zawsze, bezpowrotnie. Chcesz-li tego?

– O nie, dobry sidi, o nie! – wołał góral. – Wolę jeszcze gorszą mękę, lecz bez miłości do Azizy – umrę! Umrę, sidi!

Ras głową bił o ziemię, twarz sobie do krwi drapał i krzyczał z tęsknoty.

Pewnego poranku podszedł do czarownika i rzekł:

– Niech Allah ma cię, sidi, w swojej opiece! Allah el Muhaimin, Allah en Nur, Allah el Hadi, Allah el Abad,<sup>11</sup> niech będzie błogosławiony Allah we wszystkich swych dziewięćdziesięciu dziewięciu imionach i niech On wynagrodzi ciebie za mnie – niegodnego niewolnika swego, swego sługę i wyznawcę! Muszę już iść, bo w bezczynności nie uporam się z myślami i tęsknotą moją... Będę coś przemyślał, coś robił, aby prędzej czas biegł i aby rychlej przyszła godzina, gdy będę mógł założyć nowe gniazdo, rozpalić swoje ognisko i ujrzeć przy nim Czar Azizę. Niech Allah Akbar ma cię w swej opiece, dobry starcze!

Ucałował ręce czarownikowi, do kolan mu padł i poszedł, odprowadzony smutnym wejrzaniem dużych czarnych oczu Abd er Ferhuta. Milczał stary czarownik, nie mógł słowa pociechy znaleźć w swej głowie i sercu, gdyż rozumiał, że Allah rzucił odchodzącemu taki dar, który przygniata go do ziemi łatwo zamienić się może w przekleństwo, karę i zagładę.

Za duża jest ta miłość dla serca Rasa ben Hoggar! – myślał stary czarownik. – Ciężki kawał złota włożony do małego wora rozrywa go i toczy się z góry, a inni ludzie podnoszą złoto, rozerwany zaś worek wyrzucony zostaje jak łachman nikomu nie potrzebny... Biedny nieszczęśliwy Ras ben Hoggar! Dokąd poprowadzi cię twój los nieubłagany?

Starzec opuścił głowę stroskaną i zapatrzył się w ogień, gdzie żarzyły się szkarłatne i złote węgle i powoli znikwały bez śladu, zlewając się z szarą, martwą warstwą popiołu...

---

<sup>11</sup> Rytualne imiona Allacha.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### Wśród węzów

Ras pozostawiwszy schronisko czarownika, szedł wąwozami górskimi, unikając dróg i ścieżek w obawie przed spotkaniem z ludźmi. Szedł i myślał, co ma ze sobą zrobić teraz, gdy pozostał znowu sam na świecie. W górach albo zginie, albo dostanie się w ręce spahisów kaida. Postanowił więc przedostać się do Marrakeszu, stolicy południa, gdzie wśród dwustu tysięcy mieszkańców utonie w morzu ludzkim, zmieni imię i wygląd i zniknie bez śladu.

Szedł więc górami na przełaj, kierując się na Sahridż i dalej na Amizmis, skąd miał przekradać się na równinę setkami dróg zatłoczonych karawanami, pątnikami, włóczęgami i meskinami<sup>12</sup> – dróg, prowadzących do Marrakeszu.

Idąc o głodzie, żywiąc się korzeniami, orzechami, oliwkami i wodą spotkał przy źródłach rzeki Suss, na wysokich szczytach Atlasu, dziwnego człowieka. Był to wysoki, chudy jak tyka Berber z pod Meknesu, stary wyga, gaduła i kawalarz, lecz zwinny jak wąż i jak wąż chytry i złośliwy w powiedzeniach i w błyskach małych zezowatych oczu. Nosił długą, rzadką, kozią brodę, której kosmyki zawiązywał w supelki. W okamgnieniu zadał kilka niespodziewanych pytań prostodusznemu góralowi i już wiedział o nim całą prawdę.

Gdy zmieszany Ras, czując, że się zdradził, nie wiedział, co ma robić – pozostać, uciekać, czy po prostu wpakować tej tyce nóż pod piątą żebro, ten zaśmiał się i rzekł:

– Wiem, o czym myślisz w tej chwili, młody byku! Ani uciekniesz ode mnie, ani zabijesz mnie, lecz pozostaniesz, bo żadna podkowa lepiej nie przypadała memu koniowi niż my obaj – do siebie!

Zaśmiał się głośno i prawił dalej:

– Wyobraź sobie, że nazywam się Soff! Po prostu Soff i to bez żadnego „ben”, „el”, lub „er”, tylko – Soff! Nikt mi nie może zabronić nazywać się Soffem, cha! cha! A teraz znowu wyobraź sobie, młody byku czy ośle, jeżeli wolisz tego bydlaka, że ktoś ci powie: „Soff przelał tyle krwi w swym życiu, ile nie przelano w całym Marrakeszu przez pięć lat; albo, że Soffa ściga krwawa zemsta w Mahrebie, Algerii, Tunisie, Trypolitanii i w Saharze”. Wyobrażasz sobie? No, to dobrze! Wiec słuchaj, gdy ktoś tak powie przy tobie, odpowiedz mu: „Znałem Soffa, ale on gwizdże sobie na krew i na zemstę!” Rozumiesz choć odrobinę z tego, co chciałem powiedzieć, ty pusty rogu bawoli?

Ras zmarszczył się i odparł spokojnie:

– Może masz rację, że dobrze nam będzie razem. Więc ani odejdę, ani pchnę ciebie nożem, lecz przysięgam na Allacha i Mahometa, Proroka jego, że jeżeli jeszcze raz usta twoje wypowiedzą słowa: „młody byku, młody ośle, pusty rogu bawoli”, lub coś innego, równie przyjaznego – tyle z ciebie kurzu wytrzepię, że się chyba przełamiesz, tyko ogrodowa! Czy zrozumiałeś, ty, Soff, bez „ben”, „el” i „er?” Zrozumiałeś? To cieszy mnie. A

---

<sup>12</sup> Meskin – żebrak.

więc ty jesteś Soff, ja nazywałem się do tej chwili Ras, a teraz jestem Abd, też bez „ben” i innych dodatków.

Soff śmiał się na całe gardło, aż echo odzywało się w górach, i wołał:

– Zuch z ciebie, przyjacielu! Podobasz mi się! Lecz Abd to nie idzie!

– Dlaczego? – spytał góral.

– Bo Abd to znaczy niewolnik. Czyim jesteś niewolnikiem? Chyba moim?

– Niech ludzie myślą, że jestem twoim niewolnikiem – zgodził się Ras.

– Na korzyść to wypadnie i mnie, i tobie, Abd! – rzekł Soff.

– *In cza Allah!* – zakończył tę rozmowę góral.

Nowi przyjaciele ucałowali się w policzki dwukrotnie, jak to stary zwyczaj nakazuje.

Soff zaczął opowiadać o sobie.

Był zaklinaczem węzów i włóczył się po całym Maroku, Algerii, Tunisji, zaglądając nawet do Trypolitanii włoskiej i do Egiptu.

– Przybyłem tu po węże – mówił. – Po nowe węże, bo moje zupełnie się zestarzały i osłabły. Nie chciały ani jeść, ani złościć się, ani gryźć. Leżały jak kije lub kawały liny. Sprzedałem je za dobre pieniądze jakiemuś fuszerowi z Rabatu i oto jestem tu i łapię sobie węże, mam już dwa, muszę mieć jeszcze trzy lub cztery. Im więcej ich będę miał, tym poważniej i straszliwiej będę wyglądał, tym bardziej teraz, gdy będę miał swego niewolnika. Nauczę ciebie swojej sztuki, gdyż może ci się to nieraz w życiu przydać, młody by... kochany przyjacielu.

– Doskonale, że się poprawiłeś, Soff – zaśmiał się góral – i to, że nauczysz mnie swego fachu.

Tego wieczoru stary wyga rozpoczął naukę.

Po wieczerzy, siedząc przy ognisku, wystrząsnął z worka dwa węże. Ujrzawszy je Ras skoczył na równe nogi i odbiegł od ogniska.

– Przecież to jadowita „bham!”<sup>13</sup> – krzyknął przerażony.

– Tak, to bham – odparł spokojnie Soff.

Mówiąc to zaklinacz wyciągnął dłoń nad wężem. Ten podniósł swoją płaską głowę z szeroką paszczą i bacznie śledził za ruchami człowieka. Soff tymczasem ruszał palcami i trzymał drżącą rękę nad głową wipery. Wszystkie ruchy dłoni były powolne i miarowe, a ręka coraz bardziej się zniżala, aż zaklinacz szybkim ruchem dotknął głowy węża i przycisnąwszy ją do ziemi drugą ręką zaczął gładzić płaza od szyi aż do końca ogona. Gładził lekko i bardzo powolnie, aż wąż zaczął zżymać się i drzeć, przymknął oczy i raz po raz oblizywał się błyskawicznymi ruchami długiego i cienkiego języka.

– Lubią one to! – szepnął Soff. – Zaraz uśnie...

Istotnie po chwili wąż leżał nieruchomo, nie dając znaków życia. Soff wziął go do rąk, przybliżył do swej twarzy straszliwą, jadowitą paszczę węża, owinał nim swój zawój, rzucał go kilka razy na ziemię, niby grubą kiszkę gumową, i znowu brał do rąk.

– Śmiały z ciebie człowiek! – zawołał zdumiony Ras.

– Nie tyle śmiały, ile mądry! – poprawił go Soff. – Trzeba znać obyczaje węzów. Głodny lub półsyty nie da się wziąć w ręce, napadnie, ugryzie i zabije. Na wolności wąż jest zawsze głodny i rzeczą najtrudniejszą i najniebezpieczniejszą jest jego schwytnie. Gdy się to już udało, wtedy reszta stanowi już zabawkę. Schwytanego węża pakuje się do wora, gdzie wpuszczam przedtem kilka żab, myszy lub małych ptaszków. Głodny gad rzuca się na zdobycz i najada się straszliwie, po czym jest zupełnie bezsilny i obojętny. Od tej chwili węża stale się trzyma w stanie pełnego nasycenia, a nawet przesylenia. Można wtedy z nim robić, co się komu spodoba. Lubi wtedy, gdy go głaszczą po grzbiecie, bo to pomaga trawieniu i zmusza pożywienie, połknięte z kośćmi, włosami i piórami, posuwać

---

<sup>13</sup> Tak nazywają górale Atlasu węża – wiperę (*Vipera Mauritanica*).

się do żołądka i dalej – do kiszek. Sprawia to wężowi taką przyjemność, że błogo zasypia. Nieraz widziałem w pustyni i w górach, gdzie się gnieźdzą gady, że węże same, ledwo się czołgając, szukały gałęzi krzaków lub kamieni, aby się ocierać o nie. Wyciągnięta dłoń i ruszające się palce przypominają im właśnie gałęzie i dlatego z błogością patrzą na nie i podnoszą się, aby się o nie otrzeć. W tym cała sztuka. Trzeba tylko rozumieć węże. Tak zakończył swe opowiadanie Soff.

– Czyżby bham nigdy nie rzuciły się na zaklinaczy? – spytał zdziwiony góral.

– Zdarza się to, lecz my staramy się chronić przed jadem węzów – odparł Soff. – Doświadczysz tego na sobie wkrótce, musimy tylko złapać jeszcze kilka gadów, a wtedy pojedziemy do kubby naszego patrona Mohammeda ben Snussen el Dżilali i tam uczynię z ciebie najprawdziwszego zaklinacza!

Nazajutrz od rana nowi przyjaciele szperali wśród kamieni i gęstych krzaków, płosząc węże. Obaj byli uzbrojeni w długie tyki z widelkami na końcu.

Góral spotkał kilka węzów i przycisnąwszy je widelkami do ziemi wołał na Soffa. Ten przychodził i obejrawszy żmije wyrokował:

– Puść je na wolność, Abd, jest to nieszkodliwy wąż, groźny chyba tylko dla myszy.

Lecz zdobycz nareszcie wpadła w ręce górala. Spostrzegł wśród kamieni długiego, prawie czarnego węża szybko uciekającego. Gdy człowiek dogonił go, gad podniósł się i w tej chwili zaczęła mu nabrzmiwać szyja, aż się zmieniła w okrągłą tarczę, czy krótki płaszcz, zarzucony na kark. Góral, nie namyślając się długo, zręcznie przycisnął węża do ziemi swymi widelkami i zaczął krzyczeć:

– Soff! Soff! Chodź prędzej! Złapałem coś dużego i zdaje się porządnego. Pędź, pędź, bo się wyrzywa!

Zaklinacz przybiegł i ujrawszy węża błysnął radośnie oczami, w których jednak Ras dojrzał trwogę.

– Trzymaj go mocno – szepnął – trzymaj, bo inaczej zginiesz! Jest to najstraszliwszy ze wszystkich węzów kraju – to „naja”. Jad jej niesie śmierć pędzą, niż od kuli przeszywającej serce. Trzymaj, ja zaraz powrócę!

Zaklinacz szybko się oddalił w stronę obozu. Gdy powrócił, miał ze sobą sporą, skórzaną sakwę, dobrze czymś wypchaną. Zapuścił do niej rękę i wyrzucił na ziemię kilka szczurów i myszy, żyły, lecz pozostawały nieruchome, ponieważ były mocno skrępowane cienkimi drutami lub końskim włosiem. Soff wybrał największego szczura i dwie myszy, oswobodził je z pęt, a gdy poruszyły się żywiej, przycisnął im grzbiety długim, do rogu podobnym paznokciem wielkiego palca. Zwierzątka z przełamanymi grzbietami bezradnie wiły się na ziemi.

– Puszczaj węża i uciekaj pędem! – wykrzyknął zaklinacz, odbiegając na stronę.

Góral spełnił rozkaz i zatrzymał się o jakie dwadzieścia kroków dalej.

Zwolniona naja natychmiast podniosła się, rozdęła szyję i zaczęła się oglądać wściekłymi źrenicami. Od razu dojrzała ruszające się zwierzątka. Wparła w nie swe nieruchome, przenikliwe źrenice, zamarła, wyprężona, podobna do rzeźby ze spiżu lub czarnego agatu i raz po raz wysuwać zaczęła cienki, długi język, ostry na końcu jak żądło jadowitej muchy.

Po chwili uniosła się jeszcze wyżej i w okamgnieniu z szybkością błyskawicy rzuciła się na szczura, zatopiła w jego ciele straszliwe kły, pełne zabójczej trucizny, jednocześnie obejmując ofiarę czarnymi zwojami silnego ciała, które się przeżyło i drgało w namiętym skurczu wszystkich mięśni. Szczur już się nie ruszał, więc naja wypuściła go i rozpoczęło się ohydne widowisko połykania ofiary z kośćmi i włosiem. Wąż rozdziawił paszczę i wciągnął w nią szczura, z trudem łykając i wypuszczając całe potoki śliny. Ciało węża skręcało się w konwulsjach, drgało, a ogon kurczowo czepiał się kamieni lub z rozmachem uderzał o ziemię. Nareszcie robota była skończona. Widać było, że szczur utkwiał w gardle, a naja wciąż łykała, usiłując skurczami mięśni przesunąć go dalej. Po szczurze przyszła

kolej na myszy. Powtórzyła się ta sama straszliwa i odrażająca scena. Ostatnia mysz już nie mogła się zmieścić w gardle naji i do połowy bezwładnie zwisała jej z paszczy.

– Teraz wąż nasz! – zawołał radośnie Soff, podchodząc do nieruchomej żmiji. Bez żadnej obawy wziął ją do rąk i położywszy sobie na kolanach, zaczął ją gładzić po grzbiecie i brzuchu. Wąż wyciągnął się, lecz wkrótce drgawki jęły biec wzdłuż ciała, dowodząc, że mięśnie znowu pracować zaczęły, przesuwając przełknięte pożywienie dalej i dalej. Powoli znikająca zwisająca z paszczy mysz, a naja stawała się coraz bardziej bezwładna i nieruchoma, aż usnęła. Wtedy Soff rozwarł jej paszczę i z mięsistych fałdów dziąseł ukazały się straszliwe, zagięte ku tyłowi, ostre kły.

– Wypuściła wszystek jad – zauważył zaklinacz – nie jest teraz groźniejsza od żaby. Dopiero za dwie godziny w torebkach położonych tuż przy podnóżu kłów tworzyć się zacznie białawy płyn trujący, którym naja zabija swoje ofiary. Starzy zaklinacze wrywali węzom te torebki, lecz pokaleczone węże żyły później krótko, bo nic nie jadły. Teraz robimy inaczej, pozostawiamy im ich jad, lecz trzymamy gady w przesycie, aby były bezwładne i nie miały potrzeby używać swych kłów do napadu. Szybko się od tego odzwyczajają i rzadko, bardzo rzadko ujarzmiony wąż ugryzie człowieka, bo już po paru tygodniach nawet przy zabijaniu szczurów nie posiłkuje się zębami, dusi je tylko i łyka.

Mówiąc to, Soff wrzucił węża do długiego, wąskiego koszyka, obwiązanego płótnem. Połów tego dnia był udany, przyjaciele znaleźli bowiem i schwytali jeszcze trzy wipery i kilka długich czarnych żmij, zupełnie do naji podobnych, lecz nie jadowitych i powolnych w ruchach.

Spędziwszy noc przy ognisku, o świcie naładowali swoje koszyki na konia i ruszyli w drogę. Dopiero przed wieczorem ujrzeni na szczycie góry ruiny białego budynku z okrągłą kopułą.

– *La Illah illa Allah u Mahomed rassul Allah, Allah Akbar*<sup>14</sup> – zawołał Soff.

Ras z nabożeństwem powtórzył słowa tradycyjnej modlitwy muzułmańskiej i spojrzał pytająco na towarzysza.

– Jesteśmy u celu naszej podróży – rzekł Soff. – Mamy przed sobą grobowiec sidi Mohammeda ben Snussen el Dżilali, patrona zaklinaczy węzów i przewodników karawan. Tu spędzimy kilka dni, abys mógł osiąść wszystkie tajemnice naszego zawodu i przygotować się do niego należycie.

Soff sumiennie uczył swego towarzysza wszystkich sztuk zaklinaczy węzów. Nie były one zbyt zawile i wymagały tylko pewnej zręczności i wymowy. Ras prędko się nauczył, jak potrzeba odwracać uwagę widzów od tego, co robi zaklinacz, który bez przerwy mówi do otaczającego go kołem tłumy. Przejął od Soffa jego pełne ognia modlitwy do Allacha i do patrona zaklinaczy Mohammeda el Dżilali, formuły niezrozumiałych, tajemniczych zaklęć, nerwowe, porywcze ruchy, podniecające wykrzykniki i zagadkowe mruczenia nieznanymi słowami.

Soff pokazał mu, jak się należy obchodzić z węzami, które mają ugryźć zaklinacza na oczach widzów. Soff brał wipery, rozdzierał im jak najszerzej paszcze, a gdy ukazywały się kły, wtedy kapała z nich jadowita ciecz.

– Widzisz, Abd – mówił stary zaklinacz – wąż nie ma teraz w sobie ani krzty trucizny, a więc jest zupełnie bezpieczny. Może teraz ugryźć nowonarodzone dziecko bez żadnej przeszkody. Właśnie w takim jałowym stanie powinien ten gad ugryźć zaklinacza. Lecz wąż jest opchany, nie ma ani złości w sobie, ani chęci do napadu. Jest przejedzony, ospały i prawie bezwładny. Więc sam zmuszony jestem „gryźć się” jego kłami. Uderzam paszczą w swoją głowę, a że mam na niej gęstą, dobrą czuprynę, wycieram o nią z zębów płaza resztki trucizny, o ile ona jeszcze pozostała na nich lub w paszczy wipery, a teraz trę się

---

<sup>14</sup> Nie ma Boga oprócz Allacha i Mahometa – proroka przedwiecznego Allacha.



czołem o kły. Mogłyby mnie zadrasnąć, gdyby nie były zagięte w tył, a więc nieznacznie dotykam ręką czoła i widzisz, jak spływa z niego struga krwi.

Ras krzyknął przerażony, widząc krew, którą Soff zręcznie rozmazał po całej twarzy.

Zaklinacz śmiał się beczelnie i objaśniał dalej:

– Rozduśiłem na czole woreczek z pęcherza, napelniony czerwoną farbą, przyjacielu! Miotając się i krzycząc, rozmazuję ją po twarzy. Co? Wyglądam przerażająco? A teraz drgawki i wymioty... Tego się nauczysz później, na praktyce.... Na końcu modlitwa do Allacha i naszego patrona, po której mokrą szmatą ścieram z twarzy krew i pokazuję, że rany, których wcale nie było, zabiłiły się bez śladu... Rozumiesz?

– Rozumiem! – śmiał się Ras. – Pamiętam, że zawsze z przerażeniem spoglądałem na zaklinaczy węzów i prosiłem Allacha, aby im nic złego się nie stało. A to tymczasem zwykła sztuka!...

– Za którą, mój bracie, głupi tłum zawsze łakomy widowiska i niebezpieczeństwa dla swego bliźniego, wrzuca do koszyka zaklinacza pieniądze... To już lepiej, nieprawdaż?

Góral śmiał się serdecznie i zaczął powtarzać pokazaną mu sztukę, a że był to człowiek wesoły i dowcipny, tak zabawnie gadał, że nawet nawykły do podobnych widowisk Soff nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Dobre pieniądze będziesz zarabiał, przyjacielu Abd! – wołał, radośnie zacierając ręce. – Gadasz nie gorzej od błaznów, śmieszących gapiów na Dżema el Fna.<sup>15</sup> To się oplaca! Ja tego nie umiem, wolę nabierać widzów na strach i ponure miny, przerażając tłum.

– Po co nałowiliśmy tyle nieszkodliwych czarnych węzów? – zapytał Ras.

– Na sprzedaż! – odpowiedział Soff. – Kupują je chętnie Francuzi, gdyż te węże wyłapują myszy w domach, ale najdrożej za nie płacą zaklinacze węzów, o ile należą do sekty Ajsaua.

– Ach! – przerwał mu góral – to ci dziwacy, co żebrzą po drogach i zjadają pająki, szarańcze, żaby i inne nieczyste twory?

– Tak! tak! – odparł zaklinacz. – Otóż oni, o ile trudnią się naszym zawodem, po domniemanym ugryzieniu przez węża zamiast modlitwy i zaklęć używają innego sposobu „zniszczenia jadu”. Biorą te niewinne żmije, przegryzają im szyję, obdzierają ze skóry i zjadają ich mięso, paląc resztę na węglach, jako ofiarę demonom, zamieszkującym w trujących żmijach. Ajsaua drogo, bo po pięć franków płacą za każdego nieszkodliwego węża.

Gdy Ras posiadał już wszystkie tajemnice zaklinania węży, Soff przystąpił do najtrudniejszej i najbardziej przykrew części zawodu. Musiał zrobić swego towarzysza odpornym na jadowite ugryzienie, na wypadek, gdyby był zaatakowany przez wiperę lub naję czy to podczas schwytania dzikiego gada, czy podczas przedstawienia na placu, na oczach gawie-dzi ulicznej.

Zaklinacz zrobił na ramieniu Rasa małe nacięcie i utoczywszy z kłów węża trochę jadowitej cieczy, rozpuścił ją w wodzie, zmusiwszy towarzysza aby ją zmieszał z własną śliną. Tak przyrządzonym płynem zalał rękę. W kilka minut później Ras dostał zawrotu głowy, krew mu napłynęła do czoła, oczu i ust, drgawki wstrząsnęły całym ciałem, z narbrzmiałych warg i języka płynęła piana, w piersiach rzęziło. Trwało to przez kilka minut, po czym całe ciało zlało się obfitym potem i Ras czuł wielkie osłabienie; w kwadrans później wszelkie oznaki zatrucia minęły jednak bez śladu. Dwa razy dziennie góral przechodził tę kurację, a Soff powoli zwiększał dawki trucizny.

– Jest to starodawny sposób, wynaleziony przez jakiegoś króla nubijskiego – opowiadał zaklinacz. – Ten król obawiał się zamachu na siebie i zwolna się przyzwyczajał do trucizny wszelkiego rodzaju. Nikt go nie mógł struć, nawet jad naji prawie nie działał na niego.

---

<sup>15</sup> Dżema el Fna – główny plac Marrakeszu.

Zapisał ten sposób, ze słów starców, znakomity hakim arabski Awicenna, a my, zaklinacze, stosujemy się do rad tego lekarza.

Tak spędzał czas góral w gąszczu krzaków, otaczających kubbę Mohammeda ben Snusen el Dżilali, patrona zaklinaczy węzów, ponieważ on to podobno wynalazł w lekarskiej i magicznej książce Rahm receptę sławnego lekarza Awicenny. Lecz i przewodnicy karawan dążących przez pustynię też chętnie zbaczali z drogi, aby przy samotnej kubbie modły zanieść do Allacha i zaszyć do szkaplerza, wiszącego na piersi, szczyptę ziemi z grobowca Mohammeda el Dżilali, gdyż to chronić miało ludzi i wielbłądy od napadu jadowitych bham i straszliwych, śmierć niosących naja.

Pewnego poranku Soff nalepił kilka cienkich błonek aloesu na policzki Rasa, zmieniając do niepoznania jego twarz, gdyż zeszpeciły ją sztuczne czarne blizny.

Nawet twoja Czar Aziza nie poznałaby ciebie, przyjacielu – zaśmiał się Soff, przyglądając się bacznie zmienionym rysom towarzysza. – Teraz możesz iść do Marrakeszu bezpiecznie!

Nazajutrz o wschodzie słońca wyruszyli w drogę i już przed wieczorem weszli na nagą płaszczyznę, rozciągającą się pomiędzy Atlasem a rzeką Tensift, gdzie u podnóża gór Gheliz czerniła się oaza Marrakeszu ze strzelającą do nieba wzorzystą kolumną meczetu Kutubia, połyskującego na słońcu barwną emalią swych ścian.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### Orlica

Czar Aziza pożegnawszy męża prawie nie wychodziła z domu. Czyniła to nie dlatego, żeby się kogoś bała, lecz każdym nerwem swoim czuła, że ukochany człowiek znajduje się gdzieś w pobliżu. Instynktownie czekała na niego, gotowa każdej chwili zerwać się i biec mu z pomocą.

Nie było jednak żadnych wieści o Rasie. Kobieta wiedziała, że wielki kaid pchnął swych spahisów<sup>16</sup> na wszystkie drogi i w głąb gór dla schwytania przywódcy napadu na karawanę, więc drżała o los męża. Aziza dowiedziała się w kilka dni później, że pościg powrócił nikogo nie znalazłszy. Wtedy kobieta zrozumiała, że mąż jej jest już daleko i że pozostała sama na świecie, bezbronna i bez opieki. Długo i gorzko płakała Aziza, spędziła kilka nocy bezsennych, gdy dopiero przed świtem zapadała w stan półprzytomny, a wtedy z półmroku wypelzały jakieś potworne, złowrogie widma i straszne obrazy płynęły przed jej oczyma. Widziała Rasa leżącego na ziemi i ogromną panterę, tak wielką jak góra. Potwór siedział na nim i ryczał głuchym głosem. Chwilami słyszała łoskot ciała toczącego się do przepaści i widziała krwawy ślad, którym Ras znaczył urwiste spadki gór. Krzyczała wtedy przerażona, zimnym potem zлана, i gorąco modlić się zaczęła do Allacha Pocieszyciela. Dzień i zgiełk panujący w kasbie, gawędy i plotki sąsiadek nie przynosiły jej ukojenia. Zbladła, miała oczy podkrążone od bezsennych nocy i czerwone od łez, drżące usta i nie znikający wyraz lęku na pięknej twarzy.

Nagle przybiegł do niej od kadiego stary, kulawy czausz<sup>17</sup> i pełnym służbowej tajemniczości i surowości głosem oznajmił:

– Czar Azizo, żono Rasa ben Hoggar! Na rozkaz naszego kadiego masz się stawić przed jego obliczem na sąd.

Zaczyna się moja męka! – pomyślała kobieta, a serce ścisnęło się jej boleśnie. Trwało to jednak chwilę tylko. Wyprostowała się dumnie i odparła:

– Sidi! Kadi może wezwać mnie przed siebie, lecz nie na sąd, bom nie zbrodniarka i przepisów Świętej Księgi<sup>18</sup> przestrzegam surowo... Poczekaj chwilę przed domem. Muszę się przebrać, aby godnie stanąć przed tym, który powinien być obrońcą Koranu.

Tymczasem wieść o zjawieniu się czausza przed domem Rasa lotem błyskawicy obiegła całą kasbę. Tłum kobiet i starców zgromadził się przed domem; wypytywano czausza o przyczynę wezwania żony Rasa do kadiego i o tym, co z nią uczyni sędzia.

Czausz milczał zagadkowo, jak na urzędową figurę przystało, i cierpliwie czekał.

Nareszcie Aziza wyszła z domu. Od stóp do głowy była zawinięta w biały, czysty burнус, cienki „haik”<sup>19</sup> opuszczał się jej na twarz kryjąc rysy i pozostawiając tylko oczy ponuro i groźnie połyskujące. Szła spokojna, dumnie wyprostowana, stanowcza i śmiała.

<sup>16</sup> Spahis – konny żołnierz.

<sup>17</sup> Czausz – woźny.

<sup>18</sup> Święta Księga – Koran; nauka Mahometa (*przyp. red.*)

<sup>19</sup> Haik – zasłona na twarz, noszona przez kobiety na Wschodzie.

– Idziemy, sisi – rzekła donośnym głosem. – Rada jestem, że wzywa mnie kadi, gdyż chcę upomnieć się o męża swego.

– Jak to o męża? – wyrwało się pytanie zdumionemu przedstawicielowi władzy.

– Tak, chcę się upomnieć o męża! – powtórzyła z naciskiem. – Chcę zapytać kadiego, czy już nie istnieje w Mahrebie stara tradycja „Hadith”<sup>20</sup> która nie ściagała górali Szleu, gdy czynili śmiało wyprawy na kupców, prowadzących karawany. To była wojna i każdy tam mógł bronić swego mienia i życia, lecz prawo milczało, gdyż taka istniała tradycja. Czyż nie dobrze mówię, sąsiedzie?

– Słowa twoje są prawdziwe, kobieto! – odezwał się jeden ze starców.

– Dlaczegoż teraz za śmiałe czyny Szleu dostają się do więzienia w Tarudancie, w ręce kata, lub zmuszeni są gasić ognisko rodzinne, porzucać żony, dom i kryć się po górach i lasach niby szakale lub psy zdziczałe?

Głuchym pomrukiem wtórował tłum słowom kobiety.

– Prawda!... prawda!... – wołało kilka głosów na raz. – Tego dawniej nie było!

– Czyżby Koran i Hadith nic nie znaczyły wobec żądań „berrania”,<sup>21</sup> cudzoziemców, tych „rumani”<sup>22</sup> „nezrani”,<sup>23</sup> którzy chcą się rządzić w całym Mahrebie?

– Hańba! – wołano w tłumie. – Wielki kaid i sam sułtan zdradzają Koran i stare tradycje! Hańba!

– Jeżeli dla cudzoziemców ścigają walecznych górali, dlaczego wielki kaid nie zażąda od cudzoziemców wynagrodzenia za zabitych w ostatnim napadzie na karawanę naszych mężów, synów i braci?

– Prawda! Hańba! – rozległy się dzikie okrzyki. – Oddają nas w ręce przybyszów, nikt nas nie broni, nikt nie przestrzega starych obyczajów naszego plemienia, naszego prawa, ustalonego przez Proroka! Nie oddamy Azizy! Będziemy bronili jej przed przemocą zdrajców!

Tłum zaczął otaczać starego czausza, klnąc i wygrażając.

– Uciszcie się, sąsiedzi! – zawołała Czar. – Sama chcę iść do kadiego i upomnieć się o swoje ognisko i o męża. Bądźcie zdrowi i niech Allah ma was w swej pieczy! Allah Jau-nek!

Kobieta, spokojna i dumna, skierowała się uliczką, prowadzącą do biura, gdzie urzędował kadi, a wylekniony, drżący czausz włókł się za nią, straciwszy całą swoją powagę i surowość. Z tyłu, w skupieniu i ponurym milczeniu, posuwał się za nimi tłum wieśniaków.

Tymczasem Aziza doszła do domu sądu i stanęła przed obliczem kadiego. Ten siedział przy stole, przywalonym grubymi książkami, i przez okulary patrzył na stojącą przed nim postać kobiecą. Był to już wiekowy człowiek, dobry i łagodny, od niepamiętnych czasów obierany na stanowisko kadiego. Syn jego, młody Brahim, sprawował urząd sekretarza. Siedział z boku z piórem w ręku, przygotowany do zapisywania zeznań.

– Jak się nazywasz, kobieto? – zadał urzędowe pytanie kadi.

– Nazywam się Czar Aziza, córka Hadż el Ussima, żona Rasa ben Hoggar – padła spokojna odpowiedź.

– Czy znasz Rasa ben Hoggar? – brzmiało następne urzędowe pytanie.

– Dwa lata temu szlachetny Ras ben Hoggar pojął mnie za żonę i wprowadził do swego domu w kasbie. Od tej chwili aż do tego czasu podtrzymywałam ognisko w domu mego męża i pana – odparła kobieta.

– Wiesz, po co cię wezwałem tu? – pytał stary kadi.

---

<sup>20</sup> Tradycje muzułmańskie są ujęte w osobne, obok Koranu istniejące, prawo, tzw. „Hadith”.

<sup>21</sup> Berrania – przybysze.

<sup>22</sup> Rumani – Europejczycy.

<sup>23</sup> Nezrani – chrześcijanie.

– Nie wiem – rzekła Aziza. – Lecz przyszedłam tu sama, bez twego, sidi, wezwania, aby zapytać cię o „surat”<sup>24</sup> Koranu, o artykuł prawa i Hadith pozbawiający bez przyczyny żonę męża, a męża – rodziny i domu.

Zdumiony kadi zdjął okulary i zaczął je przecierać, sekretarzowi pióro wypadło z rąk.

– Twój mąż – złoczyńca, ściga go prawo? – zawołał sędzia.

– Dowieść musisz zbrodni, sidi, i pokazać prawo, karzące ją! – szepnęła kobieta.

– Na Allacha! – wykrzyknął starzec. – Przecież Ras ben Hoggar był hersztem bandy, napadającej na karawanę pomiędzy Ifni a Tarudantem?

– Tego ja nie wiem, czy mąż mój i pan mój był hersztem. Lecz gdyby nawet tak było, to jak Szleu są Szleu, tym się trudnili nasi mężczyźni i dopiero od dziesięciu lat...

– Milcz, kobieto! – wrzasnął kadi. – Taka jest wola wielkiego kaida, aby ustały napady na drogach karawanowych. Czy nie wiesz o tym?

– Wiem – rzekła Aziza, – ale też wiem, że w naszym prawie pisanym nie ma woli wielkiego kaida, jest tylko wola Allacha i Jego proroka Mahometa. Allach i Mahomet zaś nie zakazywali wojny i odważnych czynów. Prawo więc nie może ścigać Rasa, męża mego. Błagam cię przeto, sidi dobry i sprawiedliwy, który byłeś przyjacielem ojca mego męża, Hoggara ben Mohammeda, swego towarzysza w wyprawach na kupców, wiozących kość słoniową i czarnych niewolników, pozwól mężowi memu powrócić do domu swego i widokiem swoim ucieszyć oczy moje!

Kadi i sekretarz milczeli, gdyż takiego obrotu sprawy wcale nie oczekiwali, więc nie wiedzieli, co mają robić teraz z tą kobietą, tak spokojnie i dumnie stojącą przed nimi i rzucającą zrozumiałe dla góralskiego serca i sprawiedliwe słowa poparte prawem.

Nareszcie kadi wykrztusił zdanie:

– Zeznajesz więc, że twój mąż przyjmował udział w napadzie na karawanę?

– Nie, sidi, nie zeznaję! – odparła spokojnie. – Podejrzenie padło na niego, podejrzenie niesprawiedliwe, lecz dostateczne, aby wygnać człowieka z własnego domu i pozostawić kobietę bez opieki i obrony.

– Gdzie jest Ras ben Hoggar? – pytał sędzia.

– Nie wiem, gdzie jest teraz, gdyż z pewnością dowiedział się o pościgu za nim i o podejrzeniu, które padło na niego; błąka się gdzieś bezdomny i zemstą pałający. Mąż mój poszedł był w góry polować na muflony. Być może spotkał się z „namer” i umiera gdzieś w wąwozie od ciężkich ran...

– Nie kłam! – zawołał stary kadi. – Jeden z towarzyszy Rasa zeznał przed śmiercią, że wyprawą dowodził twój mąż... Co powiesz na to, kobieto?

– Powiem ci na to, czcigodny sidi, przyjacielu Hoggara ben Mohammeda, że gdyby cię katowano, jak to czyniono z domniemanym towarzyszem mego męża, to byś z pewnością zeznał, żeś nie z Hoggarem niegdyś napadał na brzegach Draa na kupców, lecz z samym sułtanem Mulej Jussufem, niech Bóg roztoczy nad nim swoją opiekę!

– Jesteś obłudna i zuchwała! – krzyknął zrozpaczony kadi i skinąwszy na czausza dodał:

– Odprowadź ją do domu... tymczasem, Salemie.

– Nie jestem obłudna i zuchwała, sidi – rzekła odchodząc Aziza – znam jednak prawo i obyczaje naszych gór!

Powiedziawszy to wyszła spokojna i wyniosła.

Długo patrzyli w milczeniu za odchodzącą sędzia i sekretarz, a później w zdumieniu głębokim spoglądali na siebie.

– Orlica... – szepnęła stary kadi.

---

<sup>24</sup> Surat – rozdział.

– Orlica! – powtórzył młody Brahim i nie zeznając dlaczego to czyni, zmrużył błyszczące oczy i przeciągnął się rozkosznie.

– Prawdę przecież mówiła ta kobieta? – pytał sędziego.

– Prawdę, ojczel! – zawołał Brahim. – Mówiła, jak sto ulema<sup>25</sup> razem wziętych. Ona się nie da tak łatwo, ta – orlica!

– Co robić? – rozwodził ręce stary.

– Napisać o wszystkim wielkiemu kaidowi i czekać na rozkazy! – poradził sekretarz.

– Chyba... – zgodził się kadi. – Pisz zatem...

Sekretarz schylił się nad papierem, lecz w tej chwili wpadł czausz i zdyszczonym głosem opowiedział, że w wiosce wybuchnął bunt, który został wszczęty przez Azizę, żonę Rasa ben Hoggar.

Ojciec i syn porwali się na równe nogi podbiegli do czausza, który szczegółowo opowiedział o wszystkim, przeplatając swe słowa modłami za kadiego i wielkiego kaida, władcę i pana szczepów górskich. Do późnej nocy pisał młody Brahim doniesienia do Tarudantu, gdzie w tym czasie sprawował sądy sam Glau, wielkorządca Atlasu.

Tymczasem w całej kasbie wrzało jak w ulu, a zawrzało jeszcze bardziej, gdy z pól, ogrodów i lasów powrócili mężczyźni i dowiedzieli się o tym, co zaszło w wiosce. Słowa Azizy padły na dobry, podatny grunt, górale bowiem od dziadów – pradziadów trudniący się wojną i rozbojami na drogach karawanowych i nawykli do rycerskiego i zbójckiego procederu, od dawna byli niezadowoleni z nowych porządków. Wojowniczy Szleu nie umieli i nie chcieli grzebać się przy roli, karczować lasów i paść bydła. Zmuszeni do tego przepisami zakazującymi, pod groźbą ciężkiej kary, napadów i śmiałych wypraw, podupadali znacznie, przeżywając nieraz lata głodu i nędzy.

Aziza, zdawało się, otworzyła wszystkim oczy, objaśniała, że przepisy kaida są ustępstwem dla białych przybyszów i nie opierają się na prawie, a nawet są z nim w niezgodzie. Wieś przygotowała się do burzliwego protestu. Po domach ostrzono krzywe noże, stare dziadowskie szable, wśród których można było odnaleźć niegdyś przywiezione przez Maurów andaluzyjskich z Hiszpanii, gdy tam panowali czarni królowie w Sewilli, Granadzie, Kordobie i Toledo; gromadzono proch i ołów, lano kule, czyszczono i naprawiano karabiny, opatrywano uździenice, siodła i strzemiona, napełniano sakwy chlebem, suchym prosem, kawą i solą. Zdawało się, że ludność małej kasby robi przygotowania do wielkiej wojny.

Dowództwo nad wojownikami postanowiono oddać Brahimowi, synowi kadiego, ponieważ był najlepszym po Rasie ben Hoggar strzelcem i jeźdźcem, odznaczającym się podczas wielkich fantazja,<sup>26</sup> odbywających się w święta Bejramu w Tarudancie i Agadir. Wylękniony jednak młodzieniec uchylił się od tego zaszczytu, a wtedy wynikły spory i intryki pomiędzy innymi pretendentami na stanowisko wodza.

Czar Aziza pozostawała w domu, rozumiejąc, że jej słowa rozpały pożar i stały się początkiem odkrytego buntu, co bezkarnie jej nie ujdzie. Czekwała więc z biciem serca i trwożą wypadków, ciesząc się w duchu, że potrafiła chociaż odrobinę zemścić się za męża. O Rasie starała się nie myśleć, gdyż tęsknota za nim zmuszała ją do łkania i jakiejś słabości, która opanowywała jej ciało i duszę. Tymczasem rozumiała, iż musiała teraz być spokojna i silna jak nigdy.

Dziesięć dni nie było żadnych wieści z Tarudantu, na jedenasty do kasby przybyło kilku jeźdźców. Siedzieli na dzielnych bułanych koniach, mieli na głowach turbany, opasane granatowymi sznurami, granatowe burnusy, szable przy siodłach i karabiny na plecach. Wszyscy poznawali w nich spahisów wielkiego kaida. Dowódca oddziału natychmiast odwiedził kadiego, który kazał niezwłocznie sprowadzić do biura Czar Azizę.

<sup>25</sup> Ulema – uczeni.

<sup>26</sup> Fantazja – wyścigi i popisy konne Berberów.

Przyszła, jak za pierwszym razem, nie zdradzając niepokoju.

– Wielki kaid, nasz pan i władca, rozkazał odstawić ciebie, kobieto, do swojej kasby – oznajmił starzec.

– Koran uczy, że wola władcy jest wolą Allacha, jeżeli zgadza się z suratami Świętej Księgi – odparła spokojnie. – Władca może podług prawa żądać przybycia podwładnego. Pojadę!

– Bądź gotowa przed południem do drogi! – rozkazał kadi i skinął, aby odeszła.

– Jak mówi ta kobieta! – zawołał zdziwiony naczelnik spahisów. – Czy nie jest ona czasem kahina?<sup>27</sup>

– Nie słyszałem nic o tym – odpowiedział kadi. – Wiem tylko, że jest chytra, zuchwała i zna nasze prawo, jak taleb<sup>28</sup> z medersa.<sup>29</sup> Będziecie mieć z nią kłopot, bo to rogata dusza i serce orle!

Spahis wzruszył ramionami i rzekł:

– To nie moja rzecz! Ja muszę ją odstawić do wielkiego kaida – taki rozkaz!

Po obiedzie przed bramą kasby stał już orszak jeźdźców, gotowy do drogi. Pośrodku oddziału spahisów na dzielnym białym koniu, na tym samym, na którym Ras wyruszył na ostatnią nieudaną wyprawę, siedziała Aziza. Szeroki burnus nie mógł ukryć jej silnej, wiotkiej postaci. Drobnie nogi w żółtych „babuszach” twardo wparła w szerokie marokańskie strzemiona i lekko opierała się o wysoki tylny łęk czerwonego, haftowanego srebrem siodła. Twarz miała zasłoniętą haikiem, pod którym miała jeszcze przepaskę na ustach. Robiła to podług obyczaju, aby złe dżinny, czyhające na podróżnych przy skrzyżowaniu dróg, w dzikich ustronnych miejscach lub przy zapomnianych mogiłach na pustkowiu, nie wdarły się jej do ust, a przez nie do serca i mózgu, powodując ciężkie choroby lub obłęd.

Razem z Azizą mieli stanąć przed obliczem groźnego kaida kadi, jego syn Brahim i trzech zbyt gorących buntowników, wskazanych przez starego czausa. Wszyscy byli zgnębieni i pełni najgorszych przeczuć, tylko Czar Aziza pozostawała niewzruszona, zatopiona w swoich myślach.

Oddział posuwał się ostro naprzód i wkrótce po zachodzie słońca, jeźdźcy ujrzeli potężne mury i warowne baszty olbrzymiej kasby, gdzie miał swoją siedzibę wspaniały kaid Glai.

Przybyłych mieszkańców wioski góralskiej umieszczono w wielkiej izbie i nakarmiono. Byłoby to dobrą oznaką, gdyby nie uzbrojony spahis, tkwiący w drzwiach. Wszyscy rozumieli, że są pod aresztem.

Spędzili noc w trwodze i ciężkim oczekiwaniu groźnego jutra, gdyż mieli stanąć przed oczami władcy. Istotnie po modlitwie porannej jeńcom oznajmiono, że będą stawieni przed sądem kaida.

Pierwszy poszedł kadi z synem-sekretarzem i jeszcze nie powrócił, gdy zjawił się jakiś stary dygnitarz i zawołał:

– Wielki kaid wzywa żonę Rasa ben Hoggara!

– Jestem – odezwała się Aziza, szczerze otulając się burnusem i poprawiając zmięty haik.

Starzec zrobił znak ręką, przepuścił kobietę przed sobą i poszedł za nią. Przeszli długi korytarz, kilka wspaniale przybranych komnat, aż stanęli przed zamkniętymi drzwiami, ze stojącą przed nimi wartą.

Stary dygnitarz zapukał i szepnął zwracając się do Azizy:

– Wejź!

Kobieta przycisnęła rękę do piersi i weszła.

<sup>27</sup> Kahina – czarownica, jasnowidząca.

<sup>28</sup> Taleb – uczonego kapłan.

<sup>29</sup> Medersa – teologiczny uniwersytet muzułmański.

W małej izbie na szerokiej sofie siedział poważny, sędziwy człowiek o mądrej twarzy i siwej brodzie, spływającej na biały burnus. Czarne, przenikliwe oczy świeciły mu się spod nisko nasuniętego na czoło turbanu.

Aziza padła na kolana, oddając głęboki, pełny pokory ukłon, i wyrzekła sakramentalne pozdrowienie.

– *Salem alejkum!* Niech Allah roztoczy błogosławieństwo swoje nad tobą, wielki kaidzie, panie nasz!

– Słyszałem już o tobie – rozległ się suchy głos kaida. – Co powiesz o sprawie swego męża?

– Błagam cię, wielki panie, abys puścił w zapomnienie czyny Rasa ben Hoggara, mego męża i pozwolił mu powrócić do stęsknionej i zrozpaczonej żony, dla której dzień jest męką, a noc śmiercią w trosce o życie jedyne i umiłowanego.

Mówiąc to, wyciągnęła błagalnie ręce do kaida.

– Zasłużył na śmierć, łamiąc moje rozkazy! – rzekł kaid, marszcząc krzaczaste brwi.

– Była to rycerska, odważna wyprawa, gdzie życie się oddaje za życie, panie mój! – zawołała Aziza.

– Inne czasy teraz, inne prawa – mruknął Glai.

– Zaklinam cię na te czasy, wielki kaidzie, gdy imię twoje powtarzały tysiące ust, gdy pieśniarze śpiewali o odwadze twojej, gdyś prowadził oddziały podchodząc bogate karawany, bronione przez wojska sułtanów.

Powiedziawszy to, Aziza znowu padła na ziemię.

Nieznaczny uśmiech i błysk dumy przemknęły po twarzy kaida.

Milczał przez chwilę, a później klasnął w dłonie.

Zjawił się spahis.

– Odprowadź tę niewiastę do jej izby. Powiedz naczelnikowi warty, że jest wolna i może powracać do domu swego! – rozkazał kaid.

Aziza skłoniła się nisko i rzekła:

– Allah niech ma cię w opiece do końca dni twoich, panie, a serce twoje niech się przychyli do prośby nieszczęśliwej kobiety.

– Idź, już, idź! – powiedział kaid. – A nie buntuj mi ludzi, bo źle z tobą będzie, ty... orlica górska!

„Orlica”, przyciskając ręce do bijącego serca, wychodziła pokornie pochylona, skulona, lecz za drzwiami nagle się wyprostowała, obejrzała się i z namiętnością, przejmującą ją dreszczem, wyszeptwała:

– *Bismi Llahi Rahmani r Rahim...*<sup>30</sup>

Za godzinę, nie czekając na kadię i sąsiadów, była już na koniu i mknęła nieznanymi ścieżkami, ufna w zmysł konia, nawykłego rozpoznawać drogi, których chociażby jeden tylko raz dotknęły jego śmigłe, dzwoniące na kamieniach kopyta.

Przed zachodem słońca rumak, wierny towarzysz Rasa, doniósł ją do kasby, gdzie tyle szczęścia i tyle udręki doznała Aziza od ukochanego człowieka.

Gdy weszła do domu, zapłakała gorzko, bo wydało się jej, że przeleciał przez izbę z cichym nieuchwytnym jękiem, blady jak opary poranne na szczytach gór, cień męża.

– Allah Muhaimin!<sup>31</sup> Ratuj nas! – szepotała, ściskając zimne ręce i czując, że wzbiera w jej piersi dzikie, rozpaczliwe wycie, jakie wydaje głodna wilczyca, zbłąkana w jałowych wąwozach.

<sup>30</sup> W imię Boga litościwego i miłosiernego!

<sup>31</sup> Allah obrońca.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

### Ku nieznanemu celowi

Gdy Ras i Soff weszli na kamienistą, nagą równinę, rozciągającą się aż do Marrakeszu, wszystkimi drogami ciągnęły tłumy, zdążające do południowej stolicy. Do miasta szli pątnicy z Mulej Brahim, odbywający pielgrzymkę do meczetu Kutubia i do grobowców dawnych władców z dynastii Saadien; bandy meskinów, żebraków, włóczących się po całym kraju i polujących na jałmużnę i hojnych opiekunów, akrobaci, błażni, tancerze, pieśniarze, opowiadacze dawnych legend i baśni, czarownicy, znajdujący na rynku i w bogatych domach arystokracji miejskiej chętnych widzów, słuchaczy i pieniądze; stręczyciele niewolników, posłani przez ukrywających się przed władzami francuskimi handlarzy; nie znani, półobłąkani prorocy, sekciarze; tłumy kobiet, dążących z różnymi zamiarami i w jednym celu do Marrakeszu; niektóre z nich, tak zwane „gezzana”, potworne megery o powichrzonych włosach i pomarszczonych twarzach, w łachmanach ledwo przysłaniających chude, czarne ramiona i uschłe piersi – niosły ze sobą sztukę wróżbiarską, przepowiednie, tajemniczą wiedzę talizmanów i amuletów; inne brząkały srebrnymi bransoletami na wysmukłych nogach i rękach, dzwoniły ciężkimi koliaми i sznurami z nawleczonymi na nie konchami, „uda”, lub hiszpańskimi i francuskimi srebrnymi i złotymi monetami, klaskały z przyzwyczajenia długimi marokańskimi kastanietami, marząc o tym, jak będą czarowały widzów zwinnymi ruchami swoich dzikich tańców i wiotkimi ciałami i jak, gdy Allah zechce, rozkochają w sobie bogatego kupca, który otworzy przed nimi podwoje wspaniałego haremu. Szły, jechały na wielbłądach, mułach i osłach młode nomadki<sup>32</sup> z ziemi Draa i z jałowej Hammada; długie granatowe koszule odsłaniały brązowe i oliwkowe okrągłe, piękne ramiona i sprężyste piersi, rozkwitłe i gorące, jak kwiaty dzikiej róży niewinne, lecz tęskniące już do ognistych pieszczot. W podłużnych, rozmarzonych oczach pięknych niewiast pustyni nie było żadnej myśli, płonęła tylko żądza i nadzieja porzucenia na zawsze ohydnych, czarnych „duarów”<sup>33</sup> i przestąpienia „wrót szczęśliwości”, jak nazywają te niewolnice z krwi i kości „seraje”<sup>34</sup> bogaczy i możnych panów lub progi tonących w zbyt-kach, lenistwie i rozpuście domów w Abdallah – dzielnicy Fezu, gdzie miłość i szal namiętności rzucono na targowisko i sprzedawano za złoto.

Wszystkich zaś ciągnął do siebie Marrakesz, a przemawiał do nich nie donośnymi głosami nawołujących do modlitwy muezzinów<sup>35</sup> i nie mądrością poważnych ulema i talebów, lecz słodkim a zwodniczym brzękiem pieniędzy.

Być może, że wśród tego tysięcznego tłumu trawionego pragnieniem zarobku był tylko jeden człowiek, dążący do pięknej stolicy Saadien z tęsknotą i rozterką w duszy i sercu, a bez żadnego jasnego celu przed sobą. Był to Ras ben Hoggar.

Gdy dwaj przyjaciele zmieszali się z gromadą ludzi, Soff szepnął swemu towarzyszowi do ucha:

<sup>32</sup> Nomadki – kobiety plemion koczujących.

<sup>33</sup> Duary – zbiorowiska namiotów koczowników.

<sup>34</sup> Seraje – haremy.

<sup>35</sup> Muezzin – sługa kościelny.

– No, już wielki czas, aby Abd stał się prawdziwym „abdem”! Teraz ja wgramolę się na szkape, a ty będziesz ją prowadził za uzdę i drogę torował w tłumie dla mnie, potężnego i znakomitego zaklinacza. Zaczynaj!

Ras otrząsnął się z ponurych, dręczących myśli i skinąwszy głową, ujął konia za uzdę.

Właśnie doganiali gromadę pielgrzymów. Szli ze śpiewami i poprzedzającą ich orkiestrą, złożoną z drabów, zamaszycie bijących w bębny i dmących w drewniane, ogłuszające piszczałki.

– Rozstąpcie się, mumeni! – zaczął góral. – Oto ja, niegodny swego pana abd – niewolnik, oznajmiam wam – rozstąpcie się. Spójrzcie na wspaniałego sidi, siedzącego na koniu, którego prowadzę. To – Soff! Kto nie zna Soffa, potężnego Soffa, ulubieńca Allacha, Soffa – władcę jadowitych płaskogłowych bham i śmierć zadających naja? To jest Soff – wielki pogromca dzinnów węzowej śmierci, Soff – przyjaciel i opiekun ludzkości, przewodników i poganiaczy karawan, pielgrzymów przecinających bezludne, przez dzinnów opanowane pustkowia! Rozstąpcie się, mumeni, przed panem moim, potężnym pogromcą węży – sidi Soffem.

Tłum zeszedł z drogi, z obawą patrząc na wiszące przy siodle koszyki, pełne jadowitych gadów, i na wyniosłą, dumną postać zaklinacza, podobną do tyki, wbitej w grzbiet wierzchowca.

– Przepięknie śpiewałeś na moją cześć, Abd – mruczał zabawnie zezując oczami Soff. – Szczególnie udało ci się o tym potężnym pogromcy węzów! Bardzo to imponujące!

– Mówiłem to z głębi serca – odparł uśmiechając się Ras – bo właśnie przypomniałem sobie, jakieś zmykał, gdy schwytałem naja w górach. Pamiętasz?

– Ach, ty, młody byku... – zaczął, cicho śmiejąc się zaklinacz.

– Co powiedziałaś? – zapytał Ras i mocno uszczypnął towarzysza w suchą, jak wyprazona przy ogniu szczapa, łydkę.

– Nic! Nic! To tylko przez żart – zawołał Soff, pocierając nogę. – No, ale wjeżdżamy już do miasta.

Na prawo od drogi Ras ujrzał wysoki różowy mur, ze wspaniałymi koronami palm rosnących za nim. Był to ogród sułtański – piękny Aguedal, duma Marrakeszu i źródło dochodów wielkiego kaida i baszy Glau. On to dzierżawił te obszary, porośnięte palmami daktylowymi, drzewami oliwnymi, granatowymi, pomarańczowymi i cytrynowymi z rozrzuconymi w ich cieniu plantacjami wina, henny, tytoniu i kwadratami pól, zasianych pszenicą i jęczmieniem.

Przez otwartą bramę weszli do starej dzielnicy Medina, długo błąkali się w labiryncie powariowanych, pokrzyżowanych uliczek, zaułków, załamań murów i ciasnych przejść.

– Stój! – zawołał naraz Soff. – Jesteśmy w domu!

– W domu? – pomyślał góral i smutek ścisnął mu serce. – Nie mam już domu! Cały świat stoi otworem przede mną i nigdzie nie ma mojego domu. Jestem teraz włóczęgą, przybyszem, gościem wszędzie i ciągle...

Coś zdusiło mu gardło i zmusiło przymrużyć oczy, jakby ktoś cisnął mu w twarz suchego piasku.

– Stój! – powtórzył Soff.

Ras obejrzał się. Stali w ślepej uliczce przy niskiej bramie długiego budynku, skąd wyrywał się głuchy gwar, niby z ula pełnego zaniepokojonych pszczół.

– To fonduk<sup>36</sup> mego przyjaciela, Ed Ksel – objaśnił zaklinacz. – Wał w bramę z całej siły i wołaj: „Otwórzcie, to Soff przyjechał!”

Góral zaczął bić pięściami i nogami w bramę i krzyczeć na całe gardło.

---

<sup>36</sup> Fonduk – zajazd, karczma, hotel tubylczy.

Wkrótce otworzono furtkę i z fonduku wyszedł opasty Murzyn, o kędzierzawych kudłach i obwisłych, grubych, zupełnie sinych wargach.

Mrużąc oczy, drwiącym głosem zapytał:

– Cóż się tak ciskasz, kiju bambusowy, palu nieociosany? Myślałem, że sam wielki wezyr zawitał do mnie...

– Tak, to ja, najpiękniejszy z Murzynów Sudanu i najpotworniejsza poczwaro w Mahrebie, to ja, czarny strachu na wróble i szpaki, to ja – Soff, twój przyjaciel i dobroczyńca – rzekł piszczącym falsetem Soff.

– Ładny mi przyjaciel, ty potrzaskany flecie! – odparł właściciel zajazdu. – Ulotniłeś mi się i nie zapłaciłeś siedmiu franków za żarcie i za nalewanie swoich długich flaków moją herbatą i kawą.

– Masz dobrą pamięć, mój prześliczny chłopaku – zaśmiał się zaklinacz – i zdolność do dodawania. Nie siedem, ale sześć franków, ale to się uregułuje, uregułuje...

Mówiąc to, Soff zeskoczył z konia i po chwili zaczął się całować z Murzynem, jakgdyby nic pomiędzy nimi nie zaszło.

– Niewolniku! – rzekł Soff do Rasa. – Wprowadź i rozsiodłaj konia, a później przychodź na wieczerzę. Ręczę ci, że będziemy mieli dobrą wyżerkę, bo dziś funduje sam piękny, dobrotliwy i gościnnie Ed Ksel.

– Stul pysk, trąbo! – mruczał Murzyn, śmiejąc się i otwierając bramę.

Ras rozsiodłał konia i postawił go we wskazanym przez gospodarza miejscu. Zabrawszy ze sobą siodło i pięć koszyków, błąkał się po obszernym dziedzińcu, szukając Soffa.

Tymczasem rozglądał się z ciekawością po fonduku. Był to duży kwadratowy budynek, otaczający ze wszystkich stron plac zatłoczony leżącymi wielbłędami i mułami, uwiązanymi do palów i przeciągniętych przez podwórze sznurów; osły okaleczone od rzemieni, ciężkich worów i od nielitościwych razów poganiaczy stały z opuszczonymi głowami i leniwie przeżuwały obrok; błąkały się wszędzie ponure, zgłodniałe psy, biegały kury i z łopotem skrzydeł co chwila spadały z dachu czerechy białych gołębi. Berberowie i Arabowie oglądali stadko pięknych baranów, stłoczonych w osobnym ogrodzeniu ze sznurów, i rozprawiali o cenie wełny, skór i mięsa. W dalszym kącie leżały zwalone wory z jęczmieniem i duże bele wełny, zaszytej w grubą tkaninę o czerwonych i żółtych pasach.

Jakiś Berber siedział z głową pokrytą turbanem z mydła, a golarz gadając bez przerwy skrobał mu czaszkę szeroką i tępą brzytwą, nie zwracając żadnej uwagi na wykrzywioną z bólu twarz klienta i jego głośnie i niecierpliwie wykrzykniki. Kilku małych chłopaków płoło powrozy z konopi i długich pasem suchej trawy alfa; dwie stare kobiety, podkasawszy koszule wyżej kolan, szerokimi nożami ścinały ze świeżo zdartej skóry wołowej resztki mięsa i tłuszczu; chodził powolnym krokiem, wykrzykując i dzwoniąc w przeraźliwy dzwonek i blaszane kubki, handlarz wodą, noszący ją w worze uszytym ze skóry koziej, włosiem nazewnątr. Lecz tu na dziedzińcu fonduka było stosunkowo cicho i tylko czasami zaczynały jękliwie łkać zmordowane, głodne wielbłądy, lub ryczały, niby wołając o pomoc, zawsze ponure muły.

Gwar płynął z małych izb, których drzwi wychodziły wprost na podwórze, i z galerii na piętrze, gdzie Ras spostrzegł szereg wyjść, ukrytych za poruszonymi wiatrem brudnymi płachtami... Tysiące dźwięków czyniły ten niemilknący, pomieszany i pogmatwany gwar i huczenie. Cienkie zawrodoenie modlących się pątników, odbywających religijną pielgrzymkę do świętych dla muzułmanina miejsc, odgłosy trąb, klarnetów i bębenków orkiestry, odprowadzającej „hadżów”<sup>37</sup>; kłótlive głosy graczy w karty, kości i warcaby, niezrozumiałe wykrzykniki, półobłędne i dzikie, przejmujące Rasa lękiem i odrazą; przeciągłe, ponure pienia niewidzialnych kobiet, klaskanie kastaniet, tupot tańczących nóg i skoczne

---

<sup>37</sup> Hadż – muzułmanin odbywający pielgrzymkę do Mekki.

tony fletu i tamburynów; jęki i skamłania meskinów; brzęk naczyń, śmiechy, plusk wylewanej wody i łoskot rzuconych ciężarów...

Góral był oszołomiony i ogłuszony.

Szukając swego towarzysza zaglądał do izb wychodzących na podwórze i wtedy dopiero zrozumiał źródło niezrozumiałych okrzyków i dźwięków. W niektórych izbach w obłokach dymu grano w różne gry hazardowe, tracąc tu nieraz cały zarobek, zdobyty wielkim wysiłkiem i ciężkimi trudami, gdyż dlatego, aby dojść do tego brudnego, cuchnącego i zgiełkliwego fonduka, ludzie musieli w ciągu kilku miesięcy prażyć się na wściekłym skwarze płonącego słońca, przeciąć Tanezruft, tę „pustynię pragnienia i strachu”, walczyć z simunem,<sup>38</sup> ryzykować życiem przy spotkaniu się z rogatą wiperą, czającą się w piasku, lub z napadającymi na karawany bandami niepodległych koczowników berberyjskich i wojowniczych Tuaregów; ginąć z braku wody lub przy zatrutych źródłach w pustyni, walczyć z głodem, obłędem i chorobami – tymi widmami bezgranicznych, martwych przestworów Sahary. W innych ciemnych, ponurych skrytkach czaili się, pędzili nędzny żywot i umierali nałogowcy – palacze kifu, tego stężałego na powietrzu, lepkiego płynu, który wycieka z konopi indyjskich, a zawiera w sobie straszliwą truciznę, nazywaną przez Hindusów haszyszem, a przez Arabów – kifem. Dym i opary tej trucizny szybko zabijają wolę i mózg palaczy, burzą cały organizm, powodują obłęd, paraliż i śmierć, która przychodzi niespodziewanie – do niektórych po kilku dniach, do innych – po długich latach, zmuszając nałogowców do przeżycia niewypowiedzianych katuszy, cierpień, upodlenia, zbrodni i nędzy bezgranicznej.

W najtrudniejszych i najohydniejszych norach gnieździł się meskini. Przerażenie ogarnęło Rasa, gdy ujrzał kalectwo, ohydne rany pełne robactwa, odpadające stopy, ręce i usta; zaognione, gnijące, ropiące się stawy, oczy i uszy; góral stał, przytłoczony do ziemi widokiem cierpień i nędzy ludzkiej i dopiero w kilka minut później zauważył obok męki – sztukę i oszukaństwo, bezczelne i pomysłowe, spostrzegł bowiem, jak ten i ów z meskinów wyprostowywał „sparaliżowane” członki, misternie związane i powyginane opaskami z prawie niewidzialnych włókien roślinnych; niemowły zaczynały mówić, ślepcy zdejmowali z oczu powłokę z rybiego pęcherza i wesoło a chytrze mrugali; nagle znikwały odrażające rany i straszliwe blizny, zmywane wodą...

Ras zrozumiał, dlaczego wobec istnienia fałszu i obłudy, tłum przechodniów zwykle obojętnie mijał żebraków, skamłających o jałmużnę i bezczelnie wystawiających na widok swe kalectwo i choroby, nieraz potworne i zgrozą przejmujące.

Wstręt i pogarda zwalczyły współczucie dla tych biedaków, tych ptaków Allacha, co nie orzą, nie sieją, a plon obfity zbierają, mając swoje chwile rozkoszy, radości i nawet szczęścia. Góral poszedł dalej i wkrótce znalazł Soffa, siedzącego w pokoju gospodarza. Złożył tu siodło, koszyk z węzami i ze szczurami i, obmywszy nogi i ręce, usiadł na poduszce przy małym stoliku, gdyż oczekiwano właśnie na posiłek.

Istotnie Murzyn, nie bacząc na swoje drwiny i wymyślenia, wystąpił ze wspaniałą uczcią. Po wymyciu przez gości i gospodarza rąk w miednicy, podanej przez jednego z usługujących robotników, przyniesiono baraninę z czerwonym kwaskowym sosem, suto zaprawionym figami i migdałami; usmażone w oliwie, niezwykle tłuste gołębie; „meszui”, czyli cały baran, pieczony na różnie i na koniec słodki „kuskus” – coś na kształt włoskiego risotto z ryżu, drobno krajanego mięsa, oliwek, bakalii, jak i ziaren granatowych owoców. Ucztujący jedli wyłącznie trzema palcami prawej ręki, odrywając najsmaczniejsze kawałki i maczając rumiane placki kasaras w sosie i gorącej oliwie. Gdy się najedli, co wyrażali różnymi dźwiękami, przepisany przez wschodnią etykietę, gospodarz klasnął w dłonie. Zjawili się dwóch służących: jeden niósł tacę z imbrykami, cukiernicą, snopkiem zielonej

---

<sup>38</sup> Simun lub samum – gorący wiatr pustyni, znany w Europie pod nazwą sirocco.

mięty i szklankami, drugi był mistrzem ceremonii. Zaparzył herbatę z mięta, obficie osłodziwszy, i z uprzejmym selamem podał każdemu szklanę gorącego, aromatycznego płynu. Soff i Ras chciwie pili ten ulubiony napój marokański, ciągnąc go przez zęby drobnymi łykami, głośno cmokając i wzdychając na znak zadowolenia.

Po posiłku Murzyn zapalił fajkę z kifem i, zwracając się do Soffa, rzekł:

– Widzę, że wzbogaciłeś się, cienka drzazgo palmowa, bo nabyłeś nawet niewolnika?

– Przecież już powiedziałem ci, boski Ed Ksel, który byś był niezawodnie hurysą w raju, gdyby matka nie zrodziła cię mężczyzną, powiedziałem, że rachunek będzie załatwiony – rzekł zezując straszliwie Soff.

– Nie o tym teraz mówię! – odparł Murzyn. – Chcę wiedzieć, gdzie go znalazł i co to za niewolnik, który wcale do niewolnika nie podobny?

– Chcesz zbyt dużo wiedzieć, rozkoszy moich oczu, nadobny Ed Ksel – zawołał, śmiejąc się Soff. – Czy ty posiadasz młyn wodny za murami Marrakeszu?

– Tak, posiadam, ale co to ma do rzeczy? – zdziwił się Ed Ksel.

– Owszem, ma! – zaśmiał się zaklinacz. – Gdy woda porusza koło twego młyna, przecież nie pytasz, czy ta lub inna struga wytrysnęła z fontanny świątyni, czy przebiegała przez brudną „bled”,<sup>39</sup> czy też może dotknęła ciała zamordowanego człowieka lub innego padła? Czy rozumiałeś mnie, Ed Ksel, ozdobo i dumo całego grodu?

– Mówisz przypowieściami jak wędrowny prorok z sekty Haddaua – mruknął gospodarz. – Coprawda jesteś tak podobny do proroka, ty zezujący bazyliuszku, jak mój funduk do Dar el Mahzen<sup>40</sup> sultana...

– Lecz więcej niż ty – do człowieka... – przerwał mu Soff, szczypiąc go w ramię.

– Rozumiem, że w mieście bezpieczniej temu młodzieńcowi, niż gdzieś na wsi... – ciągnął Murzyn.

– Mądry jesteś i domyślny! – zawołał Soff. – Bo to widzisz, przyjacielu, gdy wpuszczę ci do kubła kroplę henny woda stanie się szkarłatna i nie będziesz jej pił, lecz gdy wleję całą beczkę henny do rzeki, woda w niej nie zmieni barwy i piękny Ed Ksel nie zauważy, że pije farbę...

– Cha! Cha! – zaryczał trzęsąc się ze śmiechu Murzyn. – Znowu przypowieść! Czy nie chcesz wykierować się na mułę,<sup>41</sup> czy nawet taleba?

– Owszem! Ale wyłącznie dlatego, aby z twoich krewnych wydusić sporo franków za twój pogrzeb! – odparł klepiąc gospodarza po grubym karku Soff.

Znowu wyczałowali się w oba policzki i Ed Ksel wskazał im małą izbę dla nocnego spoczynku. Ras i zaklinacz szybko się rozlokowali i położyli na miękkich „diwanach”.<sup>42</sup> Soff ledwie wyszeptał: *Bismillah*... już zaczął chrapać jak zagnany muł. Góral leżał z otwartymi oczami, zasłuchany w dochodzące zewsząd dźwięki, szmery, krzyki, świadczące o życiu wrzącym tuż za cienką ścianą izby i lekką tkaniną zastępującą drzwi. Najprzód doszły go cienie, żałosne piski i cykanie skazanych na pożarcie, a związanych i umieszczonych w worku szczurów i myszy, cichy szmer czołgających się w koszu węży, głośne chrapanie i senne mamrotanie Soffa, a później – odgłosy muzyki i tańców, przeraźliwe, dzikie okrzyki kobiet, klaskanie kastaniet, wrzaski włączających się gości i głuchy gwar miasta, dochodzący z daleka, a potężny i groźny.

Ras kręcił się na swym posłaniu, lecz sen nie przychodził. Góral słyszał wszystko, co się dokoła działo, lecz myślą odbiegał co chwila w góry, tam, gdzie wśród dwóch wysokich grzbietów z łoskotem i pluskiem biegł potok, pokryty wirami i pianą, z dużą, starą kasbą stojącą na jego wysokim, urwistym brzegu.

<sup>39</sup> Bled – wieś.

<sup>40</sup> Darel Mahzen – nazwa pałacu sultana.

<sup>41</sup> Mułła – kapłan.

<sup>42</sup> Diwan – gruby materac.

Była to siedziba jego przodków i w niej on – Ras ben Hoggar urodził się i tu założył własne gniazdo, opromienione przez piękną, dumną Czar Azizę. Co robi w tej chwili umiłowana żona, czy myśli o nim, tęskni w trwodze i trosce o męża? Niech tylko nie płacze, aby nie zgasły jej oczy płomienne jak gwiazdy! Nie potrafił on, Ras ben Hoggar, otoczyć żony opieką i bogactwem... Z pewnością Aziza czuje do niego urazę, może nawet pogardę? O, zaczekaj trochę, ukochana! Przemienie ciężki czas, zdobędę bogactwo, znajdę bezpieczne miejsce, znowu szczęście wstąpi pod naszą strzechę i zapłonie ognisko, uświęcone przez ciebie, miłości, pragnienie duszy Rasa! Cierpliwości! Cierpliwości!

Wił się jak wąż biedny, zrozpaczony góral na posłaniu, a sen odbiegał powiek, zmuszając leżącego człowieka szeroko otwierać oczy i uporczywie wpatrywać się w nocny mrok, jak gdyby tam miały się ukazać drogi przeznaczenia. Lecz Ras nic nie dojrzał w ciemności, tylko przeróżne odgłosy wdzierały się do izby i tłukły się jak natrętne, zbłąkane bąki pod pułapem i po kątach izby...

Góral wstał i wyszedł na podwórze, świeży powiew od gór orzeźwił go i przywiódł do równowagi. Wtłoczywszy głębiej ból i tęsknotę serca, Ras zaczął zaglądać do izb. Ujrzał nocne życie funduka.

Na dziedzińcu nie było nikogo. Wszystkie zwierzęta: wielbłądy, muły, konie i osły, nawet barany, pokładły się i spały. Zrzadka tylko rozlegały się ich ciężkie westchnienia, to oznaka znużenia lub cierpienia, głębokiego a niemego.

Zato w kilkunastu izbach goście hotelowi nie spali.

Grano w karty, kości, maurytańskie warcaby, a hazard wzrastał z każdą późniejszą godziną nocną. Jeden z właścicieli wielbłądów karawanowych przegrywał, klnąc i ciskając się na swych przeciwników. Przegrał prawie wszystkie zwierzęta i gdyby stracił tej nocy resztę, musiałby zostać poganiaczem wielbłądów u innego właściciela albo nawet przystać na abda, czyli niewolnika u jakiegoś bogacza. Wiedział to gracz, lecz wierząc w przeznaczenie, grał dalej. Oczy mu tylko pałały i kurcz ścisnął gardło zimnymi kleszczami. Nie porzucał gry, klnąc, modląc się do Allacha, mrużąc zaklęcia, dotykając talizmanów, wiszących na piersi, robił jakieś tajemnicze znaki nad kartami – i przegrywał.

– Głupi jesteś, głupi i szalony – zauważył pochylając się ku niemu jeden z graczy. – Rzuć grę, bo stracisz wszystko, dziś nie masz szczęścia...

– Milcz! – odparł przegrywający Berber. – Mam jeszcze co postawić na kartę po wielbłądach...

– A co? – zapytał z ciekawością Arab, który najwięcej wygrał.

– Ulubioną niewolnicę, piękną i namiętą, śpiewa i tańczy ta dziewczyna jak hurysa i warta jest pięćdziesięciu wielbłądów z uprzężą – mruknął nieszczęśliwy gracz.

– Drogo... – odpowiedział mu Arab. – Zbyt drogo!

– Nie! – krzyknął Berber. – Ajsusz jest taką kobietą, że będziesz padał przed nią na kolana i ślady jej stóp całował. O, Ajsusz! Niewolnica, a potężniejsza i mądrzejsza od królowej! W oczy jej będziesz patrzył i czekał, czekał na jej skinienie jak na łaskę Allacha!...

– Tak jak Czar Aziza... – pomyślał Ras i tęsknota za żoną znowu przeszła mu serce i mózg.

– Gdy ją przegram, postawię... żonę! – wrzasnął nagle Berber, z rozpaczą waląc pięścią w posłanie, na którym leżały karty i kości. – Rozumiesz, ty, Heddad ben Heddad,<sup>43</sup> stawiam żonę, a kto w Sale nie zna Rusmy, żony Ibrahima el Andaloci. Jest wzorem cnót, piękności, rozumu i płodności. Posiada siłę kahina i złe duchy – dzinny cofają się na jej widok, gdyż pełna jest dobroci i czystości serca.

---

<sup>43</sup> Obrażający honor Berbera i Araba przydomek; ciężka obelga – „kował, syn kowala”.

Coś porwało Rasa. Ściskając pięści i zgrzytając zębami stanął przed niefortunnym graczem i jał wyrzucać słowo po słowie, zaglądając mu w oczy.

– Jesteś wieprz nieczysty... Jesteś synem, wnukiem i prawnukiem kowala... Jesteś ohydny jak rozwścieczony bazyliszek... Jesteś tchórzliwym szakalem... Jesteś... jesteś... skoro żonę zamierzasz stawiać na kartę, jak owce lub wielbłąda. Plućcie w oczy temu człowiekowi, mumeni, i pozostawcie go, gdyż przy nim widzę mściwych džinnów obłądu...

Wszyscy porwali się w przerażeniu ze swych miejsc i jeden po drugim wymykali się z izby. Pozostał tylko Berber. Z trudem podniósł się z posłania i podszedł do Rasa.

– Ktoś ty? – szepnął.

– Jestem Abd, zaklinacz węzów! – odpowiedział Ras.

– Jesteś jasnowidzącym, może marabutem,<sup>44</sup> posiadającym siłę „tasaru”<sup>45</sup> – wyszeptał Berber. Ujrzałeś to, co czuję od kilku lat. Dżinny co rok rzucają na mnie obłąd gry. Czuję to, a walczyć nie mogę. Ratuj!

Berber upadł Rasowi do nóg i ucałował połą jego burnusa.

Ras zamyślił się, lecz po chwili rzekł:

– W imię Allacha – groźnego sędziego, przerwij teraz grę, a pomnij o żonie swojej, która, jakęś rzekł, jest czarą pełną cnót. Oddać ją możesz dopiero, gdy serce ci bić przestanie w piersi, gdy dusza opuści ciało! Idź w spokoju, w imię Allacha!

– Lecz ja przegrałem wszystko! – zawołał Berber, łamiąc ręce z rozpacz. – Muszę się odegrać lub poderżnę sobie gardło...

– Idź! – rozkazał Ras. – Resztę ja załatwię!

– Czyje imię mam wspominać podczas modłów o wschodzie i zachodzie słońca? – nieśmiałym głosem pytał Berber.

Ras znowu się zamyślił. Chciał powiedzieć swoje prawdziwe imię, gdyż wiedział, że modlitwa za niego miałaby w takich warunkach posłuch u Allacha, lecz obawiał się zdradzić, więc odpowiedział:

– Dziękuję ci, Ibrahimie el Andaloci, za dobre chęci, lecz mów tak: „Allah Muntakim,<sup>46</sup> spraw, aby zapłonęło ognisko twego Abda!”

– Uczynię jak rozkażesz, sidi! – zawołał nisko się kłaniając Berber i wyszedł.

Za nim podążył Ras. Na dziedzińcu tłoczyli się wylękli gracze. Nikt z nich nie podszedł i nie przemówił do przechodzącego Berbera. Patrzyli za nim i milczeli, objęci lękiem przed złymi džinnami.

– Mumeni! – zwrócił się do nich Ras. – Z rozkazu Allacha, który poniża i wywyższa, odwołałem džinnów od tego człowieka. Odleciały i teraz zgromadziły się przy majątności jego, czyhając na nowe ofiary. Strzeżcie się, mumeni, dotknąć rzeczy, należącej do Ibrahima el Andaloci!

– Już ja tam wygranych wielbłądów Ibrahima wyrzekam się! – zawołał Arab, szepcząc zakłęcie.

– Życie i zdrowie droższe od bogactwa! – dodał drugi. – Nie chcę brać swej części. Niech pozostanie przy Ibrahimie!

– Sprawiedliwe jest postanowienie wasze, mumeni! – rzekł Ras. – Niech Allah ma was w swej opiece!

– Allah niech będzie z tobą! – odpowiedzieli chórem uspokojeni gracze. Ras szedł tymczasem dalej. Krętymi schodami wszedł na piętro, gdzie na krytą galerię wychodziły, zawieszane kawałkami barwnych tkanin, drzwi.

Odchylił zasłonę i wszedł do obszernej hali, skąd wyrywały się okrzyki kobiet, odgłosy muzyki i kastaniet i tupot tańczących nóg. W izbie było prawie zupełnie ciemno, gdyż na-

---

<sup>44</sup> Marabut – żyjący święty.

<sup>45</sup> Władza nad siłami natury.

<sup>46</sup> Allah Mściiciel.

pełniały ją obłoki dymu tytoniowego. Czerwonymi płomykami paliły się w kilku miejscach małe lampki, napełnione łojem baranym lub oliwą.

Ras z trudem rozglądał się dokoła. Kilku drobnych przekupniów, poganiaczy wielbłądów i przewodników karawan siedziało na słomianych matach, piło herbatę i kawę, paliło i przyglądało się tańczącym kobietom.

Były to tancerki z różnych szczepów, stare i młode, brzydkie i straszne jak wiedźmy, lecz były też zgrabne, piękne i ponętne. Na zmianę, pod dźwięki tamburinów, bębenków i fletów, wykonywały tańce, które spotkać można na całej przestrzeni północno-afrykańskiej – od Czerwonego morza i do Atlantyku. Były to tańce pozostałe z dawnych, pogańskich kultów, tańce heroiczne, historyczne, lubieżne lub pełne smętnego i ponurego rytmu, raczej do misterium nocnego podobne.

Niektóre z kobiet tańczyły w pstrych łachmanach, pobrzękując mosiężnymi świecidełkami na piersiach, rękach i nogach. Z tych łachmanów wyglądały im chude, czarne biodra i ramiona, wynędziały piersi, płonęły na zniszczonych twarzach obłędne, odurzone kifem i tanecznym wirem czarne oczy. Przy szybszych zwrotach i skokach tancerki wydawały nieraz bolesne jęki i ciężkie westchnienia, gdyż były zmęczone, zbolale i schorowane, były jednak niewolnicami w ręku przedsiębiorcy i musiały spełniać jego rozkazy do ostatniego tchu, do chwili skonania na brudnej macie lub na śmietniku, ponieważ nie było na całym świecie istoty, która zechciałaby obronić je, zaopiekować się nimi i dojrzeć w nich człowieka.

Inne, młodsze, ładniejsze tańczyły nago.

W półmroku i w niepewnych błyskach poruszających się ciągle języków kopających lampek wirowały one przed oczami jak widma, jak korowody piekielnych zjaw, majaczyły przez chwilę kształtami bioder i nagich ramion, czasami goręcej błyskały omdlewającymi oczami, zuchwale i lubieżnie nęciły młodymi piersiami, lecz nagle znikwały w kłębach dymu, w gęstych cieniach, czających się wszędzie. Wtedy w ciemności coś się miotać zaczynało i kłębić, jak gdyby walkę ze sobą toczyły jakieś nieznanne a straszne potwory nocne. Zbliżając się do miejsc oświetlonych, te kłębiące się widma przybierały ludzkie kształty, formy kobiet starych, schorowanych, ohydnych w ruchach rozpustnych i wyuzdanych, lub stawały się młodymi, wiotkimi, niewieściami ciałami, ponętными w węzowych przegięciach, w szalonych splotach ramion, w półprzytomnych, prawie nieludzkich skokach.

Od czasu do czasu ktoś z widzów wykrzykiwał imię tancerki i ta pokorna i szczęśliwa podchodziła i siadała obok, dysząc ciężko i oczekując rozkazu. Karmiono kobiety łakociami i owocami, pojono kawą i herbatą, częstowano papierosami i kifem, poczym gość i jego niewolnica, jego własność na jedną noc, znikali za brudną kotarą barłogu, gdzie pędziły życie tancerki-niewolnice, niewinne roznosicielki najstraszniejszych chorób i szaleństw, dziesiątkujących ludność krajów muzułmańskich.

Zmęczony, odurzony i pełen niejasnego jeszcze rozgoryczenia, wstrętu i niemal nienawiści, Ras powrócił do siebie i rzucił się na posłanie obok chrapiącego Soffa. Wkrótce zapadł w ciężki sen, lecz miotał się, krzyczał, groził komuś niewidzialnemu i nieznanemu, który tyle nędzy i rozpaczę rzucił na ziemię. Ras obudził się o wschodzie słońca z ciężką głową i niewysłowionym smutkiem w sercu.

Nic nie mówiąc do Soffa, zaczął się gorąco, namiętnie modlić, lecz wkrótce myśl jego przebiegła do Azizy, przypomniał sobie bowiem tańczące kobiety ubiegłej nocy, ich omdlewające ruchy i znękane oczy, ułyszał ich krzyki, jęki i beznadziejne westchnienia i skwapliwie, aby o niczym nie myśleć, zabrał się do roboty. Nakarmił węże, wyszorował koszyki, związał i wpakował do worka świeżo nabyte przez Soffa od chłopaków myszy i dopiero wtedy posilił się i spytał towarzysza:

– Czy teraz pójdziemy do miasta?

– Natychmiast! – odparł Soff wesołym głosem. – Bądź gotów za chwilę.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### W morzu ludzkim

W pół godziny później Soff przedzierał się przez gęsty, rozbawiony tłum, zalegający plac Dzema el Fna, stanowiący serce, mózg i żołądek Marrakeszu. Za nim, obładowany koszykami z nakarmionymi do nieprzytomności węzami, postępował Ras, z ciekawością rozglądający się dokoła. Dla bezpieczeństwa, aby górala nie poznano, zaklinacz jemu tylko znanym sposobem zrobił na twarzy towarzysza kilka straszliwych blizn, sinych i szkarłatnych, niby dopiero wczoraj zadanych uderzeniem noża.

Ludzie wezbranym potokiem rozlewali się z jednego końca olbrzymiego placu na drugi. Francuscy żołnierze i cywile, Arabowie z Algeru, Berberowie różnych szczepów, Żydzi w czarnych „barreta”<sup>47</sup> na głowach, nomadzi z Sahary i ze stepów wysokich płaskowyżów, meskini, sztukmistrze, fałszywi prorocy, „mokkademy”<sup>48</sup> różnych sekt i bractw religijnych, drobni przekupnie, wróżbiarze, ścigani przez władze francuskie hakimi, czyli znachorzy i czarownicy, ludowi pieśniarze, tancerze i tancerki zebrani z całego Mahrebu, przyjezdni hadż, dążący do świętej Mekki, ludzie nieznanego pochodzenia i tajemniczych zawodów, wszystkich tych osobników spotkać można było na placu Dzema el Fna, zalany potokami palącego słońca.

Ras oczy szeroko otwierał przyglądając się tłumowi, tracąc głowę w ciżbie i zgiełku ludzkim, w wichurze krzyków, nawoływań i śmiechu. Za to Soff czuł się jak ryba w wodzie. Co chwila wykrzykiwał czyjeś imię i już się witał, ściskając się, opowiadał, wypytywał i dowcipkował, wywracając swoje zezowate oczy. Już przy końcu placu spotkał poważnego Berbera o kruczej brodzie, spadającej na biały burnus. Ujrzawszy go Soff nisko skłonił się przed nim, dotykając czołem jego kolan i powtarzając raz po raz:

– *Salem alejkum*, czcigodny, miły Allachowi, sidi Szorf ben Ihudi!

Berber położył rękę na pochylonej przed nim głowie zaklinacza i rzekł:

– Bądź pozdrowiony, przyjacielu, pozdrowiony imieniem Allacha. Niech Przedwieczny dopomoże ci w twych cnotliwych zamiarach!

– O, sidi! – zawołał zaklinacz. – Zamiary moje są zawsze cnotliwe! Zarobić trochę grosza, za co codziennie powtarzam głośno dziewięćdziesiąt dziewięć imion Allacha i chwałę proroka naszego Mahometa. Czy jest co nowego, że widzę ciebie, sidi, w Marrakeszu?

– Przybyłem z daleka, bo mam tu pewne zamiary! – odpowiedział Szorf, tajemniczo się uśmiechając.

– Czy znowu? – zapytał zaklinacz, z ciekawością wyciągając szyję.

– Tak! – kiwnął głową Ihudi i odprowadziwszy Soffa na stronę długo szeptał mu coś do ucha.

Nareszcie stary wyga pożegnał swego znajomego i rzekł do Rasa:

– To święty człowiek, marabut z Bu-Saada, trudni się poszukiwaniem ukrytych skarbów. Znam go od dawna, święty to, lecz bardzo pomysłowy i uczony człowiek. Ale dobra

<sup>47</sup> Barreta – czapeczka noszona na wierzchu głowy.

<sup>48</sup> Mokkadem – przełożony.

nasza! Sidi Szorf ben Ihudi powiedział mi, że w Marrakeszu pozostało zaledwie dwóch zaklinaczy, ale i tym węże zdychają jak muchy. Wkrótce pozostaniemy tylko my! Zarobimy sobie! Będę ci płacił piątą część zysków, karmił i dawał mieszkanie. Zgoda?

– Zgoda! – powiedział Ras. – A kiedyż zaczniemy nasze sztuki?

– Po południu, przyjacielu, gdy skwar będzie mniej dolegał, a ludziska dłużej się gapią – objaśnił zaklinacz. – Teraz pójdziemy, pokażę ci miasto.

Zagłębili się w labirynt wąskich, pogmatwanych uliczek dzielnicy Medina, natłoczonych i zgietkliwych. Były to handlowe uliczki, tak zwane „suk”, a wychodzące na małe placiki, „kisaria”, otoczone straganami i sklepikami. Stosy wymalowanej w jaskrawe kolory wełny, żółtych pantofli, „babusz”, poduszek z haftowanej złotem i srebrem skóry, owoców, jarzyn, wszelkiego rodzaju i wszystkich barw tkanin, surowych skór, naczyń – wznosiły się wszędzie. Połyskiwały krzywe „kumia” – noże góralskie w pięknych, mosiężnych, cyzelowanych pochwach; lśniły się ciężkie, wspaniałe bransoletki, kolczyki, kolje i inne klejnoty berberyjskie z miedzi i srebra; biły w oczy pęki różnobarwnych wstążek, koralu i haftów; czerwone i żółte świece ofiarne paliły się w głębi niektórych sklepików i sączyły nikłą woń santalu;<sup>49</sup> niby kupy złotych ziaren wznosiły się całe góry daktyli; tłumy cisnęły się do sklepików z lekami i magicznymi ziółkami i proszkami; były tu henna, tagandin, kerbiuna, harmel, rośliny używane na przyrządzanie talizmanów i amuletów, suszone oczy kogutów, żółc kotów, mózg małp, używane w praktykach magicznych; obok, w słoikach, szklanych i brązowych flaszki stały ulubione wschodnie wonności, a więc indyjski nard, olejek różany i geraniowy, piżmo, mirra, kamfora, ambra i szafran, których zapach nie tylko sprawia rozkosz powonieniu, lecz odpędza dzinnów niektórych chorób.

Ludzie tłoczyli się dokoła, z lękiem i podziwem patrząc na tyle tajemniczych rzeczy i słuchając gadającego bez przerwy kupca. Ten zaś niczego nie zachwalał, niczego nie proponował, tylko gadał, ale gadał bardzo chytrze.

– To jest harmel – mówił – mała rzecz, a jaka silna! Dość kupić go za pół franka, a już odgania dzinnów bezsennych nocy, gniotące piersi zmory i tęsknoty. A to znów olejek różany, czyniący dziewczynę piękną i pociągającą do siebie mężczyznę, niby kwiat morelowy zwabiający pszczoły. Nikomu nie potrzebny płyn, sok aloesu, a tymczasem mądry Ibn el Hadż wykrył, że okadzone parą tego soku złe duchy zaczynają służyć człowiekowi jak niewolnicy...

Franki sypały się do torby handlarza, a flaszeczki i pudełeczka z wonnościami przechodziły do rąk ogłupiałych gapiów, biedaków zabobonnych i ciemnych jak noc jesienna.

Ludzie kupowali i sprzedawali, oszukiwali i dawali się ogłupiać i oszukiwać, gapili się, zachwycali, podziwiali i nęceni jaskrawością barw i połyskiem towarów, odpinali torby wiszące na pasach i wyciągali ciężką pracą zdobyte monety, płacąc je kupcom berberyjskim, arabskim i żydowskim lub kuglarzom i oszukańcom, bałamucającym tłum tajemniczością i magiczną siłą nie znanych i nikomu niepotrzebnych ziółek, proszków i olejków. Pachniały wonności, mieszając swój aromat z zapachem zielonej mięty i palonej kawy, z cuchnącymi wyziewami niewyprawionej skóry, zgorzkniałego łoju, przypalanej cebuli i oliwy.

Zaklinacz oprowadził po tej dzielnicy Medina swego towarzysza, pokazywał mu sklepy, składy handlowe, piękne meczety i medersa, cudotwórcze studnie i fontanny, natłoczone ludźmi jadłodajnie i kawiarnie, tajne palarnie kifu, barłogi, gdzie się gnieździli meskini, włóczęgi, wysłańcy różnych prześladowanych sekt, mężczyźni i kobiety, należący do pogardzonych, lecz jednocześnie otoczonych mistycznym lękiem, szczepów Mlaina, Zkara i Ghenanema, jacyś przechodnie, nikomu nie znani, milczący i czujni, o zagadkowych, podejrzliwych wejrzaniach.

---

<sup>49</sup> Santal – wonna substancja zawarta w drzewie sandałowym (przyp. red.).

Zwiedziwszy wszystko i zajrzawszy wszędzie, Soff krzywymi uliczkami wyprowadził Rasa do nowej dzielnicy – Gheliz, gdzie za wysokimi murami, wśród lasu palmowego, tońły w zieleni domy bogatych kupców i arystokratów, przybywających tu na lato z Fezu, Rabatu i Sale; dokoła tych posiadłości, wśród palm o zwisających szkarłatnych lub złotych okiściach daktyli, były rozrzucone wille Francuzów i malowniczy „hotel Baszy”; tu asfaltowymi jezdniami biegły, połyskując szklami i miedzią, żwawe, niby stale zakłopotane i spieszące się samochody, rycząc, hucząc i gwizdząc gniewnie lub łagodnie i ostrzegawczo.

Przyjaciele przeszli cały Gheliz i przy wejściu do starej dzielnicy zatrzymali się przed wspaniałym minaretem.

Była to kwadratowa wieża, ozdobiona piękną, błyszczącą i barwną mozaiką. Na szczycie świeciły się i połyskiwały trzy duże, złociste kule, dokoła nich latały do białych obłoczków podobne gołębie i czarne, niby kamienie ciskane niewidzialną ręką, szpaki.

– Stoimy przed meczetem i minaretem Kutubia! – zawołał z zachwytem w głosie Soff. – Potężny sułtan Jakub el Mansur, który panował nad całym Mahrebem siedząc na tronie swoim w Hiszpanii, kazał wznieść ten minaret swemu ulubionemu budowniczemu, gdy ten skończył piękną wieżę Dżiralda w Sewilli. Dostojna małżonka sułtana ofiarowała swoje klejnoty, aby włożono je do szczerozłotych kul na wierzchołku minaretu z zaklęciem, które znała ta kobieta, pochodząca z dalekiej krainy Mzab. Od tej pory dzinny mają tam, na szczycie baszty, swoją siedzibę i bronią skarbów, ochraniając całą świątynię od wężów i złego oka. Nawet naja nie może zaszkodzić człowiekowi, który znajduje się w meczecie Kutubia...

Długo jeszcze opowiadał Soff swemu towarzyszowi o Kutubia, owianej starymi legendami i tajemniczymi gadkami ludowymi.

Po zwiedzeniu wspaniałej świątyni przyjaciele wpadli do funduka, posilili się i znowu wyszli na miasto.

– Zaczynamy interes! – mruzczał Soff, mrużąc swoje zezowate oczy. Oby Allach dopomógł nam! Nie zapomnij nałożyć na piersi talizmanu, który ci zalecałem.

W pobliżu Dżema el Fna towarzysze się rozstali. Ras, obładowany kosztami z węzami, poszedł dalej sam, od czasu do czasu uderzając w duży tamburyn. Przechodnie oglądali się za nim z szacunkiem na twarzach i z pewną obawą. Nauczony przez zaklinacza Ras wybrał na środku placu dobre miejsce, złożył tu swoje koszyki, usiadł na ziemi i uderzając w tamburyn wykrzykiwał donośnym głosem, który jeszcze tak niedawno podchwytywany przez ochocze, skwapliwe echo swobodnie rozbrzmiewał w rodzinnych górach.

– Oto ja, niewolnik mego umiłowanego pana, potężnego i wspaniałomyślnego Soffa-Zaklinacza, Soffa-Hakima, Soffa-Kahina, oznajmiam na cztery strony świata, wszystkim razem i każdemu z osobna, że mój pan, Soff, przybywa tu za chwilę i dowiedzie swej siły nad dzikimi, wściekłymi węzami, jakich jeszcze nigdy nie widziało to miasto!

Dokoła górala zaczął się gromadzić tłum, łakomy widowiska i zaciekawiony szumnymi obietnicami niewolnika oraz wspaniałymi tytułami, którymi Ras szczerze obdarzał zaklinacza.

Po chwili około stu tubylców już otaczało Rasa. Widząc to góral odrzucił tamburyn, wyjął z koszyka kilka dużych, lecz nieszkodliwych węzów i zaczął obwijać sobie nimi głowę, szyję i ręce, ciskając je pogardliwie na ziemię. Wreszcie z innego koszyka Ras wydobyl wiperę i rzucił ją na rozpaloną od słońca ziemię. Wypchany szczurami do samego gardła płaz wyciągnął się i leżał nieruchomy, położywszy na piasku swoją płaską, złośliwą głowę z nie mrugającymi, zawsze wściekłymi oczami.

Ras wziął wiperę w ręce i za pomocą cienkiego pręcika zmusił żmiję do otworzenia paszczy i ukazania jadowitych kłów, z sączącą się z nich trującą cieczą. W międzyczasie góral wciąż gadał, barwnie opisując złośliwość niebezpiecznego węża i magiczną siłę swego pana.

– Bądźcie pozdrowieni, mumeni, w imię Allacha Miłościwego! – rozległ się nagle głos Soffa i zaklinacz wjechał na swej szkapie w krąg widzów, robiąc wspaniały, majestatyczny ruch ręką na znak powitania wzburzonego i podnieconego przez Rasa tłumu.

Góral w imieniu widzów pozdrowił zaklinacza, ucałował poję jego burnusa i zaniósł prośbę ludu, aby wspaniałomyślny sidi Soff raczył wyjawić swoją siłę nad węzami, w których kryją się straszliwe dziny śmierci.

Soff uśmiechnął się łaskawie i jeszcze bardziej majestatycznie skinął ręką na niewolnika, aby dopomógł mu przy zsiadaniu z konia.

Zaklinacz natychmiast rozpoczął długą tyradę o niebezpieczeństwie, grożącym od kłów węzów, o dziesiątkach wypadków śmierci od ich jadu, przytaczając imiona ugryzionych i zmarłych, którzy istnieli i których nigdy na świecie nie było, i dopiero gdy zakończył, rozpoczął przedstawienie.

Igrał z obojętnymi wiperami, kładł je sobie na ramiona i kolana, zaglądał im w oczy, dmuchał w nozdrza i gadał bez przerwy, szybko i zapalając się coraz bardziej; odegrał scenę zadraśnięcia, po mistrzowsku „cudownie uleczył się” i ze słowami modlitwy na ustach zaczął rozdawać kawałki papieru z pieczątką, mającą zastąpić amulet od jadowitych gadów. Ras tymczasem chodził z tamburynem wśród widzów i zbierał datki. Sypano monetę chętnie i obficie, bo Soff był istotnie wprawnym zaklinaczem i doskonałym artystą, działającym na wyobraźnię i zmysły tłumu. O tym się przekonał Ras, w chwili gdy Soff udawał cierpienie od zatrucia jadem wiperu. Stary wyga tak prawdziwie wiał się w boleściach, dostał takich drgawek i wymiotów, że góral nawet trochę się przeląkł, myśląc, że Soff istotnie umiera. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy zajrzawszy w pochyloną do ziemi twarz zaklinacza, spostrzegł wesołe błyski w zezowatych oczach i lekki drwiący uśmiech, który błąkał się mu na ustach.

Trzy razy powtarzał swoją sztukę Soff przy tłumie coraz to innych widzów, zbierając obfitą daninę. Jakiś bogaty przyjezdny Arab przyglądający się widowisku rzucił do tamburyna Rasa aż dwadzieścia franków, a później szyderczym głosem zauważył:

– No! wątpię, żeby ten skrawek papieru pomógł mi od ugryzienia bham!

Usłyszał te słowa Soff, rozdający właśnie w tej chwili papierki z pieczątką, i natychmiast odparował cios.

– O, moźny i hojny sidi! – zawołał. – Cóż oprócz mego litościwego serca skłania mnie do ofiarowania ci tego amuletu? Zapłaciłbyś przecież tyle samo za oglądanie węzy i mojej siły nadprzyrodzonej, danej mi przez Allacha Obrońcę? Jeżeli wątpisz, pozwól się ugryźć tej wiperze, a amulet mój obroni cię. Spróbuj!

Mówiąc to, podsunął pod nos Arabowi płaską paszczę nieruchomej żmii.

– Ładna propozycja! – śmiał się Arab, gwałtownie się cofając.

– Jeżeli umrzesz, zapłacę twoim spadkobiercom tyle, ile zażądata! – wykrzyknął dumnym głosem Soff, popierając słowa wspaniałym ruchem ręki.

Rozbawiony tłum śmiał się z zakłopotania Araba i z zuchwałości zaklinacza.

Dopiero po wieczornej modlitwie, gdy muezzini zakończyli swe pienia ze szczytów minaretów i wszystko utonęło już w fioletowych miękkich cieniach, a gdy tylko świeciły się jeszcze w ostatnich blaskach zachodzącego słońca najwyższe szczyty Atlasu, zaklinacze powrócili do swojej izby w fonduku Ed Ksela.

Tego wieczoru Murzyn nie wiedział, jak ugościć i czym dogodzić zaklinaczom, gdyż Soff z dumną miną rzucił mu garść monet i rzekł z niezwykłą powagą:

– Służ nam uczciwie i wiernie, przyjacielu Ed Ksel, i pamiętaj o każdej porze dnia i nocy, do kogo mówisz i z kim masz do czynienia!

Od tej chwili bezczelny, wygadany Murzyn w obecności Soffa pary nie wypuścił ze swej paskudnej gęby i tytułował obydwóch zaklinaczy „wspaniałomyślnymi sidi”.

Soff trącał Rasa pięścią w bok i mrucał z cicha:

– To nie przeszkodzi tej czarnej poczwarze, potomkowi szakala i żaby, zwymyślać nas od ostatnich słów, gdy niepostrzeżenie wyjedziemy z tej ohydnej dziury, nie opłaciwszy ostatniego tygodnia pobytu. Taki już głupi zwyczaj ma ten czarny wyzyskiwacz uczciwych ludzi! Lecz nastąpi to jeszcze nieprędko, więc jedz, pij, śpij i używaj tu, ile się zmieści, mój przyjacielu, i gwizdź sobie na przeszłość i na przyszłość albo dla odmiany – na przyszłość i na przeszłość! Tyle naszego, co dzień dzisiejszy! Reszta – furda, rzecz, która już nie istnieje, lub która nigdy może istnieć nie będzie...

Ras słuchał filozoficznych wynurzeń przyjaciela i smutek ścisnął mu serce.

– Co byś uczynił, Soff – zapytał nagle – gdyby Arab na Dżema el Fna przystał na próbę i dałby się ugryźć wężowi?

– Tylko bym tego pragnął, żeby się znalazł taki śmiałek! – zawołał rozbawiony zaklinacz. – Podsunąłbym mu szarobrunatną, podobną do wipery „ghazę”. Ugryzłaby go natychmiast, gdyż nie karmimy jej już od pięciu dni. Nic by złego mu nie uczyniła, bo nie jest jadowita. Cha! Cha!

Stary wyga, zezując w odstraszący sposób, wybuchnął śmiechem i dusząc się od kaszlu wołał:

– Ale to tchórze, tchórze! Udają mądrych i podejrzliwych, powątpiewają i wydrwiwiają, lecz naprawdę, to się nas, zaklinaczy, obawiają i szanują. Na próbę żaden nie przystanie, nie bój się! Mogłem mu obiecać nie tylko wypłatę dowolnej sumy jego spadkobiercom, lecz nawet cały skarbiec sułtana i podziemia, gdzie król hiszpański ukrywa ciężkie wory ze srebrnymi duro!<sup>50</sup> Cha! Cha!

Ras nie mógł powstrzymać śmiechu, widząc przebiegłość towarzysza i jego głęboką znajomość duszy ludzkiej i nastroju widzów i gapiów ulicznych.

Ten pierwszy dzień nowego i samodzielnego życia dokonał wielkich zmian w przeżyciach i myślach górala. Mimo tęsknoty, troski i niepokoju o żonę, Ras zaczynał wyczuwać jakąś drogę, którą należy iść, aby dojść do celu.

Zobaczył bowiem góral, że tłum jest wielkim dzieckiem, które z łatwością może być oszukane, lecz jednocześnie jest on możnym panem, który może obsypać złotem i zaszczytami.

Trzeba się tylko umieć zabrać do niego! – myślał Ras, przypominając sobie głupie miny widzów i skwapliwie otwierane przez nich sakwy, wiszące na pasach. Do tego, aby te miny były głupie, przyczynił się znacznie on sam, Ras ben Hoggar, a z otwieranych sakiew niemało monet przeszło i do jego żółtego czakras, haftowanego jedwabiem i złotymi sznurkami. Przy każdym kroku Rasa monety wtórowały mu cichym brzękiem w worku, i góral myślał, że może stać się bogaczem, a wtedy... O, wtedy wszystko będzie dobrze! Pieniądz – to siła! Przecież dlaczego wielki kaid Glai jest wielkim kaidem i władcą szczepów góralskich? Dlatego, że jest bogaty. Za pieniądze Glai utrzymuje wojsko i jest potężny i niezwalczony. Niechby dziś stary kaid obudził się nędzarzem, to jutro od razu wszystko prysnęłoby i znikło jak sen: potęga, honory i władza. Dlaczego on – Ras ben Hoggar, tułacz, banita, włóczęga i zaklinacz węzów nie może się stać równym Glai i innym możnym panom w Mahrebie? Pieniądz zmywa zbrodnię, pieniądz pozwala na zbrodnię i czyni ją piękną groźną i bezkarną.

Będę bogaty, wyrwę Azizę z gór, osiedlę się w innym miejscu. Będę szczęśliwy, spokojny i potężny – myślał Ras, zasypiając po sutej kolacji.

Będziesz! Będziesz! – dzwoniły monety, odzywające się z worka, leżącego pod poduszką górala.

Z tymi myślami góral usnął, pierwszy raz uspokojony, wolny od gorzkich i ciężkich myśli.

---

<sup>50</sup> Duro – hiszpańska moneta watości 5 peset.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### W kasbie

W tym czasie gdy Ras stał się zaklinaczem węzów, w starej kasbie ukrytej w górach Atlasu nic się na pozór nie zmieniło. Jak zwykle po modlitwie porannej mężczyźni wychodzili w pole i do lasu na robotę, lub na pobliską szosę, którą mieli naprawić z rozkazu wielkiego kaida. W kasbie i na okolicznych pastwiskach pozostawały tylko kobiety i dzieci. Przy studni, w cieniu rozłożystego drzewa pistacjowego, usadawiali się sędziwi, sterani długim życiem starcy i cichymi głosami rozprawiali o dawno minionych, a zawsze lepszych czasach.

Śród mężczyzn pracujących na polu była tylko jedna kobieta, a uprawiała na równi z nimi kamienistą rolę, krzątała się wśród grząd w ogrodzie warzywnym, zbierała suche gałęzie na opał, pasła bydło i kopała rowy dla wody biegnącej z gór. Była to Czar Aziza, żona banity, Rasa ben Hoggar, ściganego z rozkazu wielkiego kaida.

Sąsiedzi podziwiali wytrwałość, siłę i pracowitość pięknej, młodej kobiety. Ten i ów z górali zaczynał przy niej napomykać, że żona wygnańca lub uciekiniera jest niby wdową i że już czas pomyśleć o innym mężu, gdyż otrzymanie rozwodu nie jest rzeczą trudną w takich warunkach. Milczała Aziza, lecz zapytana o to wprost, spokojnym i stanowczym głosem odparła:

– W doli i niedoli jam żona Rasa ben Hoggar!

– To musicie szukać go i połączyć się z nim – poradził któryś z sąsiadów.

Lecz inny rzekł:

– Nie dawaj kobiecie złej i niemądrej rady! Czyż nie wiesz, że nasz kadi, aby się przyśłużyć rozgniewanemu na niedawny napad kaidowi, wysłedzi Azizę, schwyta ją i męża i wyda na sąd do Tarudantu?

Aziza doznała bicia serca, gdy usłyszała te słowa. Od dawna bowiem przemyśliwała nad tym, w jaki sposób ma odnaleźć męża. Teraz zrozumiała, że musi zaniechać zamiaru, aby nie narazić Rasa na straszliwą zemstę wielkiego kaida.

Twarz jej spochmumiała, oczy zgasły, i kobieta z jakąś rozpaczą, a może z porywem nienawiści, zabrała się znowu do pracy...

Wlokły się dni jednostajnym, smutnym pasmem, przerywanym od czasu do czasu plotkami i pogłoskami, że gdzieś w górach spahisi kaida schwytali Rasa i odstawili do stolicy władcy, lecz mijały dni, kadi nie wyjeżdżał z kasby, i Aziza stawała się spokojniejsza, rozumiejąc, że wieści były fałszywe. Tęsknota jednak nie wypuszczała ze swych szponów serca i myśli samotnej kobiety. Nawet praca, ten najlepszy lekarz na troski i niepokój, nie mogła ukoić bólu jej serca i odegnąć nurtujących ją myśli o mężu. Długo borykała się z tęsknotą Aziza, nareszcie postanowiła pójść do kubby sidi Jakuba el Hadż, patrona i opiekuna kobiet opuszczonych.

– Nigdy nie myślałam, iż zostanę opuszczona... – przemknęła przez głowę Azizy gorzka myśl. – Za co pokarał mnie Allah?

Z tymi ciężkimi myślami szła żona Rasa przez górę do kotliny, gdzie stała biała kubba świętego człowieka. Złożyła tu ofiary – proso, sól i jarzyny, zapaliła czerwoną świeczkę i zaczęła się modlić, błagając sidi Jakuba, aby się wstawił za nią przed wszechpotężnym Allahem i wymodlił dla niej rychłe połączenie się z ukochanym mężem i życie razem z nim, chociażby miało to być życie krótkie a ciężkie, pełne trudów i troski o byt.

Gdy świeczka się dopaliła, Aziza podniosła się z klęczek, złożyła na progu kubby pęk kwiatów polnych i westchnąwszy raz jeszcze, odeszła.

W nocy zaś, gdy wszystko w kasbie ucichło, a żaden głos nie mącił wielkiego, nieruchomego milczenia, przyczołgał się do domu Azizy najstraszniejszy z potworów – tęsknota. Jak ciężka, nielitościwa mara, jak widmo zrodzone w mroku nocnym, zimne, powolne i okrutne, objęło ją swymi śliskimi mackami, zgasiło błyski w jej oczach, zmusiło serce gwałtownie kołatać w piersi znękanej bólem, lub zamierać w trwodze beznadziejnej, pomieszało i pogmatwało myśli, spłoszyło sen i wycisnęło gorzkie, gryzące łzy, i żalose jęki, które przeszły w straszliwe przekleństwa, bluźnierstwa i nienawiść do ludzi, do Allacha, bo on widział i znał jej serce i duszę, a przecież nie dopomógł, nie obronił przed złymi ludźmi.

Tak mijała straszliwie długa, męczeńska i beznadziejna noc.

Aziza czuła, że umysł jej się mąci, że ogarnia ją szal.

Co robić? Jak się ratować? Do kogo biec po pomoc i radę?

Słyszała, że w jakiejś chałupie dogorywała opuszczona, przez wszystkich stara gezzana – wróżka. Pochodziła ona z innego szczepu, niegdyś, jak przybłądna kotka, zjawiała się w kasbie i tu już pozostała na zawsze. Kobiety-góralki nieraz posługiwały się jej radami, bo stara gezzana znała życie na wylot, wszystko przeżyła, wszystkiego doświadczyła i widziała duszę ludzką tak, jak gdyby ona leżała na jej suchej, pomarszczonej dłoni.

Do niej, zabrawszy z sobą koszyk z podarkami, przyszła pewnego dnia Aziza i odkryła przed nią swoje znękanе serce.

– Powiedz mi, czy ujrzę męża, czy będę jeszcze szczęśliwa? – pytała namiętym głosem, chwytając starą wróżkę za rękę.

Ta długo milczała, wpatrując się w twarz kobiety swymi czarnymi, gasnącymi już oczami. Wreszcie szepnęła:

– Pokaż swoją dłoń!...

Oglądała uważnie krzyżujące się linie ręki Azizy, coś mruczając i kiwając głową.

– Co widzisz? – pytała młoda kobieta.

– Czekaj, powiem później! – odpowiedziała wróżka i wylała do płaskiej miseczki czarną, gęstą jak kasza kawę, badając jej powierzchnię, po której biegły małe kółka i zmarszczki, tworząc misterne, nieuchwytnе, znikające i co chwila zmieniające się obrazy.

Skończywszy, bezwładna opadła na posłanie i przymknęła stare, zmęczone oczy.

Aziza, przyciskając dłoń do bijącego serca, niecierpliwie czekała.

– Spotkasz męża, spotkasz – zaczęła wyrzucać słowa wróżka – lecz nie będziesz śmiała nazywać go mężem, kobieto...

– Dlaczego? – pytała przerażona Aziza.

– Bo nie będziesz już jego żoną – odparła starucha.

– Jak to nie będę?

– Nie wiem – brzmiała głucha odpowiedź – lecz widziałam ciebie żoną innego... innych mężczyzn...

– To fałsz! Fałsz! – wykrzyknęła Aziza, czując, że rzuci się na starą wiedźmę i zadusi ją za ciężką zniewagę.

– Powiedziałam, co ujrzałam – szepnęła gezzana. – A chciałabym, żeby to był fałsz, gdyż ciężkie będzie twoje życie... oj, ciężkie!

– No, a dalej... dalej? – nalegała Aziza. – Czy będziemy razem z mężem?

– Krótkie jest życie wasze... – odpowiedziała gezzana. – śmierć czyha na was... Umrzecie razem, pogodzeni ze sobą, lecz w nienawiści...

– Objaśnij! nie rozumiem słów twoich... – prosiła młoda kobieta.

– Nic więcej nie wiem, bo tylko tyle widziałam... szepnęła, znowu zamykając oczy, stara wróżbiarka. – Zostaw mnie teraz! Chora jestem i wyczerpana. Niech Allah wynagrodzi cię za twój podarek i niech odmieni twój los...

Aziza opuściła chałupę gezzany z ciężkim sercem i czarnymi myślami. Nie mogła dopuścić myśli, żeby ona, Aziza, córka Ben Hadża, mając męża stała się żoną innych mężczyzn, złamawszy prawo Świętej Księgi Proroka; nie rozumiała słów wróżki: „Umrzecie razem, pogodzeni ze sobą, lecz w nienawiści”. Co to mogło oznaczać i jak to być może?

Nie przyniosło jej ukojenia widzenie się z gezzaną, więc wkrótce znowu poszła do niej.

– Tęsknota pożera moje serce i wysysa mój mózg – rzekła siadając przed wróżką. – Zaradź na to, dopomóż!

Starucha odpowiedziała bez namysłu:

– Idź do domu i przynieś mi włosy męża twego!

Aziza znalazła kilka włosów męża, zaplątanych w jego turbanach i przepaskach, noszonych na głowie podczas robót polnych. Powróciła z nimi do gezzany. Ta zaś, wyszeptawszy jakieś zaklęcia, włożyła je do białej szmatki, zrobiwszy na niej magiczny węzeł i rzekła:

– Powieszysz ten amulet na drzewie przed domem twoim lub na twoim polu. Gdy wiatr będzie poruszał szmatkę, myśl Rasa ben Hoggara będzie leciała ku tobie, kobieto, na skrzydłach wiatru.

Aziza powróciła do domu i przechodząc przez swój ogród zawiesiła talizman na gałęzi starego rozłożystego drzewa oliwnego. Od tej chwili, pracując w polu lub w ogrodzie, wzrok swój często zwracała w stronę starego drzewa i radośnie wzdychała, gdy podmuch wiatru kołysał białą szmatkę, zawiązaną w magiczny węzeł, zawierający włosy Rasa. Stara gezzana dobrze знаła serce kobiece i znalazła środek na ukojenie porzuconej, tęskniącej kobiety. Od chwili posiadania talizmanu Czar Aziza prawie ciągle czuła przy sobie obecność męża, czasami twarz jej zaczynała płonąć pod gorącym spojrzeniem Rasa, czując tuż przy sobie jego oddech i słysząc cichy szept:

„Umiłowana Czar Azizo, radości moich oczu, płomyku mój, najpiękniejszy darze Allacha!...”

Niespodziewanie, bez żadnego powodu, przyszło ukojenie, a ono przyniosło ze sobą nawet chwile rozkoszy i radości smętnej lecz słodkiej.

W kasbie w owym czasie zdarzył się wypadek, który głęboko wstrząsnął duszą Azizy.

Stary kadi wydawał najmłodszą córkę za mąż do Tarudantu. Na przedślubne uczty i obrządki były zaproszone żony najbogatszych Szleu. Kadi długo się wahał, czy ma zaprosić żonę syna swego starego przyjaciela Mohammeda ben Hoggar, lecz przypomniał sobie łaskawe słowa kaida, powiedziane do niego o Azizie, gdy Glaui dowiedział się, że kobieta po widzeniu się z nim natychmiast odjechała – więc zaprosił ją.

Aziza zaproszenie przyjęła, gdyż nie chciała pokazać ludziom swej tęsknoty i poniżenia, a zresztą czuła się teraz spokojniejsza i weselsza i ciągnęło ją znowu do ludzi. Przystroiła się więc bogato w klejnoty, otrzymane jako wiano od męża i подарowane przez jej ojca.

Wieczorem kobiety rozpoczęły tańce. Na razie wykonywano tradycyjne, rytualne tańce, a później, gdy przyszło podniecenie, rozpoczęły się stare tańce góralskie.

Działo się to na kobiecej połowie domu kadiego, więc tancerki zrzuciły z siebie zasłony i szerokie burnusy i tańczyły w lżejszych szatach, nieskrępowane obecnością mężczyzn. Gdy przyszła kolej na Azizę, odtańczyła taniec miecza z taką namiętnością i wyrazem, że wszystkie kobiety zaczęły w zachwycie klaskać w dłonie, krzyzczeć i prosić o nowy taniec.



Aziza w swojej ojczystej wiosce, stojącej na brzegu rzeki Suss, słynęła z tańca i piękności, a sztuką taneczną zachwycała nieraz znajomych i przyjaciół męża. Tańczyła więc długo, coraz bardziej sama upajając się wirami i porywem ruchów. Oczy jej płonęły, rozchyliły się namiętne usta, pierś wysoko się wznosiła i opadała, brzęczały i dzwoniły ciężkie kolczyki i bransolety.

Nagle spoza kotary rozległy się okrzyki zachwytu i głośnie klaskanie w dłonie. Aziza jak strzała rzuciła się do swego ubrania, i w jednej chwili szeroki burnus ukrył jej zgrabną postać, a haik spadł na twarz i wysoką pierś.

Kotara się odsunęła i wszedł stary kadi. Śmiejąc się chytrze i przekornie, rzekł:

– Kobiety! Źle zapuszczacie zasłonę w swoim pokoju. Oczy mężczyźni dojrzały was. Szczególnie zaś ciebie, Aziza, w twoim pięknym tańcu...

– Podług prawa – odparła Aziza – prawowierny muzułmanin, widząc nieszczelnie opuszczoną zasłonę, powinien, nie zaglądnąć do wnętrza pokoju, zasunąć ją.

– Mówisz zawsze jak ulem lub taleb – zaśmiał się starzec. – No, ale to dobrze się stało, że jeden człowiek widział ciebie.

Z tymi słowami odprowadził Azizę do okna i rzekł do niej:

– Jest tu Saffar el Snussi... Nie znasz go, lecz on przypadkowo spotkał Rasa i ma od niego polecenie do ciebie...

– Od Rasa! – wykrzyknęła Aziza i zachwiała się na nogach, widząc, że wszystko zaczęło kołować i drgać przed jej oczami. Była zmuszona oprzeć się o framugę okna. Kadi, zauważywszy to, zaczął szeptać jej do ucha:

– Nikomu nie mów o tym, com ci powiedział, bo boję się zemsty kaida dla siebie i dla ciebie... Później urządzę ci spotkanie z tym człowiekiem, a teraz baw się, śpiewaj i tańcz. Zdaje mi się, że prędko będziesz szczęśliwa i wszystkie kobiety będą ci zazdrościły...

Więc Ras istotnie żyje! Ukochany nad życie! Pamięta pan mój o mnie, która umieram z tęsknoty za nim? Więc Ras, Ras przysłał do niej przyjaciela swego?... – mknęły myśli lotem błyskawicy.

Schwyciła rękę kadiego i do ust ją przycisnęła:

– Bądź błogosławiony, bądź błogosławiony za szczęśliwą nowinę, sidi! – szepnęła z wybuchem.

– No, dobrze, dobrze... – mruzczał starzec, a na twarzy miał zakłopotanie, gdy gwałtownie wyrwał kobiecie swoją rękę.

Kadi odszedł, kobiety bawiły się dalej, a najbardziej wesoła i promienna była Aziza. śpiewała cudne piosenki góralskie to smutne, to wesołe i dowcipne, tańczyła, dokazywała i śmiała się wdzięcznie. Szczęście i radość tryskały jej z oczu i rozbrzmiewały w głosie.

Późno w nocy powróciła Aziza do domu, lecz nie mogła spać. Zapaliwszy lampkę przebrała się w domowy strój i usiadła na posłaniu myśląc o mężu i marząc o spotkaniu z nieznanym człowiekiem, co miał jej powtórzyć słowa Rasa i uczynić najszczęśliwszą kobietą na ziemi. Jakiś słodki niepokój odganiał sen i zmuszał czekać na coś, co miało przyjść lada chwila. Przeczucie nie omyliło jej.

Ktoś cicho zapukał do drzwi.

Zerwała się i pobiegła do sieni.

– To ja – kadi! – rozległ się cichy głos. – Otwórz prędzej!

Odsunęła zasuwę i wpuściła starca. Za nim do domu wszedł nieznajomy, wysoki człowiek, otulony w czarny burnus.

– W nocy nikt z sąsiadów o niczym się nie dowie – szepnął kadi – tak będzie bezpiecznie. Przyproszę do ciebie Saffara el Snussi, przyjaciela twego męża.

– Bądź pozdrowiona, żono mego przyjaciela Rasa ben Hoggar – odezwał się niskim, łagodnym, zakradającym się do duszy głosem nieznajomy.

– Bądź pozdrowiony i ty, sidi! – odpowiedziała Aziza. – Wchodźcie do izby tymczasem, ja zaś pójdę po haik, aby zasłonić twarz. Wnet powrócę!

Gdy weszła do izby, gdzie zwykle podejmowała wraz z mężem gości, miała już na sobie burnus i gęstą zasłonę, pozwalającą widzieć tylko oczy. Ujrzała obok kadiego wysokiego mężczyznę o pięknej, drapieżnej twarzy, prawie zupełnie białej i wypieszczonej.

Kadi zbliżył się do Azizy i szepnął:

– Nie przystoi mnie – kadiemu słyszeć, co będzie ci mówił ten człowiek o mężu twoim, którego na rozkaz kaida musiałbym schwytać niezwłocznie. Odejdę już, pozostawiam ci Saffara. Lecz pamiętaj, nie wolno nikomu mówić o tym, co zaszło, bo to może zgubić Rasę, ciebie i mnie... Bądź zdrowa!

Stary zawinął się w burnus i wyszedł.

Aziza stała teraz przed nieznanym, wpatrującym się w nią palającymi oczyma.

– Jestem Saffar el Snussi, handlarz z Konstantyny w Algierii i przyjaciel Rasa ben Hoggar, najszlachetniejszego i najodważniejszego wśród mężczyzn w Mahrebie. Gdyby były teraz inne czasy, Ras ben Hoggar stałby się wielkim wodzem i potężnym wezyrem – odezwał się przesadnie podniesionym głosem Arab.

– Słowa twoje, sidi, jak krople rosy padającej na więdnące kwiaty przynoszą siłę i radość memu sercu! – odpowiedziała Aziza. – Niech Allah-Sędzia wynagrodzi cię za nie!

– Jak się nazywasz, kobieto? – zapytał gość, opuszczając się na posłanie na znak długiej i poważnej rozmowy.

Kobieta usiadła na uboczu i odparła:

– Jestem Czar Aziza, żona Rasa ben Hoggar!

– Słyszę głos, lecz nie widzę oblicza – rzekł Arab. – Ras opisał mi twarz swej żony i z nią, tylko z nią kazał mi mówić. Ciebie nie znam, możesz więc być żoną Rasa, lecz możesz też i nią nie być...

Niecierpliwa wieści o mężu, Aziza zerwała z siebie zasłonę i stanęła przed gościem.

– Jestem Czar Aziza, żona Rasa!

Arab przykrył sobie oczy rękoma, zaczął cmokać ustami i kiwać głową.

– Na Allacha! – mówił. – Na Mahometa! Na Sidi Bu Medyana! To ty, bo Ras ben Hoggar, mój serdeczny przyjaciel, powiedział mi, gdy żegnał mię przed odjazdem: „Przyjacielu mój, Saffar el Snussi! – mówił mi Ras, – gdy ujrysz najpiękniejszą z najpiękniejszych kobiet, gdy spotkasz ją, pomyślisz, że Allah zesłał ci hurysę, abyś poznał potęgę jego, to będzie żona moja – Czar! Oczy jej jak gwiazdy nocy wiosennej, oblicze jak tarcza miesiąca, gdy spogląda przy słońcu z lazuruowego nieba, usta jak dwa szkarłatne korale z Hend, zęby – mieniające się perły, pierś – dwie fale burzliwego morza, szyja jak marmurowa kolumna świątyni dawnych władców Saadien, włosy niby potoki czarnej rzeki w ciemnym wąwozie!” Toś ty, Czar, poznaję cię! Lecz muszę jeszcze sprawdzić...

– Pytaj, sidi! – szepnęła zmieszana kobieta, spuszcżając oczy pod płonącym wzrokiem nieznanego i zaczęła nakładać haik drżącymi palcami.

– O, nie trzeba zasłaniać oblicza, tak pięknego jak słońce i jak świeży powiew wiatru, niosącego ze sobą radość! – błagał składając ręce jak do modlitwy Arab. – Wszak już widziałem cię, hurysko, zostań bez zasłony, abym mógł zapamiętać każdy rys twej twarzy i opowiadać, opowiadać o tobie bez końca Rasowi ben Hoggar, memu serdecznemu przyjacielowi.

– Dobrze! Jak każesz, sidi! – szepnęła Aziza, odkładając zasłonę, której noszenie wśród gór Aleksandrii nie jest zresztą surowo przestrzegane. – Pytaj więc dalej! Co chcesz wiedzieć!

– Ras mi mówił, jak on cię nazywa, gdy miłość zapala płomieniem wasze serca. Powiedz, jakie imię wśród pieczętów gorących daje ci twój mąż?

Aziza opuściła oczy, zawstydzona i zakłopotana, lecz po chwili wyszeptwała:

– Płomykiem nazywa mnie pan mój i mąż...

Arab porwał się z posłania i zawołał:

– Teraz już nie wątpię, że stoję przed najpiękniejszą z najpiękniejszych kobiet, przed Czar Aziza, żoną mego druha Rasa ben Hoggar! Pozdrawiam cię, piękna Czar, w imieniu męża twego!

– O, sidi – szepnęła Aziza, przyciskając ręce do piersi. – Niech Allah obdarzy cię największym szczęściem za to, coś uczynił dla mnie i dla Rasa, męża mego!

– Największego szczęścia już nie może mi dać nawet Allah, bo je zabrał Ras, mając cię za żonę, hurysa raj! – z namiętnym wybuchem szepnął Saffar. – Jestem już szczęśliwy, że oglądam oblicze twoje. Czar Aziza, i słyszę głos twój, do dźwięku czarownicy „rbab”<sup>51</sup> podobny.

Mówiąc to, zbliżył się i usiadł obok Azizy, dotykając swoją pierś jej ramienia. Pochylił się jej do ucha i prawie muskając je ustami, szeptać zaczął:

– Jechałem przez góry i napadło na mnie trzech złoczyńców, leżałem zraniony i związany, gdy nagle nieznajomy człowiek wybiegł z krzaków, pozabijał napastników i ocalił mnie. Był to Ras ben Hoggar, mąż twój, który krył się wtedy w górach przed pościgiem spahisów kaida...

– O, Allah Akbar, Allah Reszid! – zawołała Aziza, chwytając gościa za rękę. – Jakie szczęście, że Ras uratował dobrego sidi!

– Wtedy wyleliśmy wodę na nasze noże i staliśmy się przyjaciółmi na śmierć i życie – ciągnął dalej Arab, nieznacznie obejmując Azizę i tuląc ją do swej piersi. Wtedy Ras opowiedział mi o wszystkim, a najwięcej mówił o tęsknocie za tobą. Wziąłem go ze sobą, niby niewolnika, do Konstantyny, gdzie go zostawiłem, ponieważ sam jechać tu nie może. Gdy odjeżdżał, by ujrzyć cię, Ras kazał mi powiedzieć te słowa: „Czar Aziza, żono Rasa ben Hoggar, polegaj na przyjacielu moim Saffar el Snussi we wszystkim i spełnij wszystkie rady jego, ponieważ on musi przywieźć cię do mnie na nowe, szczęśliwe życie. Spełniaj wszystko, zawsze i wszędzie, zgadzaj się na wszystko, bo taka jest wola moja, Rasa ben Hoggar, męża twego, który czeka na cię i tęskni za tobą, jak usychająca palma tęskni za wodą źródlaną”. Rozumiesz?

– Rozumiem, sidi! – odparła uszczęśliwiona Aziza. – Spełnię wszystko, co każesz, bo taka jest wola męża mego, jego zaś wola podług Świętej Księgi jest wolą Allacha!

– Dobrze! – rzekł Arab. – Mądra jesteś i sprawiedliwa, za co czeka cię nagroda Allacha i miłość Rasa, już prędko, już prędko... A teraz słuchaj! Jutro pójdziemy do kadiego. Ja będę udawał, że jestem handlarzem niewolników i że namówiłem cię, abyś się sprzedała za niewolnicę. To jest konieczne, gdyż inaczej ktoś mógłby donieść, że, jako wolna, wyjeżdżasz na poszukiwanie męża, i przyłapanoby cię, mnie i Rasa. Tymczasem, kto się będzie zajmował losem niewolnicy? Oszukamy wszystkich, pomylimy ślady i dowiozę cię, Aziza, do tęskniącego za twoimi pieściami Rasa.

– Uczynię, jak każesz, sidiy bo taka jest wola męża mego! – odparła Aziza, pełna miłości dla męża i radosnej niecierpliwości spotkania się z nim.

Arab wkrótce opuścił dom żony Rasa ben Hoggar, a gdy się za nim zamknęły drzwi i zgrzytnęła zasuwka, cicho gwizdnął. Z ciemnego zaułka wyszedł kadi.

– No co? Jak? Udało ci się? – rzucił szeptem pytanie.

– Saffar el Snussi nie zna niepowodzenia! – odparł ze śmiechem Arab. – Oto masz tymczasem połowę wynagrodzenia.

Stary kadi zaczął liczyć banknoty.

Arab kiwnął głową na pożegnanie i rzekł:

– Tylko śpiesz się, stary, jutro ze sporządzeniem aktu sprzedaży i milcz jak ryba! Do jutra, kadi!

---

<sup>51</sup> Rbab – skrzypce.

– Do jutra, Saffar el Snussi!

Rozstali się, idąc w różne strony, jak spiskowcy lub rabusie po udanej wyprawie, płacząc i myśląc ślady.

Była głucha noc... a mijała ona dla jednych szybko i rozkosznie, dla innych ciągnęła się rozpaczliwie długo.

Jednak o wskazanym przez Allacha czasie ta noc minęła.

Wczesnym rankiem stary kadi, zamknąwszy się z Arabem i Aziza w swoim biurze, szybko sporządził akt przejścia żony banity Rasa ben Hoggar na własność Saffara el Snussi. Przed południem Aziza spakowała do wora trochę swoich rzeczy i po kryjomu wyruszyła z przyjacielem Rasa w daleką podróż.

Podczas obiadu kadi rzekł do syna:

– Czy wiesz, że żona Rasa wyjechała?

– Dokąd? – spytał młody.

– Nie wiem... – pojechała z Arabem Saffarem... – odparł kadi.

– Z tym handlarzem niewolników z Konstantyny?

– Tak! z nim... – mruknął stary.

Syn zaczął bacznie wpatrywać się w twarz ojca, aż, widząc jego zmieszanie, rzekł:

– Gdybym ja był Rasem, zabiłbym ciebie albo twego syna, ojczu.

– Nie mogłem nic innego uczynić – tłumaczył się kadi. – Z Tarudantu, sam wiesz, wszystkie oczy są na nas zwrócone, ciągle zapytania, przykrości i kłopoty, a teraz – koniec. Napiszemy, że poszła za niewolnicę i odjechała...

– Czar Aziza, ta orlica, żona Rasa – niewolnicą! – wykrzyknął młody człowiek. – Ależ to niemożliwe, to potworne!

– Patrz! – rzekł ojciec, wyciągając z zanadru papier. Wszystko podług prawa...

Syn przeczytał akt, zmarszczył brwi i pochyliwszy głowę, rzekł z cicha:

– No, teraz nie będziemy mieli ani dnia, ani nocy spokoju... Ras, nie taki człowiek, żeby nie pomścił żony. Złe postąpiłeś, ojczu! Prawo w twoim ręku zmieniło się w ohydny zbrodnię i zdradę wobec syna twego druha... Biada nam! Biada! Niech Allach miłosierny nie karze nas za ten czyn twój, ojczu!

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### Poszukiwacze skarbów

Ras z Soffem prowadzili pomyślnie swój proceder zaklinaczy. Czasami był taki popyt na widowiska, że pracowali równocześnie w różnych miejscach Dżema el Fna, dając przedstawienie na własną rękę i dzieląc się rzetelnie zarobkami. Takie życie pozwoliło Rasowi zawiązać dużo pożytecznych dla niego znajomości, szczególnie zaś wśród meskinów.

Żebracy stanowili tu potężną klasę ludności, która miała wszędzie wolny wstęp, o wszystkim wiedziała, przerzucając się z miasta do miasta. Organizacja meskinów jest równie stara jak Mahreb i rządzi się podług własnej, odwiecznej tradycji.

Ras uczył się od meskinów ich umiejętności wykorzystywania słabostek ludzkich, ich sztuki zmieniania powierzchowności, głosu i sposobów skamłania. Przychodząc do ich barłogów, gdzie miał już serdecznych przyjaciół, zabawiał ich swymi węzami, a sam uczył się od żebraków sposobów skomplikowanej maskarady, gdy to „ślepy”, wykorzystawszy to kalectwo, stawał się niemową lub paralitykiem, aby po pewnym czasie znowu przejść na ślepotę.

Przejął od żebraków całą litanię różnych świętych, „uali”, których imieniem meskini błagali o jałmużnę i już wiedział, którego świętego należy szczególnie wystawiać w tym lub innym zakątku kraju.

Poznał się też z kilkoma pieśniarzami i zapamiętał sporo opowieści, bajek i pieśni o dawnych bohaterach, o krwawym Sidi-Okba i o straszliwym sultanie Mulej Izmaile. Obcując z pieśniarzami, dowiedział się, że są oni wrogami Francuzów, Hiszpanów, Włochów i Anglików, wyśmiewają ich i pobudzają gniew i niezadowolenie Berberów przeciwko białym przybyszom. Od nich się też dowiedział góral, że Arabowie w Egipcie i Kabilowie w Riffie powstali przeciwko rumani i walczą z nimi i że wielki wódz Abd el Krim chce się ogłosić sultanem i kalifem.<sup>52</sup>

Ponieważ sam Ras cierpiał z powodu rumani, którzy zmusili wielkiego kaida do wytrzebienia tych Szleu, którzy za przykładem przodków trudnili się napadami na karawany, idące z tamtej strony Atlasu – więc chętnie słuchał wrogich dla Europejczyków opowieści i pieśni i nawet sam je śpiewał i układał, ośmieszając w nich Glau, którego nazywał „nie-wolnikiem, psem łańcuchowym” białych przybyszów.

Znajomość z meskinami i pieśniarzami wkrótce przydała się Rasowi.

Pewnego wieczoru, powracając z placu do fonduka, usłyszał z daleka rozpaczliwy głos Soffa wołającego o pomoc. Pobiegł i tuż przed bramą fonduka ujrzał zaklinacza w bardzo niemiłym towarzystwie. Otaczało go bowiem kilku drabów, którzy, krzycząc w niebogłosy, tłukli tak zawzięcie długiego i cienkiego Soffa, że góral wyszeptał:

– Na Allacha! przetrąca ci chłopcy moją tykę.

Rzucił się towarzyszowi z pomocą, a tak skutecznie, że wkrótce napastnicy rozbiegli się w popłochu, a jeden z wywichniętą szczęką siedział na ziemi i ryczał jak zarzynany wieprz.

---

<sup>52</sup> Kalif – religijny wódz muzułmanów.

Przybiegł policjant i chciał zaarrestować Rasa, lecz ten, nie czekając na to, zaczął umykać, ścigany przez policję. Ukrył się wśród meskinów i śmiał się z prześladowców, widząc jak go poszukują po kawiarniach i jadłodajniach, żebracy nazajutrz przerobili Rasa na ślepca i góral najspokojniej w świecie odnalazł Soffa i pracował dalej.

Za obronę swojej osoby „czcigodny i wspaniały Soff” przy świadkach zaprzysiął góralowi przyjaźń i wierność do śmierci.

Na tym stanęło i wszystko szło po dawnemu, tylko czakras obydwóch zaklinaczy pu-chły coraz bardziej od pieniędzy zarabianych na Dżema el Fna.

Pewnego wieczoru, gdy towarzysze powrócili do fonduka, zjedli kolację i napili się herbaty, stary zaklinacz trącił górala w bok i szepnął:

– Zabierz swój koszyk z węzami, tamburyn, manatki i ostrożnie, aby cię nie dojrzał Ed Ksel, wymknij się z fonduka. Dobra nasza, bo oto widzę, wchodzi cała karawana na nocleg. Wal!

Nie rozumiejąc, o co chodzi, Ras spełnił żądanie przyjaciela i wkrótce był już za bramą zajazdu, skąd, wmieszawszy się pomiędzy wielbłądy i poganiaczy, podążył w stronę placu. Tu dogonił go Soff z klaczą, którą prowadził za uzdę.

– Co się stało? – spytał zdziwiony góral.

– Nic szczególnego! – odparł wesoło stary wyga – mam tego dość! zarobiliśmy sporo grosza, więc chcę pojechać do Rabatu lub Fezu na wywczasy i zabawę. Znalazłem kupca na nasze gady i dziś w nocy wyruszę do pobliskiej wsi do znajomych, a jutro lecę w świat!

– A ja?! – zadał pełne trwogi pytanie Ras.

– O tobie nie zapomniałem – odparł Soff. – Zaraz pójdziemy do marabuta Szorfa ben Ihudi. On bierze cię na pomocnika. Z nim się dopiero obłowisz! Ho, ho!

Nie dając góralowi przyjść do słowa, zaklinacz zaczął ryczeć ze śmiechu, krztusząc się i kasłając:

– Wyobrażam sobie, jaką głupią i wściekłą minę będzie miał jutro ten czarny potwór Ed Ksel, gdy nas nie znajdzie w fonduku! To dopiero będą wymyślania i przekleństwa, bo za cały tydzień zostaliśmy mu winni. Tym razem nic nie otrzyma, bo zbrzydł mi do reszty jego brudny, hałaśliwy fonduk. Niech go tam wszystkie dzinny mają w swej opiece!

Ras nie mógł wstrzymać się od śmiechu, gdy wyobraził sobie czarnego, opasłego Murzyna, stojącego na progu pustej izby, gdzie mieszkali „czcigodni i wspaniałomyślni sidi”, jak ich tytułował Ed Ksel.

– Kiedyż pójdziemy do marabuta? – spytał Ras przyjaciela.

– Natychmiast! – odparł wesołym głosem Soff. – Już się z nim umówiłem co do ciebie.

Istotnie w godzinę później Ras rozlokował się w małej izdebce w mieszkaniu Szorfa ben Ihudi i zabierał się do snu, myśląc o tym, co mu nazajutrz powie marabut, który przyjął go na swego pomocnika.

– W czym będę mu pomagał? – łamał sobie głowę Ras. – Przecież nie w modłach, nie w błogosławieństwie pobożnych?

Postarał się usnąć jak najprędzej, aby próżno nie wysilać głowy.

Nazajutrz rano marabut wezwał do siebie Rasa.

– Młodzieńcze! – rzekł. – Twój właściciel Soff-zaklinacz polecił mi ciebie, jako człowieka roztropnego i wiernego.

– Postaram się, sidi, być takim dla ciebie – odparł góral, całując marabuta w rękaw bur-nusa. – To dobrze! – zawołał Szorf. – Chcę więc z tobą pomówić.

– Słucham, sidi! – odparł Ras.

– Czy wiesz cokolwiek o szczepie Szleu, z którego pochodzisz? – zapytał marabut.

– Wiem, że Szleu od wieków mieszkali w naszych górach i byli wojownikami... – od-powiedział góral.

– Od wieków! – uśmiechnął się pogardliwie Szorf ben Ihudi. – To niczego nie oznacza, bo najważniejsze było przed owymi „wiekami”, gdy wasi Szleu jeszcze nigdy nie słyszeli o górach Atlasu.

– O tym nic nie wiem! – odpowiedział Ras. – Najsędziwsi nawet starcy o tym nie opowiadają.

– Tedy słuchaj, młodzieńcze, bo to potrzebne dla ciebie teraz! – zawołał marabut. – Szleu byli niegdyś licznym i walecznym narodem. Pochodzili od przybyszów – Kartagińczyków i wyznawali ich wiarę, ofiary żywe składając ich bogom. Kartagińczycy znikli, a państwo Szleu pozostało i było tam, gdzie teraz na północy panują Hiszpanie. Państwo to obejmowało cały Riff i dochodziło aż do Rabatu. Trwało tak do czasu, aż przyplłynęli na dużych żaglowych łodziach biali ludzie zakuci w żelazo i wyparli Szleu, zdobywszy wszystkie ich miasta nadbrzeżne i zabiwszy ich króla. Mieszkańcy tego państwa zaczęli uciekać na południe, unosząc ze sobą swoje skarby. Przybysze ścigali ich. Wtedy co najbogatsi zaczęli zakopywać swoje skarby w wąwozach górskich grzbietów Riff i w lesie Mamora. W ten sposób doszli aż do waszych gór i tu pozostali. Przybysze, zrabowawszy państwo Szleu, odpłynęli, po nich przyszli inni, tych znowu zastąpiły jakieś nowe ludy, aż przyszli Arabowie i zajęli cały kraj. Szleu nigdy już nie powrócili na swoją ziemię, która do dnia dzisiejszego zazdrośnie ukrywa skarby waszych przodków.

– Trzeba je odnaleźć! – wykrzyknął Ras.

– Właśnie po to tu jesteś – odpowiedział kładąc mu rękę na ramieniu marabut. – Posiadam dwie mosiężne tabliczki z planami skarbów, ukrytych przez starożytnych Szleu na północy. Podarował mi je i objaśnił ich znaczenie i wycięte na nich znaki jakiś stary mekskin rodem z Amizmiz...

– To blisko mojej wsi! – zawołał góral.

– Ów meskin umierał na ulicy, wziąłem go do siebie, leczyłem i karmiłem, lecz Allah dał mu krótkie życie. Umarł, a przed śmiercią przekazał mi swoje tabliczki, talizmany chroniące od złych duchów broniących skarbów i skuteczne zaklęcia...

Marabut umilkł, milczał też i góral czekając na dalsze słowa świętego człowieka. Po długim milczeniu Szorf rzekł:

– Pójdziemy szukać skarbów, za pomoc wynagrodzę cię sowicie. Czy chcesz?

– Będę ci wierny jak pies, jak niewolnik! – zawołał Ras. – Muszę mieć dużo pieniędzy, aby stać się bogaty i potężny i wtedy znowu zacznę żyć, jak ludzie uczciwi, a nie jak włóczęgi, wygnańcy, żebracy. Cięży mi to, a w duszy mojej i sercu gnieździ się i żre mnie tęsknota, *sidi*!

Wyrzekł to z takim wybuchem bólu i namiętności, że marabut przyjrzał mu się baczniej i cichym głosem spytał:

– Co ci jest, synu mój?

Ras opowiedział marabutowi całe swoje życie, żalił się na los nielitościwy i zdawało się chciał wypłakać przed nim cały gorzki jad tęsknoty i rozpacz, zatruwający mu duszę, serce i mózg.

– *In cza Allah* – szepnął marabut. – Może Allah dopomoże nam, a wtedy stanie się po dług pragnienia twego, synu!

Od tej chwili los związał tych dwóch ludzi.

Ras z podziwem i pewnym lękiem spoglądał na dwie małe podłużne tabliczki, porysowane drobnymi, zawiłymi kreskami, znaczkami i nieznanymi literami.

– To jest pismo kartagińskie – objaśnił Szorf – pismo tego potężnego grodu, z którego pozostały zaledwie ruiny niedaleko od Tunisu. Bogaty to był gród, a mieszkańcy jego byli biczem Allacha dla ludności całej północnej Ifriki,<sup>53</sup> bo krzywdzili ją, rabowali i oszuki-

---

<sup>53</sup> Arabska nazwa Afryki.

wali, wyciągając z kraju tego wszystko, co produkował rolnik, pasterz i rzemieślnik, nic w zamian nie dając oprócz srebra i rozpuszty. Gród ten powstał jednak później z mniejszych kolonii fenicyjskich przybyszów. Z biegiem czasu Fenicjanie z tych kolonii połączyli się ze szczepami berberyjskimi i wytworzyli ludność odrębną, bardziej waleczną niż Fenicjanie i mniej od nich okrutną. To właśnie byli Szleu. Kartagińczycy jednak podbili te kolonie i zmusili je pracować dla Kartaginy i dawać pożywienie i towary w czasie pokoju i ludzi w dobie wojny. Gdy Kartagina padła pod ciosami rumani, kolonie Szleu odrodziły się i istniały jeszcze długo, aż przyplłynęły, jak już mówiłem, wielkie żaglowe łodzie o wysokich nosach zagiętych jak szyje łabędzi lub węzów morskich. Z tych łodzi wyszli wojownicy w hełmach i pancerzach<sup>54</sup> i runęli jak bałwany oceanu na miasta i kasby obronne Szleu. Długo trwał mord, rabunek, gwałty i pożary, aż Szleu musieli się cofać, pozostawiając na zawsze swój kraj. Tam właśnie pójdziemy, Ras ben Hoggar, pójdziemy do kraju twoich dalekich przodków. Może ich cienie będą ci sprzyjać i odpędzając złych dzinnów, wydadzą ci skarby, ukryte w prastarej ziemi Szleu!

W kilka dni później marabut z Rasem jechali już autobusem z Marrakeszu do Rabatu.

Szorf ben Ihudi miał kilka spraw do załatwienia w Rabacie, gdzie się mieściła główna rezydencja sułtana Mulej Jussefa i jednocześnie zarząd protektoratu francuskiego nad Marokkiem. Sprawy marabuta były nader zagadkowe i Szorf nie wtajemniczał w nie swego nowego towarzysza. Ras widział innych marabutów, młodych i starych notablów<sup>55</sup> berberyjskich, mokkaDEMów różnych sekt, czarnych żołnierzy gwardii sułtańskiej, handlarzy i meskinów odwiedzających Szorfa ben Ihudi. Marabut zamykał się z nimi w zacienionej izbie, szeptem naradzał się, czytał jakieś listy i coś pisał.

Korzystając z wolnego czasu Ras zwiedzał Rabat. Miasto wydało mu się obce gdyż wszędzie spotykał domy, biura, sklepy i koszary rumani, tych berrania, dla których górale czują niezwalczoną pogardę. Dla Rasa prawowiernego mumena za mało tu było meczetów i medersa, za mało suk i kisaria, a nawet tłum tubylczy wzbudzał w jego duszy jakiś protest, ponieważ spotykał już Berberów w europejskich ubraniach i obuwiu, a oprócz tego tłum ten był zupełnie pomieszany z cudzoziemcami, do których nie czuł już widocznie żadnej odrazy. Dopiero za murami miasta wypoczęła trochę dusza górala Szleu. Stało się to wtedy, gdy ujrzał potężny zamek obronny, tak zwaną „kasbę Udaja”, gdzie ten waleczny szczep bronił Islamu i potęgi krwawego sułtana Mulej Izmaïła. Grube mury, obronne baszty, potworne bramy, z ogromnych głazów ciosanych złożone przetrwały wieki i burze dziejowe i góralowi wydawało się, że kasba surowych Udaja szepcze mu o dawnej sławie i cnotcie wojowników Proroka i grozi komuś ponurym pomrukiem.

Ras zwiedził zagadkowy minaret Hassana i ruiny meczetu przy nim – ogromne gmachy, które nigdy nie były wykończone i stoją w zwaliskach smętnych i zagadkowych od dnia, gdy je wzniesiono podług pomysłu Maura z Sewilli, imieniem Dzeber, na rozkaz wielkiego sułtana Jakuba Zwycięzcy; ścieżką, wijącą się wśród drzew oliwnych i granatowych, przeszedł góral brzegiem rzeki Bu-Regreg do kotliny, pełnej bujnej, szmaragdowej roślinności, gdzie białe ściany i kopuły kilku kubb i wznosił się strzelisty minaret nad zburzoną i krzakami porośłą świątynią Proroka. Była to Czella, gdzie znaleźli dla siebie miejsce ostatniego spoczynku wspaniali władcy Merinidzi, a wśród nich cnotliwe, piękne i święte Lalla Regraga i Czems ed Ducha, przezwana „słonkiem porannym”...

Długie godziny przesiadywał tu w cieniu drzew pomarańczowych Ras i słuchając opowiadań meskina o żonie sułtańskiej, która była dla władcy „słonkiem porannym”, myślał z tęsknotą niewysłowioną i ze łzami w oczach i sercu o Czar Azizie, swoim płomyku, swojej orlicy, swoim ukochaniu.

---

<sup>54</sup> Byli to Normanowie.

<sup>55</sup> Notable – elita umysłowa, finansowa i społeczna (przyp. red.).



Nareszcie pewnego dnia marabut rzekł do Rasa:

– Pójdiesz do kupca Ali Sulhak ed Khiber, zabierzesz od niego, i przyniesiesz tu wszystko, com zamówił.

Ras poszedł i przywiózł na trzech dobrych mułach – worki z żywnością, rydle, kilofy, różne przyrządy, namiot, naczynie do gotowania stawy, jakieś pudła i dużo innych rzeczy, nieznanymi i niewidzianymi nigdy przez górala.

Nazajutrz rano wyruszyli, idąc przy objuczonych mułach na północ, a w niewielkiej odległości od miasta Sale, skręcili na wschód, gdzie wkrótce ogarnął ich cień, rzucany przez wysokie dęby korkowe. Był to las Mamora, miejsce, w którym dawni Szleu ukryli część swoich skarbów przed najeźdźcami.

Poszukiwacze jechali na razie szeroką drogą, którą mknęły samochody i kroczyły wielbłądy, dążące do granicy Riffu lub do oceanu, lecz wkrótce zjechali na boczną ścieżkę i zaczęli zagłębiać się w las. Wysokie dęby obstąpiły jeźdźców ze wszystkich stron i gęszcz stawał się coraz ciemniejszy. Jechali tak aż do zachodu słońca i wreszcie dotarli do niewielkich pagórków, porośniętych lasem. Ujrzeni tu wąwóz z chaszczami krzaków, wysokiej trawy i sterczącymi gdzieniegdzie spróchniałymi pniami dawno zrąbanych lub strzaskanych przez burze dębów.

Marabut przejrzał raz jeszcze jedną z tabliczek, sprawdził położenie miejscowości w stosunku do słońca i zawołał:

– Dobrze mi opisał to miejsce meskin! To tu! Musimy ustawić w tych krzakach namiot, a siedzieć cicho, aby nas tu nie wykryto, gdyż wtedy – koniec naszej roboty!

Pracowali do późna poszukiwacze, a gdy księżyc zaczął zaglądać przez korony dębów do wąwozu, stał tam już namiot, pasły się niedaleko uwiązane muły i przy małym, ledwo dostrzegalnym ognisku siedziało dwóch ludzi.

Przez całą noc Szorf ben Ihudi obchodził wąwóz ze wszystkich stron, zaglądał do różnych skrytek, wyrw i dołów, szperał pod korzeniami zwalonych drzew, a nawet grzebał w próchnie pni, raz po raz podnosząc do latarki swoją tabliczkę ze znakami.

Położył się dopiero przed wschodem słońca, a gdy na niebie zjawiać się zaczęły pierwsze pasma różowych, jeszcze mdłych i nikłych promieni słońca, które po chwili bryznęło roztopionym złotem – marabut zerwał się z posłania i obudził Rasa.

– Wstawaj! – zawołał. – Módl się gorąco i z głębi duszy do Allacha, aby dopomógł nam, każdemu w jego zamiarach: tobie w połączeniu się z żoną, mnie – w moich sprawach. Módl się, synu!

Podesławszy pod siebie skóry owcze, osunęli się na kolana i zwróciwszy twarze na wschód zaczęli się modlić. Chociaż Ras modlił się gorąco, zauważył jednak, że jego towarzysz używa jakichś niezrozumiałych słów: „Czentut, Kerhul, Mikail, Mubrecz”, czyniąc przy tym ruchy, zwykle w rytuale muzułmańskim nie używane.

Nareszcie modły były skończone, obaj podnieśli się z ziemi uczyniwszy ostatnie trzy pokłony w kierunku Mekki, wysławiając imię wysłańca Allacha – Proroka Mahometa. Ras milczał, spoglądając na niezwykle poważną i skupioną twarz marabuta, który coś wyjmował z małego woreczka, zawsze wiszącego na pasie razem z nieodstępną czakras. Po chwili wyjął długi sznurek z wiszącymi na nim szkaplerzami różnych rozmiarów i form.

– Nałóż to i noś ciągle przy poszukiwaniach – rzekł oddając je góralowi. Są to amulety odganiające złe duchy i potwory broniące ukrytych skarbów.

– Oddajesz mi wszystkie amulety, sisi – zauważył Ras – i żadnego nie pozostawiasz sobie?...

– Nie potrzebuję tego – odparł marabut – jestem szeryfem, to znaczy potomkiem wielkiego Proroka i – marabutem. Posiadam zatem siłę i wiedzę „tasaruf,” ona pozwala mi władać wszystkimi potęgami natury i daje panowanie nad złymi duchami. Zresztą zanim

wybrałem się na tę wyprawę, przeszedłem „riada” – wielkie umartwienie ciała w ciągu dwudziestu siedmiu dni, to czyni mnie niezwykłym dla dzinnów i podziemnych potworów, synu mój.

Ras jednak spostrzegł, że marabut włożył jakiś okrągły przedmiot za pas, starannie go zapinając.

– Co to jest? – zapytał towarzysza.

– Jest to „teffah el džann”, czyli jabłko dzinnów, korzeń nieznannej, magicznej rośliny przywieziony z ziemi Persów – wyjaśnił marabut. – Potrzebne mi jest to jabłko dla zaklęć magicznych, od których rozpoczniemy naszą pracę. Tymczasem bierz rydle i kilofy, synu mój, i zaczynajmy w imię Allacha Akbar!

Marabut szedł pierwszy i co dziewięć kroków wtykał w ziemię małe deseczki, na których robił jakieś znaki.

Co to oznacza? – oczami zapytał Ras.

– To znaki duchów, potęg ziemi, podziemia i powietrza – szepnął Szorf ben Ihudi.

Wetknąwszy ostatnią, stanął przy wielkim stosie zwałonych kamieni i szepnął:

– Teraz wszystkie potęgi będą broniły naszego odwrotu...

Marabut wyprostował się i podniósłszy obie ręce do nieba, zawołał:

– Błagam cię na twe starożytne imię, dopomóż mi!

Wymówiwszy głośno te początkowe słowa „wielkiego zaklęcia” podług rytuału białej magii „karaoma”, marabut zaczął szeptać fomuly magiczne, przeplatając je niezrozumiałymi słowami: „El Ahmer, Mudib, Borkan”, przy każdym nowym zaklęciu dotykając „jabłka dzinnów”.

Nareszcie umilkł i wskazawszy oczami na stos kamieni, rzekł:

– W imię Allacha, który poniżej i wywyższa, zaczynaj, słuگو Allacha, Rasie ben Hoggar!

Góral zaczął odwalać kamienie, porośnięte krzakami i poplątaną trawą.

Spłoszył kilka niejadowitych wężów, a ujrawszy wkrótce wiperę, uśmiechnął się, przypomniawszy długą, zgarbioną postać zaklinacza i czarne oblicze Ed Ksela o końskich, żółtych zębach i sinych, obwisłych wargach.

Góral pracował bez wytchnienia, aż rozrzucił cały stos i dotarł do ziemi.

– Teraz do rydli! – zawołał marabut, rzucając się do roboty.

Kopali do zachodu słońca, zapomniawszy o pragnieniu i głodzie. Kopali po modlitwie wieczornej do chwili, gdy zapadła noc. Wtedy dopiero powrócili do namiotu i posilili się. Nazajutrz rozpoczęli pracę jeszcze przed świtem, a około południa rydle uderzyły o coś twardego.

– Skała! – zawołał Ras.

– Podziemie... – poprawił go marabut. – Murowana skrytka dla skarbów należących do dawnych Szleu.

Zaczęli z nową siłą wyrzucać ziemię, szukając wejścia do lochu. Po długiej i mozolnej pracy istotnie znaleźli je. Była to duża płyta kamienna, zamykająca otwór, prowadzący do wnętrza.

Z trudem odwalili płytę i oczom ich ukazał się dość szeroki otwór prowadzący do niewielkiej, ciemnej skrytki, skąd wionęło na nich wilgocią i zgnilizną.

Mrucząc zaklęcia marabut wszedł do podziemia, a za nim z bijącym sercem wśliznął się Ras. Zapalili dwie latarki i oglądali podziemną skrytkę. Była to nieduża cela, posiadająca sześć kroków wzdłuż i cztery wszerz. Ziemia była wilgotna, a na kamiennych ścianach narosły połyskujące przy świetle latarek stalaktyty, podobne do skamieniałych strug wody. Na wilgotnej ziemi w różnych miejscach widniały zielone plamy, zgniłe skrawki skóry, kilka zardzewiałych kawałków żelaza, podobnych do kling mieczy, lecz bez rękojeści, na miejscu których ujrzeli zielone kupki piasku.

– To srebro i złoto, co w ciągu wieków w proch się rozsypało – szeptem objaśnił marabut.  
– Te kawałki żelaza zabieramy ze sobą, bo rumani płacą za nie dobre pieniądze, składając te niepotrzebne, zniszczone stare odłamki w muzeach za szkłem.

Ras zaczął zbierać stare klingi i związał je rzemykiem.

– Musimy kopać tu, możemy jeszcze coś znaleźć w ziemi! – rzekł Szorf ben Ihudi zabierając się do roboty. Ras poszedł za jego przykładem.

Nie wiedzieli, czy był jeszcze dzień, czy nastąpiła już noc, gdyż byli pochłonięci pracą. Nareszcie natrafili na kilka kamieni, pod którymi w niewielkim zagłębieniu znaleźli trzy brązowe kubki, napelnione różnymi klejnotami, ozdobione drogimi kamieniami, złotymi łańcuszkami i blaszkami.

– Nieduży to skarb – zauważył marabut – lecz i za niego sownie zapłacą nam cudzoziemcy. Ale z tego wszystkiego najlepsze i najważniejsze, że meskin prawidłowo odcyfrował tabliczki i że jesteśmy na dobrej drodze. Tabliczki moje zawierają wskazówki ośmiu miejsc ukrytych skarbów, więc możemy się spodziewać, że w jednym z nich znajdziemy prawdziwe i wielkie bogactwa.

W wykrytym przez marabuta lochu, wyrzucając ziemię do późnej nocy, znaleźli jeszcze kilka starych monet, które miały być, jak twierdził Szorf ben Ihudi, kartagińskiego pochodzenia i jakieś drobne złote przedmioty, używane niegdyś do upiększania kobiet Szleu, gdy szczerp ten tworzył wielkie i bogate państwo, posiadając w górach Riffu kopalnię złota, o czym mówią stare, bardzo stare podania, istniejące do naszych czasów na północy Afryki.

Nazajutrz w wąwozie, w gąszczu Mamory, nikogo już nie było; nawet śladów nie pozostało po poszukiwaczach skarbów. Zgnieciona przez ludzi i muły trawa podniosła się, prostując i wyciągając swe listki ku słońcu, które tu, w cieniu gęstych, wspaniałych dębów, było nie wrogiem, lecz dobrym bóstwem dla wszelakich drobnych roślin, rodzących się i żyjących w mroku. Ognisko było zalane wodą, a węgle, opalone gałęzie i popiół rzucone w chaszczę. Dół ze skarbami zasypano wydobytą ziemią i przywalono kamieniami, a wśród nich urządziły nowe legowisko spłoszone węże, brunatne skorpiony i chyże skolopendry.

Poszukiwacze skarbów byli już daleko, przedzierając się przez las i dążąc na północ. W okolicach Sebbana marabut ze swoim towarzyszem przekroczyli granicę hiszpańską i wtedy zaczęli, kryjąc się w górach, posuwać się na wschód, aż ogarnęły ich spadki pierwszych odnóg grzbietu Riff.

Tu wrzała już wichura wojenna. Szalony Abd el Krim zerwał walecznych górali Kabilów z ich skalnych gniazd, z niebotycznych pastwisk i dzikich wąwozów, dał broń w ręce i rzucił w serca wojowników gorące pragnienie zemsty nad przybyszami, co byli niegdyś niewolnikami potężnych emirów Mahrebu, władców, co przychodzili z głębin pustyni, z bezgranicznych przestrzeni stepów i z uwieńczonych śniegami i chmurami gór Wysokiego Atlasu.

Po wsiach i kasbach podróżnicy znajdowali tylko starców, kobiety i dzieci, lecz i ci milczeli ponuro, patrzyli surowo i nieprzychylnie, a po nocach wieźli dokądś wory z mąką, suche placki, mięso i sól.

Marabut jednak odwiedził jakąś wielką „zauja”,<sup>56</sup> gdzie mokkadem dał mu przepustkę, z którą podróżowali dalej wygodnie, ponieważ spotykano już ich uprzejmie i z zaufaniem.

Przejeżdżając przez duże wsie widzieli formujące się wojska powstańcze. Zdziwiła ich duża ilość cudzoziemców i muzułmanów z innych krajów. Byli oni instruktorami, nauczycielami Kabilów i wprawiali górali Riffa do wojny z Europejczykami.

Szorf ben Ihudi zostawiał w różnych miejscach, gdzie były większe zgromadzenia powstańcze, jakieś listy i jechał dalej, tajemniczy i milczący.

---

<sup>56</sup> Zauja – meczet, należący do sekty lub bractwa religijnego.

Ras domyślał się, że marabut przewoził i dostarczał listy od wodzów niepodległych lub niezadowolonych z sułtana szczepów z francuskiego Marokka do Abd el Krima, lecz milczał i nawet rad był w głębi duszy, że coś się robi przeciwko rumani, którzy rękoma kaida Glaui złamali jego życie i rozłączyli z ukochaną kobietą.

Wreszcie wszystkie listy zostały doręczone i marabut szybko posuwając się zaczął na południe ku granicy francuskiej. Szorf ben Ihudi jechał, kierując się znakami jednej ze swoich tabliczek, aż trafili do wąskiego i głębokiego jaru z kilku czarnymi czeluściami grot w jego spadkach. Tu, wśród zwałów skalnych, podróżnicy rozbili swój namiot i zaczęli poszukiwania.

Marabut z Rasem przetrzasnęli wszystkie jaskinie, aż w jednej znaleźli znaki, podobne do tych, które były wyrznięte na tabliczce. Tu zaczęli dziobać ziemię kilofami i ciąć swymi rydlami, aż doszli do innej groty, widocznie niegdyś rękoma ludzkimi umyślnie zasypanej ziemią, gliną i drobnymi odpadkami skał. W jaskini tej, dokąd długo a bezskutecznie starali się przedostać, bo nie mogli w niej narazie oddychać i pracować, gdyż świece w latakach gasły, znaleźli znaczny skarb. Był to dość duży gliniany dzban z kartagłńskimi znakami i rysunkami, do połowy napełniony złotym proszkiem. Poszukiwacze wynieśli z jaskini także dwie kamienne płyty, pokryte rysunkami i niezrozumiałymi napisami.

Gdy marabut, siedząc w namiocie, dzielił złoto, usłyszeli w wąwozie szczęk podków i po chwili kilku jeźdźców otoczyło poszukiwaczy. Nie pomogła przepustka, pokazana przez Szorfa. Marabutowi i Rasowi związano ręce, wsadzono na muły i odstawiono do wielkiego obozu.

Stawiono ich przed człowiekiem o okrągłej, zawziętej twarzy, czarnych oczach i okazałej postaci. Był to Abd el Krim, wódz powstańczych Kabilów, walczących z Hiszpanami. Po krótkiej rozmowie z marabutem, wódz zamknął się z nim w jednym z domów i długo naradzali się. Gdy marabut wyszedł od Abd el Krima, żołnierze natychmiast zdjęli więzy z rąk górala i zaprowadzili obydwóch do wielkiej szopy, gdzie ich nakarmiono i ulokowano.

W dwa dni po tym wypadku poszukiwacze jechali już swobodnie, kierując się na Fez, stolicę francuskiego Marokka.

– Zabrali nam nasze skarby! – rzekł z westchnieniem Ras, gdy minęli granicę Riffu. – Zbóje!

– Oddadzą, nie bój się! – zawołał marabut. – Bądź dobrej myśli, synu!

Jechali długo, aż ujrzeli w oddali strzelające ku niebu minarety dużego, białego miasta, otoczonego ciemnozieloną ramą roślinności.

– To Fez el Bladi, gród świętego sułtana Mulej Idrissa el Azhar! – zawołał marabut i zsiadłszy z muła jął bić pokłony do ziemi, powtarzając słowa wielkiej modlitwy:

– *Bismi Llahi Rahmani r Rahim u uali Mulej Idriss el Azhar alem, sidi ed mumin.*<sup>57</sup>

Modlił się też i Ras, gdyż wiedział, że oto tam w kotlinie, wśród drzew oliwnych, w ramie zielonych gór, uwieńczonych starymi basztami, leży najwspanialsze miasto Mahrebu, stolica wślawiona mądrymi i potężnymi władcami, słynnymi na cały świat muzułmański i zasłużonymi przed Islamem ulema; najwybitniejszymi artystami i majstrami; siedziba bogaczy, wodzów, świątobliwych kapłanów, pieśniarzy; marzenie sułtanów wszystkich dynastii, wiedzących, że Fez, Fez el Bali, to perła, to diament w koronie władców Marokka, wielki sztandar wiary i nauki, kolebka Koranu, przyniesionego tu przez Idryssydów, potomków Alego, zięcia Wielkiego Proroka, ognisko potężnych zamierzeń i niegasnącej nadziei polityków arabskich i berberyjskich.

---

<sup>57</sup> W imię boga miłościwego i miłosiernego, i świętego Mulej Azhar, nauczyciela i pana wiernych.

Słońce jeszcze nie chyliło się ku zachodowi, gdy przez starożytną bramę Bab el Maruk wjechali do miasta, przecięli je i w dzielnicy Medina stanęli w dużym „dar”, pałacu jednego z notablów, pochodzących ze starej rodziny kejruańskiej.<sup>58</sup>

Marabut rozpoczął tu działalność podobną do tej, jaką Ras zauważył w Rabacie. W izbie Szorfa ben Ihudi znowu roilo się od gości. Uczeni ulema z medersa Bu-Anania, poważna starszyzna fezańska, sędziwi mułlowie, bogaci kupcy, prawnicy, studenci „tolba”, meskini i jakieś nieznane postacie, zawsze szczelnie otulone burnusami, przychodziły, naradzały się i wychodziły w milczeniu i w tajemnicy. Niewolnicy wyprowadzali gości podziemnymi przejściami na ciemne zaułki przez boczne, starannie ukryte drzwiczki w grubych murach lub w fundamencie domu, gdzie przechodziła „seguja”, czyli kanał.

Góral kilka razy spostrzegł, przez nie dość starannie zamknięte drzwi pokoju marabuta, że Szorf ben Ihudi przed każdym z przychodzących do niego gości, odsłaniał prawe ramię, coś pokazywał, a wtedy odwiedzający go człowiek, skłaniał się przed nim, aż do ziemi i całował go w połą płaszczą. Góral długo przemyślał nad tym, aby ujrzeć z bliska ramię swego towarzysza. Udało mu się to niespodziewanie. Marabut zawołał go pewnego razu i prosił, aby ogolił mu głowę i dopomógł przy wdzwianiu nowych szat, ponieważ Szorf ben Ihudi wybierał się z wizytą do ulema jednej z medersa.

Wtedy to Ras spostrzegł na ramieniu marabuta wydrapany, jeszcze czerwony i ropiejący się wyraz:

– *Alam akhdar...*<sup>59</sup>

– Święta wojna? – zapytał drżącym głosem góral.

Marabut drgnął i zmarszczył brwi.

– Może być... może być... – szepnął po chwili. – Ale na Allacha, jeżeli ci życie miłe – milcz! milcz!

– Rozumiem, sidi! – rzekł Ras. – Lecz gdy zielony sztandar będzie już powiewał, powiedz mi, bo chcę walczyć i zemsty dokonać!...

– Dowiesz się, synu, sam! – szepnął marabut. Bo będzie to godzina burzy, co grzotem i piorunami spadnie na głowy niewiernych! Czas już nadchodzi!...

– *In cza Allah!* – odpowiedział Ras, całując Szorfa w rękę.

– *Hau Llahu elladhi la ilaha illa hua*<sup>60</sup>! – rzekł natchnionym głosem marabut, podnosząc oczy ku niebu. – On, Wielki i Sprawiedliwy tego chce! Allah el Hadi, Allah Malik el Mulk<sup>61</sup> woła do czynu wszystkich wiernych od krańca do krańca ziemi!

Więcej o tym nie mówili, lecz Ras padł przed marabutem na kolana i rzekł:

– Zdrowie swoje, swoje szczęście, swoje życie oddaję wielkiej sprawie, tak niech mi dopomoże Allah!

– Słyszał on przysięgę twoją, synu, i da ci pocieszenie tu, na ziemi, czy tam, w obliczu swoim, bo Allah jest el Dzebbar i el Muhyi.<sup>62</sup>

Ras odwiedził z przepychem wzniesioną świątynię, gdzie stał grobowiec patrona Fezu – sułtana Mulej Idrissa, założyciela miasta. Tu modły zaniósł gorące o powodzenie sprawy, która miała wywyżżyć Islam nad wszystkie inne nauki, przywrócić starodawną tradycję Hadith, a z nią razem przywrócić jemu, niegodnemu niewolnikowi Allacha, marnemu słabemu robakowi – prawo do wolności, życie, miłość i szczęście.

<sup>58</sup> Kejruan – miasto w Tunisji, skąd przybyły do Fezu najstarsze rodziny, po których przyszli Maurowie andaluzyjscy.

<sup>59</sup> Zielony sztandar – znak „świętej” wojny muzułmaninów z „niewiernymi”.

<sup>60</sup> Ten, poza którym nie ma innego Boga. Werset Koranu w klasycznym języku arabskim, czyli „lughu” (boska mowa).

<sup>61</sup> Allah Wódz, Allah Król królów.

<sup>62</sup> Wszechmocny i dający znartwychwstanie.

Od tej chwili Ras nie opuszczał nigdy marabuta, był ciągle przy jego drzwiach jak najwierniejszy niewolnik, jak pies łańcuchowy, gotów na pierwsze zawołania obronić swego pana i wykonać najtrudniejsze i najniebezpieczniejsze polecenie bez namysłu i bez obawy o swoje własne życie i o swój los.

Dziesiąty dzień już mijał od chwili przybycia do Fezu, gdy marabut skinął na Rasa i szczelnie zamknął za nim drzwi.

– Słuchaj, Ras ben Hoggar! – zaczął szeptać do niego, ściskając go za rękę. – Sprawy idą dobrze! Wieść o świętej wojnie szerzy się jak wezbrany potok w głębokich podziemiach. Lada chwila wyrwie się na powierzchnię ziemi, a wtedy nikt go już wstrzymać nie zdoła! Wielki wódz Abd el Krim dał mi zlecenie, abym się rozmówił z tymi, którzy dadzą hasło i poprowadzą szczepy i tłuszczyę miejską na „boże dzieło”. Lecz to nie wszystko! Najtrudniejsza robota przed nami!

– Mów, rozkazuj, sidi, spełnię wolę Allacha, wodza i twoją! – zawołał Ras.

– Kalif Abd el Krim ma wrogów bez liku – ciągnął – więc są tacy ludzie, którzy nie chcą jeszcze uznać go za wodza i za kalifa. Abd el Krim polecił mi wynaleźć stary buńczuk sultanów Saadien, najstarszych szeryfów w Mahrebie. Musimy szukać go w Marrakeszu, w zburzonym przez Alauitów<sup>63</sup> meczecie, gdzie się mieszczą grobowce Saadien. Rozumiesz?

– Rozumiem, sidi! – zawołał Ras. – Kiedyż wyruszymy do Marrakeszu?

– Dziś jeszcze! Bądź gotów na południe – zakończył rozmowę marabut, otwierając drzwi.

Tegoż dnia, późno wieczorem, duży pasażerski autobus przybywszy do Marrakeszu wyrzucił ze swego wnętrza tłum Berberów, a wśród nich Szorf ben Ihudi i Rasa ben Hoggar. Pozostawiając na dawnym mieszkaniu swoje rzeczy, towarzysze wyszli na miasto i skierowali się w stronę Dar el Mahzen, a właściwie w stronę labiryntu uliczek w kasbie, znacznie zburzonej przez sultana Alauita – szalonego Mulej Izmaïla.

Po drodze Szorf mówił do Rasa:

– Mieszka tu gdzieś jeden meskin, który zna wszystkie zakątki panteonu władców Saadien. On nam dopomoże, bo należy do sekty Ajssaua,<sup>64</sup> która jest w porozumieniu z wielkim wodzem.

– Jak się nazywa ten meskin? – spytał góral.

– Imię jego jest Hassan el Mekki – odpowiedział Marabut.

– Znam starego Hassana! – zawołał Ras. – Wiem, gdzie mieszka kulawy, ślepy na jedno oko meskin. Bywałem u niego często, gdy pracowaliśmy tu z Soffem, zaklinaczem. Pokażę ci, sidi, norę Hassana el Mekki... Chcę cię jednak zapytać, sidi...

– Mów!

– Dlaczego wielki wódz życzy sobie mieć buńczuk władców Saadien?

– Stara to tradycja! – odpowiedział Szorf ben Ihudi. – Buńczuk ten został przywieziony szeryfom Saadien ze Stambułu od kalifa prawowiernych, jako oznaka, że Saadien są prawdziwymi szeryfami i mają prawo na kalifat, gdyby przerwała się linia kalifów stambulskich. Gdy teraz padyszacha na tronie tureckim już nie ma, ten buńczuk w ręku Abd el Krima da mu prawo do kalifatu i do naczelnego dowództwa w razie świętej wojny...

– Rozumiem... – szepnął Ras. – Powinniśmy znaleźć ten buńczuk!

– Będziemy go poszukiwali – kiwnął głową Szorf.

Wkrótce odnaleźli barłóg żebraka i razem z nim skierowali się ku panteonowi szeryfów.

<sup>63</sup> Alauit – dynastia, która zwalczyła szeryfów Saadien.

<sup>64</sup> Ajssaua – religijne bractwo muzułmańskie, założone w 17 wieku przez proroka Ajssaua (Jezusa), stanowi ono potężną organizację. Z nią się liczą nawet sultanowie, bo Ajssaua przyjmuje udział we wszystkich zaburzeniach politycznych.

Wszystkie wejścia do niego były jednak zamknięte, gdyż godzina była późna. Jednak Hassan, mrugając zdrowym okiem, poszedł do bramy i zaczął mocno kołatać i wołać na odźwiernego.

– Wszyscy stróże wyszli z domu – rzekł nareszcie. – Nikogo nie ma. Dobra nasza! Przejdziemy inaczej.

Doprowadził marabuta i Rasa do koryta kanału, biegnącego przez całą kasbę.

– Idźcie tym łożyskiem przeciwko prądowi! – rzekł. – Ujrzycie podziemne przejście, którym płynie kanał, i tą drogą dostaniecie się na podwórze meczetu.

Towarzysze posuwali się korytem prawie wyschłego potoku i doszedłszy do podziemnego kanału, nisko schyleni szli dalej, czując, jak ze sklepienia kapie na nich woda i z cichym szmerem zrywają się spłoszone nietoperze.

Po kilku minutach wyszli na podwórze meczetu. Skradając się zwiedzili całą świątynię, świecąc sobie latarkami. Minęli w milczeniu dwie sale z resztkami posadzki, niegdyś marmurowej, z kupami gruzów po kątach, z oknami rzeźbionymi w gipsie przez wprawnych majstrów andaluzyjskich, lecz pozbawionymi od dawna swoich barwnych szkieł, po których pozostała tylko oprawa z ołowiu. W tych mrocznych salach przy blaskach latarni połyskiwały złożone przed wiekami sufity, zdobne w zwisające stalaktyty z rzeźbionego cedrowego drzewa, jeszcze roztaczającego miłą woń żywicy; białe duże płyty gipsowe z misterną koronką liter, składających opis życia i czynów sułtanów Abu Abd Allah El Kaim i Abu El Abbas El Mansur, który sławą nieśmiertelną okrył całą dynastię Saadien. W ciemnych zakątkach gdzieniegdzie wyrastały z ziemi małe marmurowe grobowce dzieci królewskich, a było ich wszędzie dużo, chociaż z czasem pozostał z nich tylko odłamek kamienia lub cegły fundamentu. Nareszcie dotarli do głównej nawy. Tu zatrzymali się w zdumieniu i zachwycie. Nie wiedzieli, co mają począć ze sobą – modlić się, łkać nad kimś lub nad czymś, co przeminęło bezpowrotnie, w rozpaczy łamać ręce lub chwalić Allacha, który w mądrości swej posłał ludzkości śmierć, bo echa jej budzą w sercach rzewne odgłosy, wdzięczną pamięć i chęć do życia pięknego a pełnego czynu.

Wszedłszy do panteonu, ujrzeni las kolumn, ginących wysoko pod sklepieniem, gdzie zapalały się i gasły złote błyski na ostrych kantach i drobnych płaszczyznach rzeźb. Kolumny majestatyczne i szlachetne w swych kształtach stały w świetle latarek jak białe i majaczące widma, zastygłe w starym marmurze z Karary. Małe chyże iskierki i świetlane smugi połyskiwały na nich, gdy padały na marmur promienie światła, a z tyłu czaił się mrok tajemniczy i przejmujący i cisza, przerywana cykaniem nietoperzy i szmerem snujących się śród gruzów szcurów.

Ani marabut, ani Ras ben Hoggar nie wiedzieli, za każda z tych kolumn była pomnikiem... – pomnikiem ocalonego życia, ponieważ szeryfowie Saadien za każdą kolumnę płacili Włochom pięć miar cukru i pięć niewolnic chrześcijańskich, pędzących ciężkie i poniżające życie w kasbach i osadach Wysokiego Atlasu.

Śród kolumn, w prochu i kawałkach odpadającego marmuru, gipsu i cedru stały grobowce szeryfów. Na pozostałości marmuru padały niepewne blaski latarek, a wtedy występowały – napisy, znaki i misterna, artystyczna rzeźba, wykonana dłutem chrześcijańskich niewolników z Sycylii, Sardynii i Italii. Niektóre z grobowców tonęły w gęstym cieniu, rzuconym od kolumn.

Szeregi niskich, zapadłych już lub przysypanych do połowy sarkofagów – dużych, pod którymi spoczywały prochy władców i ich żon, małych – przechowujących srebrne trumienki sułtańskich dzieci, zrodzonych przez ukochane żony i ulubione niewolnice, zalegały całą nawę. W jednej ścianie był wykuty, niby w skale, „mihrab,”<sup>65</sup> na innej – tablica gipsowa z historią któregoś z szeryfów...

---

<sup>65</sup> Mihrab – niewielka nisza, gdzie staje mułła, czytający Koran.

Wszędzie były w oczy pustka, zaniedbanie, wilgoć i niewdzięczność ludzka, niewdzięczność podła, rabia, ohydna...

Marabut ochłonawszy z pierwszych wrażeń chodził po panteonie, dotykał drżącymi rękoma kolumn, fundamentów, ścian i nawet grobowców, lecz kamień, co przetrwał wieki, był jednolity i nieruchomy jak skała, jak granitowa opoka, na której wznosił się gmach historii, tradycji i zaczarowany gród legend i baśni Mahrebu.

Przed północą towarzysze powrócili do domu zmęczeni i zawiedzeni w swych nadziejach, lecz mimo to pełni jakiegoś niepojętego, cichego smutku, kojącego rozrzewnienia i wdzięczności za przeżyte chwile niezapomnianych wrażeń.

– Co będziemy teraz robili? – spytał marabut Rasa.

– Przyrowadzę do ciebie, sidi, jutro Hassana – rzekł góral. – Musicie się naradzić!

Istotnie nazajutrz jednooki i kulawy meskin przyszedł i wysłuchawszy marabuta padł mu do nóg, i szybko opuścił dom.

Hassan powrócił w dwa dni później z jakimś nieznanym Berberem. Rasa nie było o tej porze w domu, gdyż odwiedzał znajomych pieśniarzy, meskinów i zaklinaczy węzów. Po długiej naradzie z marabutem, żebrak z nieznanym człowiekiem odeszli, odprowadzani błogosławieństwami Szorfa.

Wkrótce po ich odejściu, gdy marabut w swojej izbie modlił się, gdyż muezzin z pobliskiego minaretu wołał wiernych o zachodzie słońca do obcowania z Allachem, wpadł Ras.

Był błydy, drżący na całym ciele, a miał tak straszną twarz i taką rozpacz w oczach, że marabut porwał się z kobierca i zawołał:

– Co ci jest? Mów prędzej!

Z głośnym, pełnym strasznego bólu krzykiem Ras upadł na podłogę, zaczął się wic, jak rozdeptany robak, drapać podłogę i tłuc głową o ściany.

Od czasu do czasu wyrwały się mu głuche łkania i urywane pytania:

– Za co? Za co? Za co?

Z trudem udało się marabutowi uspokoić górala.

– Co ci się przydarzyło, synu mój, powiedz? – mówił Szorf, gładząc towarzysza po głowie i tuląc go do siebie jak małe, skrzywdzone dziecko.

Przerywanym łkaniem i ciężkimi westchnieniami głosem, Ras zaczął opowiadanie:

– Poszedłem do znajomych, aby dowiedzieć się o Soffa... U Abu Khalima spotkałem meskina, który dopiero trzy dni jak powrócił z gór... z moich gór... był w mojej kasbie i spędził tam dwa tygodnie. Opowiedział mi, że Aziza wyjechała, porzuciwszy dom... i pole... i ogród nasz... i drzewa oliwne...

Ras zaczął głośno łkać, drapać sobie twarz i wrywać włosy.

– Dokąd i po co wyjechała? – pytał marabut – i co ci mówił o tym meskin?

– O-o! mówił mi ten człowiek, że stary kadi sprzedał Azizę handlarzowi niewolników – Arabowi Saffar el Snussi...

– Jak mógł sprzedać kadi wolną kobietę? – pytał marabut.

– Podobno sama poszła do Saffara na niewolnicę!... – wybuchnął Ras. – Zdradliwa żmija, niewierna suka, jaszczurka jadowita!

Góral zaczął biegać po pokoju, gryząc sobie ręce i bijąc się pięściami w głowę.

– Mówiłeś przecie, że... – rzekł, stojąc przed nim marabut – mówiłeś, że jest dumna, śmiała i silna jak orlica? Nie może być, żeby uczyniła to bez przyczyny, dla zdrady, dla siebie samej... Nie wierzę! Coś się musiało stać, co zmusiło ją do tego.

– Ras schwycił Szorfa za rękę i przycisnął do niej usta.

– Jestem pies, jestem podły szakal!... – wołał łkając. – Skrzywdziłem Czar Azizę, radość i słońce mego życia! Dałeś mi opamiętanie, sidi, rzuciłeś promyk nadziei... Lecz cóż to pomoże teraz? Przecież Arab Saffar odsprzeda ją przedsiębiorcom, którzy handlują po miastach miłością kobiet-niewolnic... Zginie Aziza... Gdzie ją znajdę teraz... i czy mam jej



szukać teraz, gdy się stała ladacznicą, należącą do każdego, któremu się podoba i który zapłaci za nią, za jej pieszczoty, za jej miłość, za miłość mojej Czar Azizy, której ślady stóp gotów byłbym całować, dla której chciałem jeszcze godzinę temu podbić cały świat?!... O-o-o! Biada mi! Biada! Allah-Sędzia dotknął mnie karzącą dłonią swoją i nie masz już dla mnie ratunku, pociechy i zbawienia! Przeklęty jestem...

Ras padł na ziemię i tarzać się zaczął z bólu i rozpaczy.

Długo uspokajał go marabut, lecz widząc, że nic nie pomaga, i że góral odchodzi od zmysłów, rzekł poważnym głosem:

– Pozostaje ci jeszcze zemsta, synu...

Ras nagle umilkł, zaczął się i po chwili podniósł głowę i oczy pałające wpał w twarz towarzysza.

– Powiedziałeś mocne i sprawiedliwe słowa, sidi Szorf ben Ihudi! Krwawa zemsta zostanie dokonana, gdyż wielka i niesprawiedliwa krzywda spotkała mnie. Zemszczę się!... Dziś jeszcze wyruszę w góry...

Marabut opuścił głowę i zamyślił się głęboko. Widocznie ważył jakieś myśli i nie miał na nie odpowiedzi i postanowienia. Wreszcie podniósł oczy na bladą, skamieniałą w zawziętości twarz Rasa i wyszeptał:

– W Fezie, gdzie żyje cień wielkiego Mulej Idrissa, władcy i uali, wyrzekłeś, synu, przede mną i przed Allahem takie słowa: „Zdrowie swoje, swoje szczęście, swoje życie oddaję wielkiej sprawie, tak mi dopomóż Allah!”

Ras drgnął i wyraz lęku i wahania przemknął mu po twarzy.

– Powiedziałeś? – pytał marabut surowym głosem.

Góral głowę stroskaną opuścił, ręce ścisnął, aż stawy trzeszczeć zaczęły, i szepnął:

– Powiedziałem...

– Tak – powiedziałeś i słowa twoje słyszał Allah i zapisał je w księdze przeznaczenia – mówił Szorf ben Ihudi. – Słuchaj, Ras ben Hoggar, słuchaj, człowieku, którego dotknął palec Boży! Oto ja, sługa Allacha, ja – marabut, posiadający wiedzę „tassaruf”, a widzący daleko w przyszłość, oznajmiam ci, że nastał czas, abyś oddał siebie z krwią swoją, swoją myślą i swym bólem wielkiej sprawie, albowiem przychodzi godzina czynu!

Skończywszy, marabut opuścił się na posłanie i rozpoczął na nowo przerwana modlitwę, a modlił się namiętnie i żarliwie, powtarzając w przerwach gorącym szepem słowa świętego proroka El Dżilali:

– Nie sądz nas, Allah ecz Czadiel,<sup>66</sup> podług słów naszych, lecz osądź podług naszych czynów, o, Allah Ed Darr.<sup>67</sup>

Z głośnym krzykiem, niby wołaniem o pomoc i zbawienie, rzucił się mu do nóg Ras i łamiąc sobie ręce i łkając jęczeć zaczął:

– Spełnię, com zaprzysiągł... Zapomnę o wszystkim, wtłoczę na dno serca ból mój i mękę moją i służyć pójdę sprawie, bo taka jest wola Allacha-Pocieszyciela...

Łzy przerwały mu mowę i, zanosząc się od płaczu, tulił się góral do marabuta i żalił się mu na ludzi i na cały świat swoją niemą rozpaczą i wielkim poświęceniem.

Szorf ben Ihudi powstał, ręce położył na stroskanej głowie górala i rzekł natchnionym, przejmującym głosem:

– W imieniu Allacha, ja – sługa Jego, mówię ci, Rasie ben Hoggar, że prędko przyjdzie czas, gdy nieznośny ból twego serca będzie ukojony na zawsze, bo taka jest wola Stwórcy i Sędziego, starożytnie imię którego niech chwalą ludzie przez wieki i wieki od krańca ziemi i do krańca!

Długie milczenie zapanowało w izbie. Natchniony marabut i zbolały góral czuli, że w tej chwili patrzyło na nich groźne, lecz sprawiedliwe oblicze Boga, który wyznaczał drogi

<sup>66</sup> Allah Straszliwy.

<sup>67</sup> Allah Groźny.

życia każdemu człowiekowi, każdemu zwierzęciu, każdej roślinie podług prawa przyczyn i celów, wytkniętych przez niego w mądrości jego niezgłębionej.

– Wstań teraz i słuchaj, Ras ben Hoggar! – rozkazał marabut.

Ras podniósł się błady, lecz spokojny, i rzekł surowym głosem:

– Słucham ciebie, sidi!

– Opowiem ci, co dziś zaszło, gdyś był na mieście!

Marabut opowiedział towarzyszowi, że meskin Hassan sprowadził do niego Berbera, który był potomkiem Mahdi<sup>68</sup> Bassy, walczącego przeciwko dynastii Alauit. Berber twierdził, że Bassa wykradł z panteonu Saadien buńczuk kalifów i przekazał go swym potomkom.

– Ten człowiek obiecał mi i przysiągł na Proroka, że dostarczy mi buńczuk Saadien – zakończył opowiadanie marabut. – Jest on wrogiem rumani i Alauitów i sprzyja Abd el Krimowi! Za jakie trzy dni będziemy mieli buńczuk i pojedziemy do wielkiego wodza, do Riffu. Nie mogę wieść go sam! Pojedziesz ze mną, bo gdy ja zginę, ty oddasz wodzowi znak kalifów...

– Uczynię, jak każesz! – rzekł Ras i wkrótce opuścił izbę marabuta, gdyż ten zaczął pisać listy i przeglądać jakieś papiery, przyniesione przez posłańca od wodzów szczepów koczujących na południe od Tazy.<sup>69</sup>

Szorf czekał w Marrakeszu cały tydzień, aż powrócił Berber. Przyjechał na dwóch wielbłądach, obładowanych długimi wiązkami suchych liści palmowych, używanych do wypalania cegły i dachówek.

Pozdrowiwszy marabuta, Berber jeszcze raz zażądał okazania mu znaku wyciętego na ramieniu Szorfa ben Ihudi i pisma Abd el Krima, po czym wy dobył z wiązanki palmowych liści długi, zupełnie czarny drążek, nabijany srebrnymi guzami i blachami. Było to drzewce starożytnego buńczuka Saadien, buńczuka, który nieraz powiewał nad wszystkimi miastami Mahrebu, a później przechodził w ręce mahdi i innych wodzów, walczących o niepodległość szczepów górskich, lub o powrót na tron Marokka dawnych szeryfów-władców, potomków Proroka, który widział oblicze i słyszał głos Allacha Stwórcy, Króla królów i Pana wiernych.

Na końcu drążka pozostały jeszcze resztki zardzewiałego, kruszącego się od starości ostrza i kilka krótkich kosmyków włosów końskich, pomalowanych na czerwono.

Na środku drzewca stał wyrźnięty i wykładany srebrnym drutem zawity rysunek talizmanu z niezrozumiałymi imionami.

– To „El Buni”! – szepnął marabut. – Najstarszy i najpotężniejszy z talizmanów. Daje on moc nadprzyrodzoną i władzę nad życiem i śmiercią człowieka, narodów całych i państw. Przeszedł on od Berberów ze starego Egiptu, gdy tam panowali magowie, którzy pochodzili z krainy ludzi o czerwonej skórze i o włosach jak złoto.

Marabut Szorf ben Ihudi zaledwie tyle wiedział o talizmanie El Buni. Tymczasem dzieje jego były dziwne i nieraz w życiu ludów nabierał on wielkiego znaczenia. El Buni był nakreślony na lasce Mojżesza, który wykradł go ze świątyni egipskiego Ozirisa, gdzie magowie, nigdy nie ukazujący się tłumowi, ukrywali i strzegli „Księgi umarłych”; miecz proroka Daniela miał na rękojeści talizman El Buni, znaki jego zdobiły szaty Józefa, gdy był on ulubieńcem, doradcą i magiem faraona; mądry i wspaniały Salomon, król Izraela, nosił El Buni na obuwiu, gdy zasiadał na tronie, aby sędzić lud swój i rozstrzygać losy swego królestwa; prorocy i cudotwórcy wskrzeszający umarłych posługiwali się zawsze formułami tego talizmanu.

<sup>68</sup> Mahdi – wódz wszczynający świętą wojnę; arabskie znaczenie tego słowa jest „wódz doby”.

<sup>69</sup> Taza – miasto, położone na wschód od Fezu. Na południe od Tazy od szeregu lat wre powstanie, podtrzymywane przez niepodległe sułtanowi marokańskiemu szczepy, z którymi walczą Francuzi, broniący praw i władzy sułtana.

Taki skarb, ukryty w wiązance suchych liści palmowych, wieźli już nazajutrz marabut i Ras, jadąc na wielbłędach ku granicy Riffu i starannie omijając miasta i większe osady. Zatrzymywali się tylko w małych bled i w duarach koczowników i pastuchów, mówiąc, iż są pielgrzymami, dążącymi do kubby Abu Medyana el Andaloci, świętego patrona i cudotwórcy w Tlemsenie. W ten sposób posuwali się coraz bardziej na północ, aż od Tazy przedzierać się jęli wprost, jak sierpem rzucił, ku Riffowi, kryjąc się w górach przed patrolami Francuzów, posiadających tu swe „oczy”, czyli małe posterunki warowne, pomagające ludności w rozwoju uprawy roli, handlu i ogólnej cywilizacji, baczne jednak na wszystko, co się działo w pobliżu hiszpańskiego Marokka, a gotowe w każdej chwili bronić praw Francji i spokoju na terytorium swego sojusznika – sułtana Mulej Jussefa.

Dobrze znający cały kraj, a przebiegły i czujny Szorf ben Ihudi przedostał się ze swoim towarzyszem i wielbłędami przez łańcuch placówek strażniczych i już w Riffie wynurzył się na wielką drogę, gdzie został porwany przez patrole powstańcze i odstawiony do głównej kwatery wodza.

Tegoż wieczoru Ras otrzymał zwróconą mu część znalezionych i odebranych skarbów, oraz sutą zapłatę od Abd el Krima i padł do nóg marabutowi.

– Sidi! – błagał. – Uczyniłem wszystko, co mogłem, ścisnąłem swoje serce żelaznymi obręczami, zdławiłem w sobie ból, rozpacz, łzy i krzyki przekleństwa... Teraz muszę odjechać, bo inaczej oszaleję, oszaleję, sidi! Nie zaznam spokoju, aż nie pomszczę swej żony i utraconego szczęścia...

– Powinieneś ratować swoją Azizę! – rzekł marabut. – Rozumiem wszystko. Idź i niech pomoc Allacha będzie z tobą zawsze!

– Dziękuję ci z głębi mego biednego serca, dobry sidi! – zawołał Ras całując marabuta w rękę. – Będę szukał Azizy; chociażby ukryli ją pod ziemią, znajdę – żywą czy umarłą!... Sidi... sidi!

Góral zaczął słać się i chwycić drżącymi rękoma za stroskaną głowę.

Gdy uspokoił się, wsiadł na wielbłąda i ruszył w drogę. Przed nim wznosiły się łańcuchy górskie, coraz wyższe i wspanialsze, aż zaczęły wieńczyć je połyskujące lodowce, skąd zbiegał ten potok, który w swym burzliwym pędzie grzmiał i szumiał w pobliżu jego osieroconej kasby.

Wielbłąda dostał chyżego i mocnego. Był to prawdziwy „mehari,”<sup>70</sup> więc niósł jeźdźca szybko i lekko ku górom, przebiegając równiny wielkim pędem i wspinając się na góry szerokim, zamasztyłym krokiem.

W Marrakeszu, gdzie zatrzymał się na jeden dzień, znajomi meskini zrobili Rasa ślepy na jedno oko i wykrzywili mu twarz do niepoznania, pokrywszy ją szerokimi, krwawymi bliznami.

Góral jechał dalej na swoim mehari, jako bogaty kupiec, który odbywał pielgrzymkę pobożną do Mulej Brahim, oraz do kubb innych uali, uznanych przez górali Szleu i Suss. Jechał z nim stary przyjaciel – meskin Hassan na dobrym mule i wszędzie opowiadał po drodze, że wynajął go za przewodnika kupiec Reszid el Arani z Mogadoru, odbywający dziękczynną pielgrzymkę po cudownym ocaleniu od zbójów, którzy go poranili, lecz nie zdążyli pozbawić życia.

Hassan, stary włóczęga chytry jak lis i bezczelny jak każdy żebrak w Mahrebie, był potrzebny Rasowi dla wywiadu, zamydlenia zbyt ciekawych oczu i dla innych potrzeb w jego niebezpiecznym przedsięwzięciu. Wszystkie sprawy w drodze załatwiał meskin. Ras zaś z nikim nie rozmawiał, udając prawdziwego hadża, zatopionego w rozmyślaniach i modlitwie. Gdy się zbliżali do większej osady lub do zauja, Hassan zaczynał bić w tamburyn i wykrzykiwał słowa modlitwy. Wtedy wszyscy wiedzieli, że zbliża się pobożny czło-

---

<sup>70</sup> Mehari – wielbłąd rasy chowanej przez Tuaregów, koczowników Sahary, a posiadający szybszy i wytrwalszy od koni bieg.

wiek, odbywający pielgrzymkę po świętych miejscach Mahrebu, przed daleką podróżą do Mekki do trzykroć świętej Kaaby, do grobowca Wielkiego Proroka. Spotykano więc Rasę z honorami, gościnnie i z wielkim szacunkiem, prosząc go o błogosławieństwo dla dzieci i dla chorych członków rodziny.

– Jeżeli tak dalej pójdzie – rzekł ze śmiechem stary żebrak – możemy zatrzymać się na nocleg w kasbie Glai lub nawet w pałacu kaida w Tarudancie.

– Jedziemy wprost do mojej kasby – odpowiedział surowym głosem Ras, a na jego bladej skamieniałej twarzy nie zjawiał się nawet cień uśmiechu, gdyż wesołość i radość umarły w jego sercu od chwili, gdy się dowiedział o ucieczce Azizy i o swoim nieszczęściu. Powiedziawszy to, znowu utkwiał w dal, zaczerwienione od bezsennych nocy, nienawiści i niepokoju oko.

Meskin zżymał się, gdy ujrzał zawziętą twarz towarzysza, wykrzywioną rękoma wprawnych żebraków i pokrytą krwawymi bliznami, przykrywającymi jedno oko i wierzchnią wargę.

Nie chciałbym być na miejscu kadiego i tego Araba, który wykradł Rasowi żonę! O, nie chciałbym! Krew się tam poleje! – pomyślał meskin i odjechał, aby nie patrzeć na górala.

– Śmierć stoi przy tym człowieku... mrucał – Niech Allah broni mnie od gniewu tego mumena!

Tymczasem zagłębiali się coraz bardziej w góry i wkrótce wyjechali na stromy brzeg wąwozu z mknącym na jego dnie potokiem.

Meskin zatrzymał się zgubiwszy drogę. Ras natychmiast zauważył to i rzucił:

– Jedź przeciwko prądowi. Kasba stoi już blisko stąd...

Znowu umilkł i patrzył przed siebie z siłą i uporem, jakby chciał wzrokiem przebić ścianę gór i gęste zarośla tuż.

Zrobiwszy kilka zakrętów, wyjechali na obszerną polanę, łagodnie podnoszącą się schyłkami góry, pociętej kwadratami pól i ogrodów. Dalej ciągnął się duży gaj oliwny, a spoza koron drzew wyglądały mury kasby.

– Zostanę tu – rzekł Ras – ty zaś, Hassanie, jedź i dowiedz się, czy nie ma tam spahisów lub Francuzów. Jeżeli nie ujrzysz ich w kasbie, wtedy wpadnij do mego domu, każdy ci go wskaże, i dowiedz się o Azizę. Jeżeli to prawda, że wyjechała z Saffarem el Snussi, wstąp do domu kadiego, postaraj się zobaczyć z jego synem i szepnąć mu, że jego przyjaciel, Ibn Czair, spadł z konia i leży tu, prosząc go o pomoc. Idź! Nie zwlekaj!

– Bądź ostrożny, sisi... – spróbował radzić meskin.

– Idź i rób, jak kazałem! – syknął Ras, nie patrząc na żebraka.

– Mogę dostać się w ręce kaida, jeżeli tu coś się złego stanie... – skamlał Hassan.

Ras podszedł do niego i szepnął:

– Ja sam za czyny swoje odpowiem... Idź już!

Meskin wzdychając i jęcząc powlókł się w stronę kasby. Ras zjechał ze ścieżki, uwiązał wielbłąda i muła w gąszczu drzew i usiadłszy na skraju lasu w gęstych krzakach oleandrowych, czekał.

Mijały godziny, lecz nikt się nie zjawiał.

Już słońce zapadać zaczęło za góry, do wąskiej doliny spływać zaczęły cienie i wspinać się na przeciwległe spadki gór, gdy z daleka dobiegł okrzyk:

– Ibn Czair! Ibn Czair!...

Echo podchwyciło głos ludzki i długo rzucało go od skały do skały, od szczytu do szczytu.

Ras nie poruszył się i nie odpowiadał. Czekał...

Na wąskiej ścieżce wijącej się przez las zamajaczyła ciemna sylwetka człowieka idącego szybko i uważnie rozglądającego się dokoła.

Za nim szedł w oddali, czając się w krzakach, stary Hassan.

Gdy idący człowiek doszedł do kryjówki Rasa, nagle rozległ się jęk.

– Ibn Czair! Odezwij się, Ibn Czair! – wołał przybyły z kasby człowiek, wchodząc do krzaków; Hassan, ujrawszy to, wybiegł na drogę i zaczął nadśluchować. Żaden dźwięk nie dochodził go jednak. Długą chwilę stał stary meskin, wyężając słuch. Nagle drgnął, bo oto od strony lasu dobiegł go krótki urywany krzyk i – znowu zapanowała cisza.

Hassan wlaźł w krzaki i zaczął się.

Siedział w gąszczy do chwili, aż ścieżką przejechał na mule Ras, prowadząc za sobą wielbłąda.

Przebiegły Hassan dopiero wtedy wyszedł z kryjówki i pobiegł na miejsce wypadku, mrużąc:

– Muszę wiedzieć, co się tam stało i czego mam się trzymać z tym szaleńcem...

Gdy meskin wyszedł z krzaków, gdzie nastąpiło spotkanie Rasa z synem kadiego, był błydy i drżący i w wielkim popłochu zaczął uciekać w przeciwną stronę od kasby, oglądając się co chwila i kryjąc się za kamieniami i krzakami.

– On zamordował – szeptał do siebie szcękając zębami – a ja będę gnął w więzieniach za cudze winy. Na pięknego przewodnika wykierowałem się na stare lata, do dobrego trafiłem towarzysza. Nie ma co! Tfu!

Pluł, szeptał modlitwy, robił jakieś znaki magiczne i zmykał jak wystraszony szakal.

Góral tymczasem wjeżdżał do kasby i zatrzymał się przy kilku siedzących przy bramie starcach.

– Czy nie wskażecie mi domu Rasa ben Hoggar? – zapytał zmienionym głosem.

– Kim jesteś, gościu? – odpowiedzieli mu chórem.

– Jestem hadż Reszid el Araui – odparł.

– Bądź pozdrowion, czcigodny i bogobojny mumenie! – zawołali starcy. – Po co ci dom Rasa ben Hoggar?

– Przywiozłem o nim wieści jego żonie i waszemu kadiemu – rzekł Ras, słysząc jak serce gwałtownie bić mu zaczęło w piersi.

Starcy zaczęli spozierać na siebie, cicho szeptać, aż jeden z nich odezwał się:

– Żona Rasa porzuciła dom, rolę i całą chudobę i wyjechała niewiadomo dokąd z handlarzem niewolników. Kadi zaś mieszka w trzecim domu na prawo, czcigodny hadż...

– Dziękuję wam, ojcowie – rzekł urywanym głosem Ras, z trudem powstrzymując się od jęku...

– Może szanowny hadż powie nam coś o Rasie ben Hoggar, o tym, którego ściga wielki kaid! – prosili starcy.

– Ras ben Hoggar zmarł! – rzucił krótko i odjechał.

Zatrzymał się przed domem kadiego, uwiązał przy drzwiach swoje zwierzęta i zapukał. Otworzył mu stary czausz i natychmiast wprowadził do biura.

W tej właśnie chwili słońce trysnęło ostatnimi krwawymi promieniami i zapadło za góry. Muezzin z małego minareciku zaczął nawoływać do modlitwy. Gospodarz i gość, którzy nie zdążyli jeszcze powitać się wzajemnie, stanęli twarzami na wschód i zaczęli mrużać modlitwy półgłosem, wykrzykując niektóre słowa i głośno wzdychając.

Nareszcie modlitwa była skończona. Kadi zaczął witać nieznanego i prosić go, aby spoczął po uciążliwej drodze, lecz gość był ponury i odpowiadał urywanymi słowami, aż zaczął sam mówić:

– Odbywam, czcigodny kadi, pielgrzymkę po świętych miejscach w waszych górach – śpieszę się i dziś jeszcze odjadę, aby dojechać przed nocą do kubby Takerkust. Chcę ci powiedzieć, o co mnie prosił Ras ben Hoggar.

– Ras ben Hoggar? – zawołał zrywając się ze swego miejsca kadi. Sidi zna Rasa? Rasa?

– Nie znałem, lecz spotkałem go przed samą śmiercią – odparł gość.

– To Ras ben Hoggar umarł? – padło skwapliwe pytanie.

– Tak – umarł...  
– Umarł! – wyrwał się staremu kadiemu radosny okrzyk.  
– Umarł – powtórzył gość, przyciskając rękę do serca. – Przed śmiercią błagał mnie, abym wstąpił do kasby i rozmówił się z tobą, kadi: wiedział bowiem Ras, że będę przejeżdżał przez tę okolicę...

Stary znowu się zaniepokoił i patrzył pytająco na straszliwą twarz nieznanego, który tulił się w swój płaszcz, jak gdyby zimno dokuczało mu.

– Ras ben Hoggar prosił mnie – ciągnął gość – ażebym zapytał ciebie, co się stało z żoną jego i gdzie ona jest? Muszę zanieść na mogiłę Rasa odpowiedź twoją, mądry i sprawiedliwy kadi, a potem, odnaleźć żonę zmarłego i oznajmić jej, że została wdową. Przyrzekłem Rasowi przed śmiercią, że uczynię to, a przecież wiesz, że umierającego oszukać nie wolno, kadi?

Stary długo milczał, unikając wzroku nieznanego pielgrzyma, wreszcie niecierpliwym głosem rzekł:

– Wiem, że Aziza, żona Rasa ben Hoggar, opuściła naszą kasbę, lecz nie wiem, gdzie pojechała, z kim i po co. Nic nie wiem!

– Dobrze! – odpowiedział, kiwając głową gość. – Taką odpowiedź zaniosę na mogiłę Rasa. Muszę cię tylko uprzedzić, że Ras umarł w wielkiej nienawiści płonąć zemstą za jakąś wyrządzoną mu tu krzywdę. A ty wiesz, mądry kadi, że w takich wypadkach przy mogile zbierają się najzłośliwsze dżinny, które potrafią dokonać zemsty na krzywdzicielach... Tobie nic z pewnością nie grozi, bo jako kadi jesteś zawsze sprawiedliwy, lecz może masz dzieci?

– Mam syna... – szepnął kadi.

Gość zaczął kiwać z politowaniem głową.

– Bacz – rzekł poważnym głosem – aby dżinny nie zemściły się na twoim synu!

Umilkli obaj i ciężka cisza panowała długo, wreszcie gość powstał i rzekł:

– Czuję walkę w twym sercu, kadi, i rozterkę w myślach twoich. Nie chciałbym być tym, który mimo woli rzuci na dom twój nienawiść i zemstę straszliwych dżinnów... Nie chciałbym!... Widziałem tu niedaleko kubbę. Będę tam odmawiał modły, a gdy wszystko się uciszy w kasbie, a ty zdołasz uporać się ze swymi myślami, przychodź do kubby i przynieś mi stanowczą odpowiedź! Ostawaj w spokoju, starcze!

Niezajomy zawiązał się szczelniej w burnus, wyszedł z domu i odjechał, pozostawiając kadiemu w wielkiej niepewności i trwodze. Chciał się narodzić z synem, lecz ten nie powracał, chociaż noc zapadała szybko.

Kadi chodził po izbie, tarł czoło, mruzczał do siebie, a myśli pełne niepokoju dręczyły go.

– Umarł w nienawiści... złe dżinny – szeptał drżącymi ustami, oblewając się potem. – Kara od dżinnów zemsty... To straszne!

– Czy mam zamykać bramę kasby? – zapytał czausz, wchodząc do biura. Kadi odpowiedział po chwili namysłu:

– Daj mi klucze! Zamknę sam, bo będę czekał na syna.

Jeszcze czas jakiś starzec chodził zamyślony po izbie, aż narzucił na siebie ciepły burnus i stanowczym krokiem wyszedł z domu.

Istotnie sam zamknął bramę, lecz od zewnątrz, i poszedł w stronę kubby, stojącej za oliwnym gajem. O syna nie bardzo się troszczył w tej chwili, gdyż wiedział, że młodzieniec znał wszystkie wyłomy w murach i prześlizgnąłby się o każdej porze do kasby, co też nieraz czynił, powracając późno z polowania lub dalekich konnych wycieczek z towarzyszami.

Gdy zbliżył się do kubby, nieznajomy nagle wyrósł przed nim i starzec nie zdołał jeszcze ochłonąć z powodu niespodziewanego zjawienia się gościa, gdy ten chwycił go za gardło, ścisnął twardymi palcami i syknął:

– Mów wszystko, inaczej zginiesz, stary psie! Trzymając swoją ofiarę za gardło, Ras wysłuchał całej sprawy o Azizie od chwili, gdy on sam uciekł z domu.

– Taką niewiastę sprzedałeś Saffarowi ben Snussi? – groźnie zapytał Ras. – Gdzie mieszka handlarz niewolnikami? – Komu je sprzedaje?

– Mieszka w Konstantynie, w Algerii – ledwie dysząc, odpowiedział zdławionym głosem kadi. – Mówił mi, że sprzedaje niewolnice tamże...

– Dość! – zawołał Ras, puszczając starca. – Słuchaj teraz, ty psie zdrażliwy, sędzio, popełniający zbrodnie. Widzisz przed sobą dżinna Rasa ben Hoggar, dżinna, co przybrał kształty ludzkie. Mógłbym zadusić ciebie jak gada, lecz chcę, żebyś mękę wielką przeżył – taką, jaką przecierpiał Ras. Będziesz wkrótce i już do końca dni twoich, starcze, opłakiwał syna, bo on nigdy już nie powróci do domu swego ojca. Nigdy! Teraz milcz o wszystkim, jeżeli nie chcesz, żeby cię znaleziono uduszonego na skrzyżowaniu dróg i pogrzebano w „kbor mensi”.<sup>71</sup> Pamiętaj! Gdy byłem w kasbie, nie chciałem rzucić okiem na dom Rasa, bo wtedy rozszarpałbym cię jak stary, znoszony worek, z dymem puściłbym całą wieś, krew bym waszą pił za krzywdę, którąście wyrządzili waszemu człowiekowi, synowi waszego przyjaciela, towarzyszowi waszych młodzieńców, wy – psy zdrażliwe, hieny podstępne! Idź! Idź!

Ras kopnął starca z całej siły, a ten potoczył się z pochyłości pagórka, zdjęty lękiem bezgranicznym i rozpaczą.

Gdy ujrzał, że straszny napastnik wsiadł na wielbłąda i odjechał, kadi wstał i pobiegł ku kasbie, szepcząc:

– Synu mój! Synu mój!...

Szept ten przeszedł w jęk i rozpaczliwe wołanie, którym odpowiadały swym łkaniem szakale w górach i ponurym krzykiem puhacz, zwiastun nieszczęścia.

---

<sup>71</sup> Zapomniana mogiła, która, podług zabobonu berberyjskiego, staje się siedzibą złych duchów, ścigających całą rodzinę pogrzebanego w niej człowieka.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### W sidłach

Saffar el Snussi, czterdziestoletni Arab, wysoki, silny i piękny mężczyzna, należał do tej kategorii ludzi, którzy żyją z ludzkiej nędzy, nieszczęścia i łez, jak żyje pasożyt na schorowanym ciele opuszczonego przez wszystkich człowieka. Mieszkał w Konstantynie, ponieważ tu ciągnęły tłumy koczowników z okolic Biskry i Tugurtu, wieśniacy z dalekich bied i Berberowie różnych szczepów, nie posiadający ani domów, ani stad, a obarczeni licznymi nieraz rodzinami. Wszyscy jechali do Konstantyny, gdzie można było znaleźć pracę u Francuzów przy budowie gmachów rządowych, wodociągów, mostów, przy naprawie toru kolejowego, szos i bruków ulicznych lub też na roli, należącej do bogatych Arabów i kolonistów francuskich, hiszpańskich i włoskich. Poza tym Konstantyna od dawna stała się wielkim targowiskiem ludzkim, gdzie zawsze istniał popyt na siłę ludzką i na ciało ludzkie. Tu nietrudno było, pomimo władz francuskich, sprzedać syna lub córkę na niewolników i cieszyć się później, że chłopak, pięknie przystrojony, gra w orkiestrze kawiarnianej, a córka półnaga, ozdobiona pstrymi, jedwabnymi szmatkami i srebrnymi klejnotami, miota się w wyuzdanych tańcach po spelunkach nocnych.

W tym zbiorowisku ludzi głodnych a szukających zarobku, Saffar el Snussi czuł się jak ryba w wodzie. Jego niewolnicy wypatrywali po fundukach i zajazdach, na ulicach i na rynku piękne kobiety, przybywające ze swymi mężami i ojcami z głębi kraju i donosili swemu panu. Ten zaś umiał bardzo prędko zaplatać w swoje sidła niedoświadczone a zawsze głodne ofiary, czarował je obietnicami i słodkimi słowami, kusił podarkami i ogłuszał dźwiękami srebrnych, a nieraz nawet złotych monet.

Kilka razy do roku w obszernym domu Saffara skupiała się tak wielka ilość kupionych przez niego kobiet, że sam sułtan mógłby pozazdrościć mu tak pięknego haremu. Trwało to jednak niedługo i niewolnicy Saffara w parę dni rozrzucali ten tłum kobiety po całej Algerii, Tunisie, Marokku i Egipcie, rozwożąc je pociągami, autobusami lub karawanami.

Nieraz, gdy handlarz otrzymywał jakieś tajemnicze a bardzo korzystne polecenie, wyjeżdżał sam na poszukiwanie towaru „najlepszego gatunku”. Jeździł zwykle na południe Algerii: tam przebywało plemię Uled Nail, gdzie wszystkie dziewczyny są tancerkami i śpiewaczkami, chętnie sprzedającymi swoje pieszczoty za złoto, aż się wzbogacą i staną się wiernymi żonami mężczyzny ze swego szczepu; tam, wśród Bu-Saada, Beni Sidi Ibrahim i innych szczepów i rodów, Saffar wynajdywał prawdziwe hurysy cudownej piękności i wiozł je do swego domu, aby odsprzedać komuś innemu, tak jak się odsprzedaje rasową owcę lub kozę.

Istniało też jeszcze jedno miejsce, dokąd nieraz zaglądał Saffar el Snussi. Były to wsie i kasby, rozrzucone w Wysokim Atlasie. Dlaczego przyjeżdżał tu handlarz niewolnicami?

Saffar znał obyczaje i życie górskich szczepów. Wiedział przebiegły i przedsiębiorczy handlarz, że górale Szleu i Suss są ludźmi niespokojnymi, nie mogącymi pogodzić się z nowymi warunkami życia, z koniecznością porzucenia dawnego zawodu wojowników, myśliwych i bandytów, a przejścia na rolę. Górale ciągle pozostawali w ruchu. Jedni błą-



kali się po górach ścigając muflony, jelenie i pantery, drudzy szli do miast, gdzie podziwiano ich jako akrobatów, tancerzy i zaklinaczy węzów; inni znowu wyjeżdżali na dalekie zarobki – do Algerii, Tunisji, Francji, a nawet do Ameryki, wszędzie marząc o swoich górach, dokąd powracali czasem tylko po to, aby złożyć swe kości w ziemi ojców. Tym się właściwie tłumaczy, dlaczego po wsiach Szleu i Suss rzadko można spotkać młodych mężczyzn. Na długie lata nieraz pozostają w bled i kasbach same kobiety, stare i młode, a często, bardzo często – urocze ponętne i silne.

Śród tych porozrzucanych, nie mających żadnej opieki i obrony kobiet, Saffar czuł się wyśmienicie, działając różnymi sposobami: uwodząc łaskawymi, gładkimi słówkami, piękną twarzą, pałającymi oczami, obietnicami lub w najordynarniejszy sposób skłaniając je pieniędzmi do opuszczenia domu i wyjazdu z nim na wesołe, huczne życie bez troski i utrapień codziennych.

Saffar odwiedzał właśnie w poszukiwaniu „nadzwyczajnego” towaru Tarudant, został zaproszony do wielkiego kaida i od niego dowiedział się o „orlicy”, jak stary Glaui nazywał żonę Rasa ben Hoggar. Powracając z karawaną wiozącą kilka bardzo pięknych kobiet ze szczepu Suss, Arab zboczył z drogi i wpadł do kasby, gdzie oszołomiwszy i nastraszywszy kadiego swymi stosunkami w Tarudancie i Rabacie, nakłonił go do pomocy i dobił interesu.

Jechał właśnie teraz górskimi drogami w towarzystwie Azizy, doganiając swoją karawanę i chełpiąc się w duchu ze swego rozumu i przebiegłości. Nie zapomniał jednak opowiadać kobiecie o zmyślonych szczegółach życia Rasa po jego ucieczce z domu, wychwalając piękność, szlachetność i odwagę jej męża. Jednocześnie coraz to bliżej posuwał ku niej swego konia i, mówiąc z ożywieniem i podnieceniem o Rasie, nieznacznie przyciskał ją do siebie, obejmował jej kibić, a ona, zasłuchana i odurzona myślą, że wkrótce mają się skończyć jej troski i samotność, nie zważała na to; chwilami nawet sprawiały jej przyjemność te oznaki przyjaźni przystojnego i bogatego Saffara dla jej męża i dla niej samej. Widziała poza tym w Saffarze siłę, która wyrwie ich z toni nieszczęścia.

Przed Marrakeszem handlarz dojrzał w oddali swoją karawanę, a wtedy rzekł:

– Myślałem, że nie dogonię tych ludzi...

– Co to za karawana? – spytała Aziza.

– Jedzie tam i wiecie niewolnice zły człowiek, marny człowiek, nie mający sumienia w sercu i litości w swej piersi! Nazywa się sidi Rutem ed Khar i jest handlarzem, kupującym i sprzedającym niewolnice.

– Podły człowiek! – zawołała kobieta.

– Z pewnością! – potwierdził Saffar. – Lecz niestety musimy przyłączyć się do niego. Jechać we dwoje – niebezpiecznie... Tymczasem przysiągłem Rasowi, że dowiozę i oddam temu szczęśliwcowi jego hurysę, piękniejszą od hurys raju, jego słońce, jego „płomyk” i radość zdrową i bez żadnej przykrej przygody w drodze...

– Z tobą, sidi, czuję się jak za wysokim murem! – zawołała Aziza.

– Dziękuję ci, rozkoszy moich oczu, najpiękniejsza z najpiękniejszych, najśodsza z najśodszych, pożądana, jak zimna woda podczas skwaru w Tanezruft.<sup>72</sup>

Saffar nagle przerwał swoją pełną zachwyty i podniecenia mowę i szepnął pokornie:

– Przebac mi, piękna Czar Azizo, iż nie mogłem powstrzymać serca mego i że nie zmusiłem go do milczenia. Z pewnością obraziłem ciebie mymi słowami, ja – niegodny niewolnik twój! ...

– O, sidi – odparła zmieszana Aziza. – Jesteś zbyt dobry dla mnie, prostej wieśniaczki... Nie obraziłeś mnie, lecz zawstydziłeś słowami swymi...

---

<sup>72</sup> Tanezruft – najbardziej niebezpieczna, bezwodna część Sahary.

– Ty – prosta wieśniaczka?! – wołał handlarz. – Tyś perła promienna, jakiej nie posiada sułtan w swoim seraju. Mówiłem to, o czym i w dzień, i w nocy krzyczy moje serce od chwili, gdy cię ujrzałem, królowo, czarownico, gwiazdo miła Allahowi.

– Sidi!... – upomniała go Aziza z mimowolnym uśmiechem zakłopotania i dumy kobiecej. – Sidi...

A handlarz objął ją silnym ramieniem i przycisnął do piersi, szepcząc do ucha:

– Tyś radość mej duszy, tyś nagroda za całe moje życie, za wszystko, com dobrego ludziom uczynił. Ja samotny, smętny i opuszczony – żyję teraz na nowo... O, Czar Azizo, Czar Azizo!...

– Sidi!... Nie godzi mi się słuchać takiej mowy... – broniła się kobieta, rumieniąc się i zasłaniając sobie twarz połą burnusa.

– Wiem to! Wiem... – szeptał Saffar, mocniej tuląc ją do siebie. – Wiem, że źle, nieuczciwie postępuję wobec swego serdecznego przyjaciela! – Nie mogę jednak zapanować nad sobą! Wyrrywają mi się słowa miłości i zachwytu, jak zrywa się burza na górach, gdy niszczy całe połacie lasu, zrzuca do przepaści skały i druzgocze cyple szczytów, co przetrwały setki pokoleń ludzkich. Nie mogę! Ginę! Biada mi!

Zasłonił twarz rękoma i zaczął cicho szlochać, drżąc na całym ciele.

Milczał teraz, uspokajając się powoli. Aziza ukradkiem spoglądała na piękną twarz Araba. Tyle rozpaczy i bólu dojrzała na niej, że aż żal ścisnął jej serce kobiece. Biedne serce, jednakie u niewiast wszystkich krajów i wszystkich ludów, czy białych, czy barwnych, czy przesiąkniętych cywilizacją, czy dzikich – jednakie, gdy słowa zachwytu i nieszczęśliwej, pokornej miłości mężczyzny, przesączą swój słodki jad i zatrują serce, sumienie i myśl kobiety niepokojem i przyjaznym współczuciem dla cierpiącego, a kochającego ją człowieka.

Saffar z jękiem wymownym otrząsnął się, niby zrzucając z siebie ciężkie brzemię, wyłkniętym, pełnym skruchy wejrzeniem ogarnął całą postać Azizy, lecz natychmiast opuścił oczy i surowym głosem rzekł:

– Przynależę Rasowi ben Hoggar, że cię dowiozę bezpiecznie do niego i – dowiozę, tak mi dopomóż Allah! Przystaniemy do karawany sidi Rutem ed Khar, gdyż będziemy mieli u niego opiekę i obronę w razie potrzeby. Zapłacę mu za to hojnie... Nie mam chwili spokoju, myśląc, że może ci się coś przydarzyć. Tobie... tobie!... O, nie przeżyłbym tego!... Zasłoń twarz swoją, piękną jak oblicze hurysy Magul, którą spotkałem w lesie cedrowym Alfarabbi, wielki mistrz gry na lutni! Nie rozmawiaj z żadną z kobiet, należących do karawany, bo spali mnie płomień zazdrości... Wybacz, Czar Azizo, moje śmiałe, szalone słowa!... Oblęd ogarnął moje serce i mój mózg... Lecz zduszę w sobie uczucie, zduszę! Wybacz mi, wybacz Czar Azizo! Twoja piękność silniejsza jest od rozsądku mego... Nie będę już nic mówił, wybacz zuchwałość twego niewolnika!...

Zeskoczył z konia, przywarł ustami do jej strzemienia i łkając całował stopy Azizy, i tłukł się głową o żelazo.

– Sidi... – pocieszała go oszołomiona i wzruszona kobieta – sidi dobry i nieszczęśliwy! Nie obawiaj się, nie męcz siebie czarnymi myślami! Nie gniewam się... Żałuję, że sprawiła ci tyle bólu... Niech Allah pocieszy cię!...

– Nie ma dla mnie pociechy, gdyż prędko zgaśnie dla mnie słońce moich dni... Zgaśnie na zawsze!... – wołał w rozpaczy.

– Dlaczego? – pytała, nie rozumiejąc jego słów.

– Bo nie będę cię widział, Azizo! – wybuchnął. – Oddam cię Rasowi, a on, gdy się dowie o mojej miłości dla ciebie, stanie się moim wrogiem i zabije mnie...

– Sidi! – wyrwał się kobiecie okrzyk przerażenia.

– Tak! Tak! – mówił, łamiąc ręce. – Nie będę się krył przed jego zemstą, nie będę się bronił! Lepsza dla mnie mogiła, niż życie bez ciebie, słońca, siły i radości mojej!...

Aziza milczała, cała wzburzona i przejęta miłością tego człowieka i jego rozpaczą. Przypomniała sobie krótkie, prostackie słowa męża, jego dzikie i gwałtowne pieszczoty pana i władcy i porównywać je zaczęła do cichego bólu, słodkiego śpiewu miłosnego, błagającej pokory i zachwytu niemal niewolniczego, przepelniających przytulonego do jej strzemięcia Saffara el Snussi. Żal i współczucie dla niego coraz głębiej zapadały w serce Azizy.

– Nie rozpaczaj, sidi! – szepnęła. – Nic nie powiem mężowi, nigdy, nigdy! Nie chcę, aby on stracił takiego szlachetnego i wspaniałomyślnego przyjaciela, jakim jest sidi! Nigdy!

– Dziękuję ci, dziękuję całym porywem mojej miłości i mojej tęsknoty, lalla<sup>73</sup> Czar Azizo! – wykrzyknął Saffar, pokrywając pocałunkami jej nogę aż po kolana. – A teraz zarzuć na twarz haik i dogonimy karawanę!

Pomknęli, pozostawiając za sobą kłęby kurzawy.

Wyprzedziwszy swoją towarzyszkę, Saffar dopadł jadącego na czele karawany człowieka.

– Słuchaj, Harazem! Masz udawać przed kobietą, którą przywiozłem, handlarza niewolnikami, sidi Rutem ed Khar. Będiesz rozmawiał ze mną, jak równy z równym, i nie dopuścisz tej kobiety do rozmowy z „towarem”.

– Rozkazałeś, sidi! – rzekł schylając głowę, niewolnik Harazem.

– Słuchaj dalej! Znajdziesz chwilę i zbliżywszy się do kobiety, która przybyła ze mną, będziesz mówił jej o mojej hojności, szlachetności i potędze, a szepnij jej w tajemnicy, że jestem marabutem, i że nie lubię ciebie za to, że handlujesz żywym towarem...

– Dobrze, sidi! – mruknął Harazem, szczerząc zęby i wykrzywiając bezczelną twarz. – Będzie zrobione!

– To wszystko! A teraz przygotuj wielbłąda z najlepszym namiotem dla mojej niewolnicy.

Powiedziawszy to, Saffar zawrócił konia, lecz Harazem ześlizgnął się w tej chwili z wielbłąda, podbiegł do jeźdźcy i ostentacyjnie z wielkim szacunkiem pocałował go w poję płaszcz.

– Pierwszy hołd marabutowi... szepnął niewolnik, trzęsąc się od śmiechu.

– Wspaniale! – mruknął handlarz, z powagą dotykając ręką schylonej przed nim głowy pomocnika.

Wszystko to widziała Aziza i dziwiła się w duchu, pytając siebie, dlaczego ten zbrodniarz, handlarz ludźmi, całuje szaty Saffara el Snussi?

Arab tymczasem podjechał do niej i rzekł z pokorą w głosie:

– Wybacz mi, gwiazdo Allacha, że zmusiłem cię przebyć uciążliwą drogę na koniu! Kupiłem u sidi Rutema dobrego wielbłąda ze skromnym namiotem dla ciebie. Nie godzien on osłaniać twego pięknego ciała, lecz w drodze trudno o inny. Wybacz mi nieudolną opiekę moją nad tobą i spocznij w namiocie!

– Sidi, nawykła jestem do siodła... – odparła Aziza. – Mogłabym całą drogę odbyć na koniu, lecz, jeżeli taka jest wola twoja, pojedę w namiocie...

– Dziękuję ci „Mazur nuar”<sup>74</sup> – szepnął Saffar. – Zaraz każę pospieszyć z urządzeniem „khaima.”<sup>75</sup>

Arab odjechał, Aziza widziała jak zdjęto z jednego z trzech wielbłądów wory, rozpakowano je, wydobyto jakieś tkaniny, później ustawiono żółto-czerwony namiot, umocowano go na siodle wielbłądzim i ozdobiono wspaniałym zielonym pióropuszem. Nareszcie doprowadzono do niej wielbłąda. Zwierzę uklękło i Saffar dopomógł kobiecie wsiąść do namiotu.

---

<sup>73</sup> Lalla – pani.

<sup>74</sup> Mazur nuar – kwiat ukochany.

<sup>75</sup> Khaima – namiot.

Aziza nie mogła wstrzymać okrzyku zachwytu. Wnętrze namiotu, było przybrane jedwabnymi tkaninami, brokatelą, kobiercami z Rabatu i Kejruanu i miękkimi, bogato haftowanymi poduszkami. Gdy usiadła wygodnie, Saffar podał jej małe pudełko i nisko skłonił się przed nią, oczy, niby przed słońcem, przykrywając dłonią.

– Przyjmij to ode mnie i noś, chociaż chwilami myśląc o mnie, „ghezal”<sup>76</sup> – szepnął Saffar, z uwielbieniem patrząc na nią. – Niech nikt nie ujrzy piękności pani mego serca!

Aziza zarumieniona i zachwycona otworzyła pudełko i wyjęła z niego cudownej piękności „ltam” – białą, cienką jak pajęczyna woalkę, przetykaną srebrnymi kwiatami.

– Dziękuję ci, sidi mój! – zawołała, klaszcząc w dłonie.

Saffar nisko skłonił się przed nią rzucając na nią ostatnie błagalne spojrzenie i oddawszy cugle w ręce czarnego niewolnika, odjechał.

Aziza zapuściła poły namiotu i zaczęła się stroić, gdyż znalazła, przezornie zawieszony na łęku siodła, worek skórzany ze zwierciadłem, grzebieniami, czarną farbką dla oczu i brwi, henną jaskrawą dla ust i ciemniejszą dla paznokci dłoni i stóp, z różem i bielidłem, wonnymi olejkami, szczotkami i pędzelkami i wszystkim, czego żądać może wschodnia kobieta, żyjąca wyłącznie dlatego, aby dawać mężczyźnie radość bytu, aby mu się podobać i przywiązać go do siebie. W otwartym worze z żółtej haftowanej skóry, góralka znalazła cienkie białe koszule, wzorzyste szaty dolne, cienki burnus, bogate, haftowane złotem i srebrem pasy, obuwie i szkatułkę z klejnotami.

Handlarz żywym towarem dawał te podarki wszystkim swoim ofiarom, aby zagłuszyć w nich tęsknotę, lęk, lub wyrzuty sumienia, znając serca i myśli półdzikich istot, ciemnych, namiętnych, pustych i leniwych, jakimi są kobiety Wschodu. Nie wiedziała jednak o tym Aziza, a więc serce jej było przepełnione wdzięcznością dla hojnego i pokornego Saffara el Snussi i strojąc się myślała o pięknym a tak nieszczęśliwym, samotnym Arabie. Zdziwiła się nawet, gdy zauważyła, że od samego rana prawie nie myślała o mężu, a jeżeli wspominała o nim, to tylko po to, aby porównywać go ze słodkim w obejściu i mowie przyjacielem. Porównanie wypadło niekorzystnie dla Rasa i to gniewało Azizę i smuciło. Stroiła się jednak starannie, gdyż sidi Saffar prosił ją o to, mówiąc, że w pięknych i bogatych szatach łatwiej mu będzie ukryć ją przed możliwym pościgiem kaida, gdyż nikt w możnej i wspaniałej pani nie poznałby prostej góralki z Atlasu.

– Wydam cię za swoją żonę – powiedział jej wtedy Saffar. – Nikt nie ośmieli się wtedy podnieść twego ltam, a ja chociaż na chwilę będę szczęśliwy, nazywając cię przed ludźmi awoją żoną, o „azel”<sup>77</sup> mój najśłodszy!

Tak mówił Arab, gdy prosił ją, aby się przebrała w inne szaty i „otoczyła klejnoty piękności swojej bogatym wieńcem przepychu królewskiego, gdyż jest ona królową najpiękniejszych kobiet”.

Dobrze zapamiętała te słowa Saffara el Snussi żona Rasa ben Hoggar, a gdy mimowoli powtarzała je sobie, przejmujący słodki dreszcz i miłe osłabienie ją ogarniały.

Tymczasem handlarz jechał obok swego niewolnika Harazema i nie szczędził mu wskazówek, dotyczących Azizy.

Wreszcie Harazem zapytał ze śmiechem:

– Powiedz mi, sidi, co to za „mra”<sup>78</sup> zdobyłeś w górach? Może porwałeś żonę samemu wielkiemu kaidowi? Czy też może wieziesz nową niewolnicę sułtanowi? Powiedz!

– Głupi jesteś jak pień spróchniałego „zitun,”<sup>79</sup> Harazemie! – szepnął, bacznie się ogłędając, Arab. – Jest to wolna kobieta ze starego rodu góralskiego. Piękna jest, dumna, śmiała, tańczy jak rusalka, głos ma jak słowik bagdadzki, a pełna płomieni! Wiesz, że za

<sup>76</sup> Ghezal – gazela.

<sup>77</sup> Azel – miód.

<sup>78</sup> Mra – kobieta.

<sup>79</sup> Zitun – drzewo oliwne.

takie mra płacą drogo, ale też za to można dostać się do więzienia. Pozornie wszystko jest w porządku. Podpisała umowę, że sama dobrowolnie się zaprzedała, jednak, gdyby coś wynikło, a ona zeznała, w jaki sposób ja i kadi namówiliśmy ją do tego, nie byłoby z nami dobrze, oj, byłoby bardzo źle! A piękna jest! Hurysa, ghezał, azel, nuar, lalla Aziza, słońce i radość!!! I do tego nic za nią nie zapłaciłem!

– O-o-o! – wyrwało się niewolnikowi.

– Głupi i bezczelny jesteś, ty gruby wole! – syknął Saffar. – Nim ją sprzedam – a wezmę za nią tyle, ile zażądam – Aziza spędzi długie, czarowne, pełne uciech miłosnych noce w mojej komnacie, tej, gdzie marmurową posadzkę kryją „getifa”<sup>80</sup> gdzie nad łóżem moim połyskują w świetle przyćmionych świeczników złotogłowa, jakich nie posiada sam sułtan w Rabacie, i gdzie jak węże czołgają się w półmroku siwe strugi nardu i benzoesu.<sup>81</sup> O Harazemie, Harazemie! Powiadam ci, że takiej hurysy nie widziały jeszcze oczy ludzkie! Czyż miałbym taki skarb zostawić w ubogiej kasbie górskiej, aby czekała na swego brudnego „amazigh”<sup>82</sup> cuchnącego potem, skórą i nawozem.

– Hm! – mruknął Harazem. – Pierwszy raz ci się to przytrafiło, gospodarzu!

– Pierwszy! – szepnął Arab. – Mógłbym kazać ci postawić na brzegu tego „uedu”<sup>83</sup> duży namiot i za godzinę już Aziza stałaby się moją nałożnicą, lecz nie chcę przemocy, chcę jej miłości, chce, żeby sama tego pragnęła, bo to słodsze, bo to porywa, zmusza krew, aby żywiej i goręcej pędziła w żyłach! I tak będzie! Będzie!

– Rzekłeś, sidi! – powiedział niewolnik pogardliwie wzruszając ramionami. – Nie rozumiem tylko, po co masz czekać i zadawać sobie tyle kłopotu? Czyż nie lepiej postąpić tak, jak uczyniłeś w zeszłym roku z małą Azaghar z Rudani lub z tą figlarną Delimi z Tiznit?

– Muł nie może zrozumieć piękna i mądrości bajek „Z tysiąca i jednej nocy!” – zawołał z oburzeniem Saffar el Snussi. – Nie możesz pojąć tego, Harazemie, więc idź i działaj teraz!

– Słucham, sidi! odparł niewolnik. – Idę do namiotu twojej hurysy i będę jej śpiewał o tobie jak muezzin z minaretu.

Aziza była już przybrana i wystrojona, gdy usłyszała cichy szept przy swoim wielbłądzie. Ucieszona, że ujrzy Saffara, a on z zachwytem będzie patrzył na nią – piękną i bogato ubraną, odrzuciła połę namiotu, lecz natychmiast cofnęła się w tył.

Jakiś nieznamy człowiek stojąc przy wielbłądzie zaczął mówić:

– Sidi Saffar el Snussi posłał mnie do ciebie, gwiazdo Allacha, abym zapytał cię czy, nie potrzebujesz czego? Jestem Rutem ed Khar, właściciel karawany...

– Dziękuję, niczego nie potrzebuję! – odparła Aziza surowym, pogardliwym głosem.

– Zaniose świętobliwemu Sidi el Snussi odpowiedź twoją, lalla! – rzekł Harazem.

– Dlaczego nazywasz go świętobliwym? – zapytała zdziwiona Aziza.

– Jak to? nie wiesz? – zawołał. – Nazywam sidi Saffar el Snussi „świętobliwym”, ponieważ jest on najbardziej poważanym w Algierii marabutem. Nazwałbym go nawet świętym, bo życie jego jest jako woda źródłana, serce – wielkie ognisko, ogrzewające bliźnich, dusza – studnia mądrości, lecz samotny jest, niezrozumiany, zawsze pełen tęsknoty i zatopiony w swoich niewesołych myślach. Szlachetność jego stała się przysłowiową w całym kraju... Piękność jego pociąga do niego oczy i serca kobiet...

– Czy jest żonaty sidi Saffar? – zapytała nagle Aziza.

– Jest wdowcem... – odpowiedział Harazem. – Najpiękniejsze kobiety nie mogą zachować wstydlivosti i rzucają się mu do nóg, błagając o miłość, lecz on nie może znaleźć tej,

<sup>80</sup> Getifa – najdroższe kobierce.

<sup>81</sup> Nard i benzoes – ulubione wonności wschodnie.

<sup>82</sup> Pogardliwa arabska nazwa górali Atlasu: bydłocy jak poganiacz wielbłądów.

<sup>83</sup> Ued – rzeka.

która zapali promień miłości w jego sercu i pozostaje samotny i tęskniący. Biedny świętobliwy sisi Saffar!

Aziza westchnęła, Harazem zaś ciągnął dalej:

– Sidi Saffar jedź teraz na czele karawany i nie wiem, co mu się stało, bo łka i ręce łamie w rozpacz...

Azizy serce ścisnęło się żalnością. Milczała.

– Uwielbiam sisi Saffara – rzekł z westchnieniem Harazem – i jestem bardzo smutny, gdyż nie lubi mnie ten świętobliwy człowiek za to, że handluję niewolnicami. A co w tym złego? Święta Księga i tradycja Hadith nie zakazują tego. Kobieta, oddająca się wolnej miłości, daje największej ilości mężczyzn radość, szczęście i zapomnienie w ich ciężkim życiu, a więc spełnia wolę Allacha i ma przed nim zasługę. Nasi mężczyźni nie poniewierają kobietami nawet wtedy, gdy one trafiają do dzielnic zakazanych, jak Abd-Allah w Fezie, i nieraz szukają sobie tam żony. Ja zaś pomagam kobietom zrzucić z siebie jarzmo nędzy, brzemień ciężkich trosk i kłopotów i daję im możliwość zostać bogatymi, niezależnymi i poszukiwanymi żonami. Cóż w tym jest złego? Jaki grzech? Dlaczego mną pogardzają? Dlatego, że ja zarabiam na tym? Lecz przecież ja też muszę żyć! W moim domu trzy żony, ośmioro dzieci proszą o chleb, ubranie, obuwie... Ja – biedny człowiek, pracujący w pocie czoła! Jestem dobrym mumenem, mającym litościwe serce!... Bądź zdrowa, hurysy, i każ zawołać mnie, jeżeli będziesz czegoś potrzebowała...

Handlarz odszedł, chytrze uśmiechając się, a słowa jego zapadły do duszy Azizy. Już inaczej patrzyła na tego człowieka i na jego zawód, współczuła kobietom, którymi handlował jak zwykłym towarem. Najwięcej jednak myślała o Saffarze i oczekiwała jego przyścia. Lecz Arab nie zjawiał się. Uchyliwszy namiotu, Aziza ujrziała jego zwinną, silną postać na śmigłym, bułanym żrebcu, który rzucał się i rwał pod nim.

W Marrakeszu, gdzie stali przez dwa dni, nie widziała Saffara i tęskniła za nim, jeszcze bezwiednie, nieświadomie.

W drodze z Marrakeszu do Tazy, Tlemsenu i do Konstantyny, gdy jechali mało zaludnionymi miejscowościami, ponieważ Saffar el Snussi starannie krył się przed ludźmi i omijał miasta i wielkie osady, obawiając się władz francuskich nieprzychylnym okiem patrzących na niewolnictwo, ten starodawny, uświęcony tradycją obyczaj narodów wyznających Islam – Arab zaledwie jeden raz zbliżył się do namiotu Azizy.

Nie patrzył na nią, miał surową twarz i usta zaciśnięte, mówił suchym, prawie szorstkim głosem. Zapytał ją o zdrowie i o to, czy czego nie żąda dla siebie, i chciał odjechać, lecz Aziza zatrzymała go i zmusiła do rozmowy.

– Świętobliwy sisi gniewa się na mnie? – spytała cichym głosem.

– O, nie! – zawołał. – Walczę ze swoją miłością ku tobie, Czar Aziza, a gdy widzę ciebie przed sobą, gdy tonę w otchłani twoich oczu, płonie moje serce i błaga o miłość i pocieszenie...

Uderzył konia ostrogami i odjechał szybko, nie oglądając się.

Aziza pozostała sama ze swymi myślami, a były one rojne i niespodziewane, bo któż odgadnie i zrozumie myśli kobiety, gdy poczuje ona miłość tuż przy sobie? Łatwiej ująć burzliwy potok górski w łożysko z kamieni, niż skierować myśli niewiasty poruszonej miłością mężczyzny na drogi rozsądku...

Karawana przybyła wreszcie do Konstantyny.

Aziza ze zdziwieniem i przykrością przyznała się samej sobie, że radość prędkiego spotkania męża zbladła i przygasła. Robiła sobie wyrzuty bez końca, lecz nic nie pomogło. Oblicze Rasa w jej wyobraźni ciągle zaślaniała piękna twarz Saffara el Snussi. Czekwała na niego. Późnym wieczorem przyszedł smutny i przybity.

– Stało się nieszczęście! – rzekł drżącym głosem. – Listy gończe kaida ścigające Rasa doszły aż tu i spahisi wtargnęli przedwczoraj do mego domu, aby schwytać mego przyja-

ciela, lecz on zdołał zbiec i ukrył się w Biskrze. Znajdziemy go prędko, gdyż posłał do mnie zaufanego człowieka. Gorzej to, że ciebie także, Aziza, poszukują ludzie kaida, chcą wziąć jako zakładniczkę, wiedząc, że Ras stawi się w Tarudancie, aby zwolnić żonę. Wtedy zginiecie oboje... oboje!

Saffar zakrył twarz rękoma.

– Co zrobić? – spytała Aziza, czując, że serce jej bić przestało. – Ratuj świętobliwy sidi, ratuj!

Mówiąc to, padła przed nim na kolana i ucałowała połą jego płaszcz.

On zaś podnosił ją z ziemi, przyciskając mocno do siebie i szepcząc:

– Miłości moja, słońce, radości!...

Zamyślił się, trzymając ją w objęciach, aż zaczął szeptać:

– Dziś w nocy spahisi będą cię tu szukali... Nie mogę temu przeszkodzić... Jest jedna tylko rada Jedyna... Zostaniesz w nocy w mojej komnacie, a ja powiem, że jesteś żoną moją... moją!

Aziza drgnęła, ale słowa te nie były dla niej przykre.

– Uczynię, jak poradzisz, sidi! – odpowiedziała.

On zaś padł jej do nóg szczęśliwy i jął mówić namiętym głosem, rzucając słowa pieszczot, pociechy i miłości. Aziza spłonęła cała od mowy pięknego Araba i milczała ciężko oddychając.

– Ras ben Hoggar sam winien, że się naraził i zdradził się przed ludźmi kaida – rzekł po chwili Saffar. – Odurzył się dymem kifu wśród tancerek Uled Nail, do których uczęszczał codziennie, i nieopatrznie wykrzyknął swoje imię.

Aziza zmarszczyła brwi i błysnęła oczami.

– Uczęszczał do tancerek? – szepnęła.

– Tak! Powiedział mi o tym mój niewolnik... – odparł Saffar.

Aziza nic nie odpowiedziała, tylko nozdrza jej latały i groźnie płonęły oczy.

Znawca kobiet Saffar el Snussi podawał im zawsze w porę odpowiedni rodzaj trucizny...

Tegoż wieczoru czarne niewolnice handlarza, milczące i wytresowane, szybko ubierały Azizę, podając najpiękniejsze szaty, obuwie i klejnoty. Góralce przypominały się czasy, gdy w domu jej rodziców przygotowywano ją przed ślubem dla nocy, w której miał przybyć po nią Ras ben Hoggar.

Gdy niewolnice skończyły stroić piękną kobietę, do komnaty wszedł Saffar. Swoim obyczajem zasłonił oczy rękami i nisko skłonił się przed Azizą a później zwracając się do niewolnic, rzekł:

– Idźcie, i gdy przybędą ludzie kaida, powiadomicie mnie o tym. Teraz zaś podajcie nam kawę, słodczyce, owoce...

Skinął na nie ręką, aby odeszły, i zaczął opowiadać Azizie o życiu miejskim bawiąc ją i zmuszając do śmiechu.

Gdy pili kawę, mocną i aromatyczną, Aziza bez ustanku śmiała się z wesołych opowiadań Saffara, czując, jak bije jej serce coraz silniej i częściej i lekki zawrót głowy, słodki i obezwładniający, chwilami pozbawia ją przytomności, a wtedy wydawało się jej, że leci w jakąś bezdenną otchłań i widzi obok siebie rozpromienioną twarz Araba i jego płonące oczy.

Jak przez sen, słyszała okrzyk wbiegającej niewolnicy:

– Spahisi kaida szukają Czar Azizy!

Pozwoliła Saffarowi unieść się na rękach i czując gorąco bijące od jego piersi przycisnęła się do niej, i było jej słodko, radośnie i spokojnie.

Ujrzała we mgle bogato ozdobioną komnatę, połyskującą w łagodnym półmroku hafty, naczynia z brązu, kobierce i szerokie łóżce, oświetlone zwisającą na łańcuchach latarnią, o grubych szklach różnobarwnych.

– Moja żono, najpiękniejsza z kobiet, Czar Azizo, miła, czarująca Azizo! Za jedną twoją pieszczotą oddam ci całe swoje życie... – doszedł ją szept Araba.

Po chwili Aziza oszołomiona i bezwładna leżała na łóżu i drżała pod palącymi pocałunkami Saffara. Daremnie usiłowała zakryć nogi i piersi. Słabość coraz większa ogarniała ją, a pocałunki zapalały w jej nagim, bezwładnym ciele ten płomień, w którego wirze giną i milkną wszystkie echa, dźwięki, myśli i wspomnienia...



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### Szlakiem nędzy

Cały miesiąc, odurzając Azizę ziółkami, oszukując ją i budząc w niej namiętność wschodniej kobiety, Saffar trzymał żonę Rasa ben Hoggar w swojej komnacie, czołgając się u jej nóg, wyznając miłość, łkając i oszołamiając pieścizotami, hojnością i uwielbieniem.

Pewnego wieczoru Arab wszedł do komnaty i rzekł:

– Huryso moja! Musimy się rozstać...

Aziza podniosła się z posłania i ręce przycisnęła do piersi, gdzie biło kobiece serce – niemądre, naiwne serce, żądne zachwyty, miłości i przywiązania.

– Tak! musimy się rozstać, bo Ras przysłał po ciebie zaufanego człowieka...

– Pojadę do... Rasa? – zapytała cicho. – Cóż mu powiem teraz? Jak nazwę go swoim mężem?

Zaczęła szlochać.

Saffar zmarszczył brwi i odparł:

– Powiedziałaś mi, że nigdy nie zwierzysz mi się z tego, co się stało. Jednak, gdybyś uczyniła inaczej, niech mój przyjaciel Ras przyjeżdża tu i niech dokona zemsty. Ja bronić się nie będę! Niech mnie zabije...

Z głośnym okrzykiem rozpaczy Aziza zawisła mu na szyi, szlochając i tuląc się do Araba.

– Nie powiem nic, nigdy, chociażby żyły ze mnie wyciągał mąż! – mówiła namiętnie. – Musisz przyjechać do nas, bo już nie mogę nie widzieć twoich oczu i nie słyszeć głosu twego, który brzmi jak lutnia, panie mój, panie mój!

Zanosila się od płaczu i drżała w porywie rozpaczy, w szale rozstania, być może na zawsze.

Saffar el Snussi śpieszył jednak z odjazdem góralki, gdyż niewolnik Harazem stał już przed domem z wielbłędami, mającymi rozwieźć sprzedane kobiety po różnych miastach.

W pół godziny później Aziza w towarzystwie dwóch innych kobiet jechała w namiocie kiwającym się na grzbiecie wielbłąda i cicho płakała.

Nie rozumiała dobrze Aziza, nad czym rozpaczała – czy nad tym, że straciła prawo nazywać Rasa mężem, czy też nad tym, że rozstaje się z ukochanym człowiekiem, takim wspaniałym, pięknym i rozkochanym w niej.

Wielbłądy szły kilka dni, zatrzymując się tylko na noclegach, aż nareszcie doszły.

Jakiś stary człowiek o twarzy zoranej przez ospę kazał kobiecie wysiadać.

Aziza zobaczyła, że stoją na podwórzu fonduka, że jest tu około dwudziestu dziewczyn i że jacyś Arabowie i otyłe, obwieszane klejnotami europejskie kobiety oglądają każdą, rozdzielają całą partię na grupy i wyprowadzają na ulicę.

Do Azizy zbliżyła się jedna z cudzoziemek, obejrzała ją uważnie, uśmiechnęła się drapeźnie i wykrzyknęła niezrozumiałe słowo w jakimś obcym języku.

Kobieta wsadziła Azizę do powozu i odjechała razem z nią, ciągle coś mówiąc, czego nie rozumiała góralka. Widząc to, cudzoziemka zaczęła mówić po arabsku, kalecząc i przekręcając słowa:

– Piękna jest... bardzo piękna... Będziesz u mnie prawdziwa gitana...

Aziza nic z tego nie rozumiała. Jej góralskiej mowy Szleu nie znała gruba cudzoziemka, więc rozmówić się nie mogła. Powtarzała ciągle:

– Piękna!... bardzo piękna!... Dużo srebrnych duros mieć!... Cały worek duros!... Złote bransoletki... brylantowe pierścionki... jedwabne suknie... Piękna! bardzo piękna!...

Powóz zatrzymał się przy długim jednopiętrowym budynku ze szczelnie zamkniętymi okiennicami i czerwoną latarnią nad niezrozumiałym cudzoziemskim napisem.

Był to znany w Melilli podejrzany dom „Alkazar”, należący do senory Rita del Costagnarez.

Wprowadzono Azizę do małego pokoiku, wyklejonego jaskrawymi zielonymi tapetami, z wiszącymi na ścianach obrazkami nagich kobiet, z szerokim niklowym łóżkiem, małym stolikiem i umywalnią.

– Śliczne gniazdko... śliczne gniazdko! – terkotała po hiszpańsku czcigodna senora. – Chcieć jeść? chcieć pić?

Aziza zrozumiała, że chcą ją nakarmić i napoić, a że była istotnie głodna, skinęła głową w odpowiedzi.

Rozczochrana, obdarta Arabka przyniosła na tacy jakieś jadło i butelkę wina.

Aziza jadła nie znane jej potrawy, pełne pieprzu i octu. Krzywiła się, lecz jadła, bo głód dokuczał jej.

– Pij to wino – ochryplym, świszczącym głosem doradzała jej usługująca Arabka.

– Święta Księga zabrania pić wino – odparła Aziza. – Nie będę piła, przynieś wody.

– Głupia! – zaryczała służąca. – Tu w „Alkazarze” trzeba pić wino...

Aziza jeszcze nic nie rozumiała, gdyż nie wiedziała o istnieniu „Alkazarów” i o życiu ich mieszkańek.

Napiwszy się wody położyła się i usnęła, gdyż zmęczyła ją długa podróż na kołyszącym się wielbłądzie, w zaduchu namiotu i w zgiełku zajazdów, gdzie karawana zatrzymywała się na noclegi.

Obudziła ją sama senora Rita del Costagnarez, wystrojona w balową, wydekoltowaną czarną suknię i obwieszona złotymi łańcuchami, dużymi ciężkimi kolczykami z pereł i turkusów, broszkami i innymi świecidełkami.

Aziza przeraziła się, zauważywszy smagłe ramiona i rozrosłe, zbyt hojnie uposażone przez naturę, piersi senory, wyłaniające się z wycięcia sukni.

– Gdzie mój mąż? – zapytała.

Hiszpanka nie mogła zrozumieć mowy góralki, więc zawołała służącą. Arabka, szczerząc duże żółte zęby, wysłuchała Azizę i zaczęła tłumaczyć jej słowa po hiszpańsku. Obie kobiety zaczęły się nagle śmiać na głos, trzęsąc się i klepiąc się po biodrach. Uspokoiwszy się trochę, Arabka, pomówiwszy ze swoją panią, powiedziała:

– Mąż? Mąż twój później przyjdzie... po północy. Będiesz z niego zadowolona!... Piękny jest, hojny i możny... Każda kobieta w „Alkazarze” marzy o nim... Jest on tu – komisarzem policji.

Aziza nie wiedziała, co to znaczy – „komisarz policji”, tym bardziej, że Arabka powiedziała to po hiszpańsku, lecz góralka rozumiała, że Ras stał się bogaty i możny. To ją ucieszyło...

– Allah wynagrodził go za krzywdę, którą ja mu wyrządziłam – pomyślała z ciężkim westchnieniem.

– No, a teraz – ubierać się! – rozkazała senora.

Arabka przyniosła jakieś pstre, czerwone, żółte i zielone szmatki, które się okazały suknią cygańską, odsłaniającą ramiona, piersi i nogi wyżej kolan.

Gdy włożono na Azizę ten strój, góralka zapytała:

– Dajcie mi teraz długą koszulę, szaty dolne, burnus i haik... – Kobiety znowu parsknęły śmiechem i odeszły, rzekłszy:

– Natychmiast.

Aziza pozostała sama. Siedziała na łóżku i myślała nad tym, że ujrzy niebawem męża, że nie będzie śmiała patrzeć mu w oczy, bo nie może powiedzieć mu o Saffarze... Saffar! Przypomniała sobie jego cichy, zakradający się do serca głos, jego oczy gorejące, pokorne ukłony i pieszczoty płomienne...

Zasłoniła twarz rękoma, ciężko oddychając i płonąca cała ze wstydu i pożądania zarazem.

– Chodź, chodź! – zawołała, wpadając Arabka. – Już przyjechał!...

Aziza nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, a czując, że jedyny jej ratunek przed samą sobą, przed wspomnieniami, przed palącym wstydem jest w mężu, wypadła z pokoju, przebiegła za służącą korytarz i znalazła się nagle w dużej, rzęsiście oświetlonej sali pełnej mężczyzn. Oszołomiona zatrzymała się w świetle lamp i ich odbicia w zwierciadlanych ścianach, nie mogąc się poruszyć, jak tygrysyca, wypuszczona z ciemnej klatki na zalaną światłem elektrycznych słońc arenę cyrku.

Niby grzmot w górach wstrząsnął nią krzyk, klaskanie w dłonie i ogłuszający gwizd mężczyzn, zebranych na sali i patrzących na nią, prawie naga.

Krzyknęła i rzuciła się do ucieczki. Wbiegła do swego pokoju i blada, z bijącym niby młotem sercem padła na posłanie.

– Hańba! Hańba! – szeptała drżącymi wargami.

Próżno senora Rita i Arabka namawiały ją do powrotu na salę. Ani słowa nie odezwała się do nich, leżąc z wciśniętą głową w poduszkę, skulona i drżąca.

– No, dobrze – rzekła Arabka. – Przyprowadzimy ci męża tu, do ciebie... Może tak będzie lepiej... na początek!

Aziza zerwała się i usiadła na łóżku.

– Dajcie mi mój burnus i haik! – szepnęła. – Nie mogę spotkać Rasa bez ubrania.

– Dobrze... dobrze! – kiwnęła głową Arabka i, śmiejąc się, wyszła razem z właścicielką „Alkazaru”.

Po chwili drzwi się szeroko otworzyły i na progu stanął nieznajomy mężczyzna. Był to człowiek okazałej postawy, otyły, o piersi wypukłej, wysoki i mocny jak rozrosły dąb. Miał na sobie mundur oficera policji, order na szyi, długi, brzęczący pałasz, śmiał się wesoło i beczelnie błyskał oczami, zębami i brylantami na palcach, dzwonił ostrogami i nisko się kłaniał, patrząc na Azizę.

– Wołałaś mnie? – rzekł dobrym arabskim językiem z lekkim akcentem cudzoziemskim. – Jestem! Jak się nazywasz, piękna lalla?

Aziza jednym skokiem była już w kącie, tuż za łóżkiem. Stanęła tam zakrywając sobie pierś rękoma i patrzyła jak dzikie zagnane zwierzątko pałającymi, wylekłymi, lecz groźnymi oczami.

– Niech pan komisarz policji wchodzi! Niech wchodzi! – zapraszała, ciągle dygając przed otyłym panem, senora Rita. – Zaraz podam wino, cygara... Może czekolady? lodów?

Komisarz wszedł do pokoju i zamknawszy drzwi na klucz zbliżył się do Azizy.

– Chodź tu, mała, śliczna lalla – rzekł z uśmiechem.

Kobieta milczała.

– Masz ci na początek duro! – zawołał, rzucając jej dużą srebrną monetę i spodziewając się, że nowa mieszkanka „Alkazaru” złapie ją w locie ze zwykłym okrzykiem drapieżnej radości.

Moneta spadła z brzękiem na podłogę; Aziza zaś nie poruszyła się z miejsca, wpatrując się ponuro błyszczącymi oczami w twarz mężczyzny.

– N-no, chodź tu! – wołał pieszczotliwym głosem. – Bądź dobrą, rozumną dziewczynką. Chodź, milutka lalla!...

Wyciągnął do niej rękę i zamierzał dotknąć jej ramienia.

Aziza uskokczyła na bok i szepnęła:

– Nie ruszaj mnie, słyszysz?

– Jaka niedobra, a taka piękna, cudownie piękna kobietka! – zaśmiał się komisarz i schwycił góralkę w objęcia.

Wtedy stała się rzecz dziwna, niewytłumaczona. Oto ramiona komisarza, z łatwością obezwładniające najsilniejszych zbrodniarzy, zostały rozerwane jakąś niewidzialną siłą i opadły bez mocy i ruchu, a następnie na głowę jego spadł cios tak straszliwy, że komisarz z okropnym krzykiem runął na podłogę.

Aziza niby przez sen widziała leżącego na ziemi człowieka, ostre, pokrwawione kawałki strzaskanej butelki i ściekającą po podłodze strugę wina, słyszała krzyki i gwar tłumu, dobijającego się do drzwi, lecz po chwili oprzytomniała i znowu wcisnęła się do kąta, gotowa do obrony i oporu.

Z trzaskiem wywalily się drzwi i tłum ludzi poprzedzany przez policjantów wdarł się do pokoju. Podniesiono i wyniesiono ciężko rannego i zemdlonego komisarza i dopiero wtedy zwrócono się do Azizy. Jacyś umundurowani ludzie coś mówili do niej, nie rozumiała ich jednak i stała pochylona i zaczajona, podobna do drapieżnego zwierza, który gotuje się do rozpaczliwego skoku.

Długo broniła się Aziza, drapiąc, szarpiąc, gryząc ludzi, którzy usiłowali związać jej ręce kopała ich nogami, biła pięściami, wyrywała im włosy i nie dawała się. Wreszcie, osłabiona i wyczerpana, zemdląła, wydając krzyk taki, jaki wyrywa się po raz ostatni z piersi człowieka, zanurzającego się do otchłani, aby już nigdy nie ujrzeć światła słonecznego.

Przebudzenie góralki nastąpiło w więzieniu.

Dochodzenie i sąd trwały długo. Była to męka beznadziejna, znęcania się nad duszą i rozumem ludzkim, ohydna komedia sprawiedliwości, szalbierstwo prawa...

Opowiedziała o wszystkim, co zaszło i co doprowadziło ją do zbrodni i więzienia, lecz to, co zeznała, obróciło się przeciwko niej wobec sędziów hiszpańskich.

Mąż jej, napadający na hiszpańską karawanę, podpisanie przez nią umowy z Saffarem el Snussi, znajdującej się w posiadaniu senory Rity del Costagnarez, ciężkie rany, zadane butelką komisarzowi policji Jego Królewskiej Mości króla Hiszpanii – stanowiły szereg ciężkich zbrodni.

Aziza zaś nic nie wiedząc, że stoi przed sądem hiszpańskim, mówiła o wszystkim otwarcie, nic nie kryjąc i nic nie zmieniając.

Hiszpania nie mogła darować jakiejś berberyjskiej góralki napadu na swego urzędnika, w chwili, gdy Abd el Krim, zuchwały powstańczy wódz, śmiało marzył o wyzwoleniu Kabilów spod władzy urzędników królewskich.

Zemsta musiała być dokonana dla przykładu innych pogardzanych barwnych „dzikusów”.

Sąd skazał Czar Azizę, żonę Rasa ben Hoggar, rodem z Wysokiego Atlasu, na pięć lat ciężkich robót.

Brama więzienna natychmiast po skończeniu sądowej komedii z głuchym łoskotem zamknęła się za góralką.

Tu, w wielkiej sali, gdzie siedziały za kratami inne kobiety, tu dopiero zrozumiała Aziza, co się z nią stało. Zrozumiała też, kim był Saffar el Snussi i co uczyniła, słuchając jego namów, słów pieszczotliwych, błagań pokornych i namiętnych.

Nie mogła tylko zrozumieć, co teraz z nią będzie i co ma robić dalej.

Myślała o tym i w dzień, i w nocy, chodząc i pracując jak we śnie, przybita, zdumiona, ponad wyraz i zrozumienie, zrozpaczona, prawie obłądna.

– Ona – córka hadża, co dwakroć odwiedził grobowiec potężnego Proroka, przestała oczy swoje zwracać ku niebu, a modły i myśli ku Allahowi.

Nie śmiała, a może czuła wielką niesprawiedliwość, przed którą nie obronił jej Allah Muhaimin, Allah Hadi, Allah Adl.<sup>84</sup> Był dla niej słabej i opuszczonej – Allahem Czadid i Madhill.<sup>85</sup>

Za co?

Buntowała się w niej dusza i zrywał się szał nienawiści i zawziętości, rodzącej myśli bluźniercze i krwawe zamiary.

Odpędzała od siebie myśl o Rasie, całą siłę wspomnień wyteżając, aby ciągle widzieć przed sobą oblicze Saffara el Snussi. Namiętność zmysłów, szał upojenia, przeszedł w zacieklą nienawiść, zimną jak ostrze noża, wbijanego w gorące ciało człowieka. Gdy się z mgły minionych dni zjawiała piękna, pełna zachwytu i uwielbienia, twarz Araba, Aizza czyniła dziewięć magicznych znaków i szeptała formułę zemsty i przekleństwa.

– Aziaii! Rudiaii! Demrat i Afrit! Nar, adżaż, hanecz, ifri, demmgabor!<sup>86</sup>

Ulepiła sobie z chleba figurkę człowieka i napisała na niej imię „Saffar”. O północy podniosła się z pryczy i ukrywając się w najciemniejszym kącie, szeptała straszliwe zaklęcia „khankatirija” i po każdej strofie jego odłamywała części figurki, zaczynając od nóg i kończąc na głowie. Powinno to było spowodować śmiertelną chorobę całego ciała i śmierć człowieka, imię którego było wypisane na zniszczonej figurce. Teraz była pewna, że dzinny chorób, wezwane przez nią o północy doby spędzonej bez modlitwy do Allacha, dokonają straszliwej zemsty nad Saffarem el Snussi.

Aziza nagle się uspokoiła.

Powoli zaczęła jej powracać rozważa, zdrowa myśl, a nawet nadzieja. Zaczęła bacznie się rozglądać i nad czymś rozmyślać. Upłynęło jeszcze kilka dni, i Aziza, po raz pierwszy po długiej przerwie odnalazła „gibla”<sup>87</sup> i znowu zanosila gorące modły do Allacha, prosząc go o przebaczenie i pomoc.

Kobiety, osadzone w więzieniu, pracowały dla wojska hiszpańskiego, szyły, prały bielinę dla żołnierzy, sortowały wystrzelone naboje karabinowe piekły i pakowały do blaszank galety.

Upłynęło kilka miesięcy, gdy pewnego razu do celi, gdzie siedziało kilkanaście kobiet wraz z Azizą, wszedł dozorca więzienny i kazał wszystkim wyjść na podwórze. Wyprowadzono wszystkie pod pieczęą jednego żołnierza na ulicę i pognano przez miasto do szpitala wojskowego, gdzie kazano im myć podłogi, trzepać sienniki, koce, zamiatać korytarze i podwórze.

Gdy kobiety powracały już o zmierzchu do więzienia, żołnierz prowadził je przez rynek, gdzie tłok był znaczny, gdyż targ jeszcze trwał, a setki wielbłądów i mułów pozostawało jeszcze na placu, gdzie ładowano na nie jakieś ciężkie skrzynie.

Aziza obejrzała się na żołnierza. Ten zatrzymał się właśnie i rozmawiał z kilku piechurami, głośno śmiejąc się i paląc cygaro. Góralka przepuściła swoje towarzyszkę, udając, że poprawia obuwie, spadające jej z nóg, a później zmieszała się z tłumem Arabów i Kabilów.

Żołnierz, prowadzący aresztantki, nic nie zauważył, przeszedł spokojnie, pykając cygaro.

Aziza szybko szła przez miasto, minęła kasbę, zbudowaną na spiczastym pagórku, i wyszła na brzeg morza. Tu ukryła się wśród skał, wcisnąwszy się do głębokiej szczeliny.

<sup>84</sup> Allah Obrońca, Przewodnik, Sprawiedliwy.

<sup>85</sup> Allah Straszliwy i Poniżający.

<sup>86</sup> Duchu Północy! Duchu Zachodu! Demoni ognia, huraganu, węzów, przepaści, krwi, mogiły.

<sup>87</sup> Gibla – Kierunek na Mekkę.

Góralka spędziła na brzegu morza kilka dni, nie jedząc, trapiąca głodem i pragnieniem. Wreszcie lęk przed głodową śmiercią pogał ją do miasta.

Szła, słaniając się na nogach i kryjąc, jak mogła, twarz w łachmanach brudnego, dziurawego burnusa. Trafiła na plac przed małym meczetem i zaczęła skamlać o chleb, czepiając się nóg przechodniów. Mowa jej zdradzała jednak kobietę z obcego plemienia i Arabowie i Kabilowie ze szczepu Gelaja i Kebdana przechodzili obojętnie.

Spostrzegwszy ją, inne żebraczki otoczyły i obrzucały ją pogrozkami i przekleństwami, aż zaczęły ją bić i szarpać.

Aziza z trudem wyrwała się i uciekła.

O głodzie chodziła żona Rasa ben Hoggar jeszcze trzy dni, żywiąc się odpadkami, zbieranymi po śmietnikach zamiejskich, i z rzadka rybą, wyrzuconą na brzeg, gdy fale siwymi smugami pokrywały morze.

Kobieta zupełnie osłabła, zubożyła na ból, głód i mękę, widziała przed sobą tylko śmierć i czekała na nią jak na zbawienie. Do Allacha już nie biegły jej myśli, gdyż zrozumiała, iż Allah nie jest sprawiedliwy, nie jest wszechmocny i dobrotliwy.

Jakaś posiadająca mniej twarde od innych serce żebraczka z rynku, widząc upadającą z głodu kobietę, młodą i, mimo wyczerpania i bólu, piękną, rzekła:

– Głupia jesteś Nic nie zrobisz tu – umrzesz jak pies bezdomny! Chcesz, żeby cię nakarmiono?

– Chcę – odparła krótko i złośliwie Aziza.

– Idź do starej Ghalizat – tej, co mieszka tuż i, pod kasbą. Ona pewnie przyjmie cię, boś młoda i warta pary duros.

Aziza powlokła się we wskazanym kierunku i tegoż dnia stała się już mieszkanką arabskiego „Alkazaru”, gorszego i tańszego od zakładu czcigodnej senory Rity, lecz utrzymywanego przez Arabkę. Zdołała ona wszystko objaśnić samotnej, głodnej kobiecie i przekonać ją, że wolna miłość podług Koranu nie jest „haram”, czyli zakazana, i że kobieta, zmuszona uprawiać ją, nie może być pogardzana, szczególnie zaś wtedy, gdy dla ocalenia swego życia używa tego ostatniego środka, danego jej przez naturę i Allacha, który „uposażył mężczyznę w siłę i rozum, aby kierował życiem rodziny i narodu, niewiastę – w serce i piękność, aby dawała mu radość i zapomnienie”<sup>88</sup>.

Stara Ghalizat przeszła wszystkie stopnie kobiecej nędzy i umiała przemawiać do rozumu i serc bezpomocnych i bezbronnych mra. Długo rozmawiała serdecznie i otwarcie stara Arabka z Azizą, nie tając przed nią, lecz uciszając ostatnie błyski wyrzutów sumienia, wstydu i walki wewnętrznej.

Tejże nocy, nakarmiona, wymyta i wystrojona Aziza siedziała wraz z innymi kobietami na sali, śpiewała, tańczyła i z ponurymi oczami i zaciśniętymi ustami spełniała życzenia tych, którzy płacili za to.

Wlokły się jednostajnym trybem dni, tygodnie i miesiące.

Aziza nauczyła się już nie myśleć o przeszłości, nie marzyć o przyszłości, stępiła, zubożyła i pędziła leniwe, zwierzęce, podle życie.

Zaszedł jednak wypadek, który wzburzył zgniłą powierzchnię tego życia, obudził dawne wspomnienia i zmusił do czynu.

W domu Ghalizat zjawił się pewnego razu jakiś żołnierz hiszpański, młody, zuchwały, i okrutny. Napiwszy się wina, zaczął wyrzucać ohydne, pełne pogardy słowa i znęcać się nad Azizą. Zdarzyło się to jej po raz pierwszy, gdyż Arabowie, zwykli goście w tym domu, obchodzili się z kobietami łagodnie i nawet z szacunkiem. Gdy Hiszpan uderzył Azizę, góralka wpadła w szal. Obudziła się w niej duma kobiet jej szczepu, poczucie godności ludzkiej i niesprawiedliwości, która dręczyła ją w każdej chwili jej teraźniejszego życia,

<sup>88</sup> Słowa wielkiego marabuta Sidi el Hadż i Ali Abd el Kadar el Dżilali.

gdy modliła się do Allacha, lub przeklinała jego „starożytne imię”, ubóstwiane i wychwalane przez niewolników nierozumnych, przez kretów ślepych i głuchych.

Aziza na cios żołnierza odpowiedziała policzkiem. Rozwścieczony, pijany drab pchnął ją nożem.

Odwieziono ją do szpitala nieprzytomną, niemal umierającą.

Jednak młoda, zdrowa krew zwalczyła śmierć.

Odeszło blade widmo skonu, pozostawiając blade, wyczerpane, zbolące ciało sponiewieranej, nikomu już nie potrzebnej kobiety, co tak niedawno jeszcze była żoną Rasa ben Hoggar, śmiałą orlicą, rzucającą w oczy wielkiemu kaidowi słowa surowej prawdy bez trwogi i zmieszania.

Teraz był to już zniszczony, poszarpany łachman, nikły cień, widmo istoty ludzkiej.

O, Allachu! Allachu, którego surowi mumeni nazywają Miłosiernym, Obrońcą, Wszechmocnym, Sprawiedliwym, Wodzem i Prawem, cóżeś uczynił ty, Sprawiedliwy i Wszechmocny, dla słabej zbłąkanej na rozstajnych drogach życia żony ściganego górala z Atlasu?

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### Zemsta

Ras ben Hoggar sunął śladami Saffara el Snussi, jak głodny szakal skrada się do stada baranów.

Tracił ślady, znowu je odnajdywał i znowu sunął dalej, aż doprowadziły go one do domu handlarza.

Napaść na Araba, utoczyć jego krwi, nacieszyć się zemstą? A co dalej? Czy znajdzie Ras w tym, niemal warownym domu swoją żonę? Jeżeli już odsprzedał ją Saffar, jak i od kogo dowie się, gdzie teraz jest Aziza?

Walczyły w nim gniew i rozsądek.

Przebrał się w swój strój żebraczy, nie spuszczał z oka domu handlarza i nareszcie udało mu się zawrzeć znajomość z niewolnikiem Harazemem, pomocnikiem Saffara.

Chytrą Ras wyciągnął od niego potrzebne wskazówki i wtoczywszy nienawiść i zemstę do serca, ruszył dalej.

Długo szukał, aż pewnego wieczoru zapukał do drzwi Ghalizat w Melilli. Tu rzucił garść srebrnych monet, dowiedział się o wszystkim, zapamiętał nawet imię i nazwę pułku żołnierza, który zranił Azizę, i poszedł do szpitala.

Hiszpańskie władze nie chciały go dopuścić do chorej i zapowiedziały, że jeżeli jeszcze raz tu przyjdzie, to zaaresztują go i odstawią do policji.

Ras nie wiedział, co robić. Usiadł na ziemi pod ścianą szpitala i myślał.

Nagle ktoś położył mu rękę na ramieniu. Podniósł głowę i krzyknął radośnie. Ujrzał nad sobą pochyloną twarz marabuta Szorfa ben Ihudi.

– W oczach twoich widzę troskę, synu! – rzekł Szorf. – Co ci jest?

– Sidi! – szepnął zgrzytnąwszy zębami Ras – Allah wciąż ściga mnie i nieszczęście jak cień chodzi za mną!

– Allah jest różny w różne chwile życia, Rasie ben Hoggar! – powiedział marabut. – On – mądry wie, dlaczego wywyższa i dlaczego poniża... On wie, na jaką drogę mają wejść stopy każdego człowieka, czy jest on wielkim i moźnym, czy małym i nędznym. Mów!

Ras opowiedział wszystko, co wiedział o Azizie. Szorf, wysłuchawszy opowiadania, wstał i kazawszy Rasowi czekać, oddalił się. Powrócił wkrótce z kilku poważanymi w mieście Arabami i wszedł do szpitala.

Ras, nieruchomy jak kamień przydrożny, oczekiwał...

W kilka dni później w małej izbie w domu bogatego kupca, Kabila, Ras słuchał opowiadania żony. Milczał, tylko oddychał ciężko, głowę na pierś uronił i ścisnął ręce.

Aziza spokojnym głosem, niby spoza grobu, mówiła o wszystkim, co zaszło w jej życiu, nic nie ukrywała, nic nie objaśniała, nie broniła się, nie błagała i łez nie wylewała.

Gdy skończyła, szepnęła:



– Nie mogę ciebie, panie mój, nazywać mężem, bom grzeszna, nieczysta, przeklęta przez Allacha, który odwrócił ode mnie oblicze swoje. Wypędź mnie jak psa zadzumionego, nie żałuj, bom nie warta tego, lub zabij mnie, bo panem moim jesteś! Ratuj siebie i nie myśl o mnie...

Ras nic nie odpowiedział. Poszedł do marabuta, długo z nim się naradzał, a potem skierował się do hiszpańskiego sędziego i skargę zaniósł na żołnierza Juana Hernandez, żądając dla niego kary za rany i krzywdę żony.

Woźni i żołnierze wyrzucili górala za drzwi, śmiejąc się i drwiąc z niego.

– To wszystko, co może uczynić dla mnie wasza sprawiedliwość? – zapytał, podnosząc się z kurzu ulicznego i patrząc na Hiszpanów ponurym wzrokiem.

– Możemy ci jeszcze coś dodać, abyś pamiętał przez całe życie! – krzyknęli z urąganiem i pogroźkami.

Ras odszedł, nic więcej nie powiedziawszy.

Powrócił do domu i podszedł do skulonej w kącie, nieruchomej, milczącej żony. Położył jej rękę na głowie i szepnął:

– Azizo! Żono moja! W otchłań zapomnienia rzucam przeszłość naszą, albowiem wina spada na męża, który bez opieki porzuca dom i rodzinę swoją. Już wszystko minęło, pozostaje tylko zemsta. Bądź gotowa do drogi za godzinę. Jedziemy!

Padła mu do nóg, cicha, pokorna i szeptała:

– Nie zostawiaj mnie samej, nigdy, nigdy! Chcę być z tobą razem wszędzie i zawsze! rozumiesz, panie mój, wszędzie!...

– Tak będzie! – zawołał Ras i oczy mu płonąć zaczęły.

Przez całą noc trzech jeźdźców przedzierało się przez góry północnego Riffu. Przed świtem trzykonne postacie prześlizgnęły się jak majaki głębokim wąwozem, pozostawiając za sobą ostatnie placówki hiszpańskich wojsk.

Zatrzymali się przed wartami powstańców Abd el Krima.

Przepuszczono ich dalej i wkrótce dotarli do obozu oddziału, prowadzącego atak na pozycje Hiszpanów.

O zmierzchu mały oddziałek powstańców skradał się ku okopom nieprzyjaciela.

Śród wojowników szli uzbrojeni w karabiny marabut Szorf ben Ihudi i Ras ben Hoggar. Obok niego, jak cień lub jak pies idący przy nodze, kroczyła postać kobiety zawinięta w burnus. Była to Aziza. Szła, niosąc worki z nabojami.

Dowódca oddziału zatrzymał ludzi i cichym głosem rzekł:

– Musimy wpaść do okopów niepostrzeżenie i wywołać popłoch. To odciągnie uwagę Hiszpanów od innych części odcinka, na który zamierzone jest ogólne uderzenie. Czy wszyscy gotowi? Na Allacha, naprzód, mumeni!

Ludzie rozproszyli się i pełznąć zaczęli jak węże lub skradające się do kuropatw szakale.

Szorf ben Ihudi szepnął do Rasa:

– Rozumiesz teraz, jakimi drogami Allah wywiódł ciebie, synu, na prawą drogę wielkiej sprawy?

– Dokonam zemsty! – odszepnął góral.

– Zemsty, o, zemsty! – niby echo padł w ciemność nocy i w zaczajoną ciszę gorący szept Azizy.

– W imię Allacha! Naprzód! – rozległa się gromka komenda, i powstańcy rzucili się do ataku.

Zagrzmiały bezładne, lecz coraz gęstsze strzały, a po chwili odpowiadać im zaczęły salwy z okopów.

Ras nagle wypuścił z rąk karabin i potknął się, czując, jak krew mu biegnie z ust i tamuje oddech, potknął się raz jeszcze i padł na kolana.

Postać niewieścia schyliła się nad nim, dźwignęła go do góry, włożyła karabin w słabnącą rękę i szeptać zaczęła, a później krzyżeć jak orlica w górach, cienkim, ostrym i drażącym głosem:

– Naprzód, panie mój, naprzód! Upij się słodką zemstą! Naprzód!

Głos jej znikł, utonął w złośliwym turkocie i pośpiesznym szczekaniu kulomiotu.

– W imię Allacha-Mściciela naprzód! Zemsty!... Paszcza kulomiotu ziejąc ogniem zwróciła się ku sianiającemu się Rasowi, opartemu o ramię żony, i ziać poczęła kulami...

– Ta-ta-ta-ta! – niosło się z szanca.

– Ta-ta-ta! – odpowiedziało echo w górach. Nagle wszystko umilkło. Na pobojuwisku zaległa cisza...

Allah El Muntakim oczami gwiazd patrzył na ziemię zroszoną krwią i na szaleństwo tych, których On stworzył na obraz i podobieństwo swoje.

Z okopu wybiegło kilku hiszpańskich żołnierzy.

Obeszli pole bitwy, świecąc latarkami.

– Czysta robota – nikt nie pozostał! – rozległ się radosny okrzyk.

– Patrzcie. Znowu wśród powstańców kobieta! – zawołał w ciemności inny żołnierz, opuszczając do samej ziemi latarkę.

– Piękna była i śmiała ta... orlica! – dodał cichym głosem.

